Reporter „Odgłosów" jedzie rowerem przez Polskę (2)

Polski koszmar

MAREK KOPROWSKI

1. Dwudniowy popas we Wrocławiu.

Nic nie boli — to jest podejrzenie. Mówi się, że gdy mężczyzna po 40 budzi się rano i nic go nie boli, to znaczy, że w nocy umarł. Ponieważ jednak rzeczywistość nie kojarzy się z najskromniejszymi nawet wyobrażeniami o raju — zatem żyjemy. Jedziemy dalej.

2. Z pałacu rudera — z ruder pałace.

Wieś Obórki, między Brzegiem a Grodkowem (a szerzej: między Wrocławiem a Nysą). W pięknym klasycystycznym pałacu mieszczą się biura Kombinatu Rolnego i mieszka kilka rodzin. To znaczy — pałac kiedyś był piękny. Teraz, zdewastowany z zewnątrz i zdemolowany w środku, wystawia świadectwo użytkownikom, tak jak cały teren dookoła, bardziej śmietnisko niż dziedziniec. Ale użytkownicy nic sobie z tego nie robią, nie przeszkadza im życie w chlewie, choć są ludźmi.

— *Pałac? eee...* — macha ręką siedząca na ławeczce z bezmyślnym wyrazem twarzy kobieta — *a co to mnie obchodzi?* A powinno, bo mieszka w nim. Miejscowi mówią, że jak się pałac zawali, to zlikwidują Kombinat, z korzyścią dla mieszkańców wsi. Szkoda tylko, że takim kosztem. Oczywiście, nikt nie będzie szukał winnych, ani pociągał ich do odpowiedzialności, pałac należał przecież do dziedzica-krwiopijcy,

6

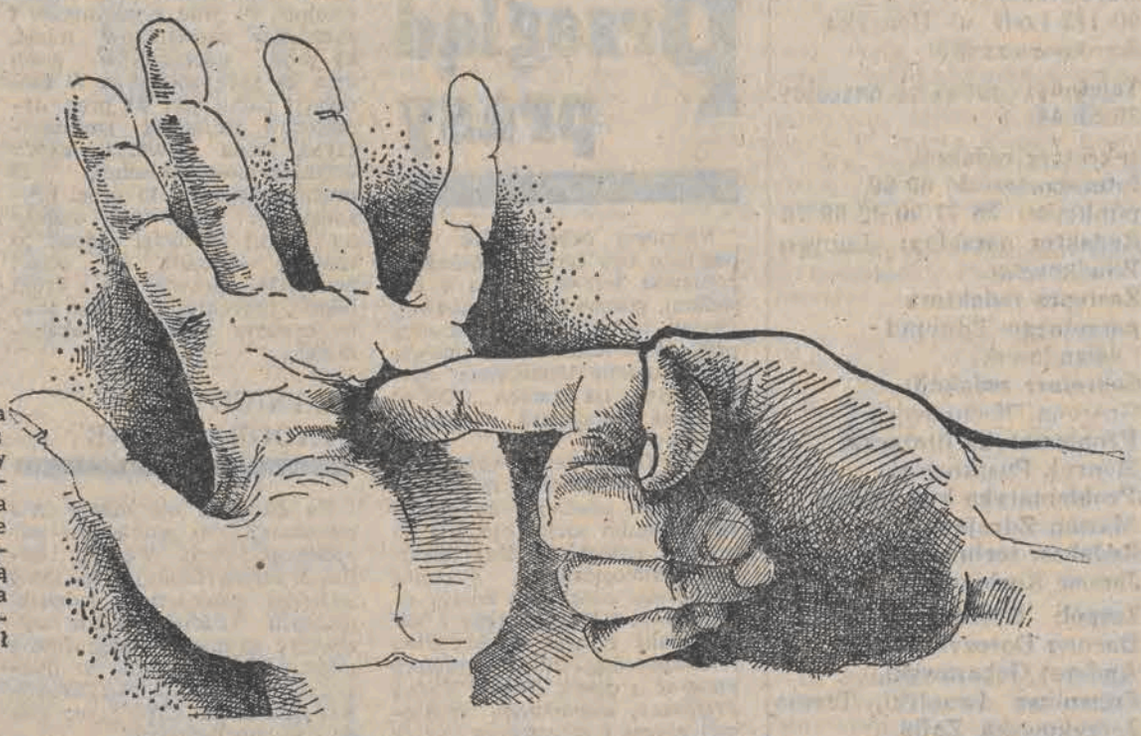

Rys. Dariusz Romanowicz

- Rozmowa z Karolem Głogowskim — str. 3
- Walka o prezydenta — str. 7
- Dlaczego musiał zginąć Kirow? — str. 10
- Wyspa w środku lądu — str. 5

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 38 (1642) ROK XXXII 17 WRZEŚNIA 1989 ROKU CENA 150 ZŁ

PARYŻ: — W dwieście lat po rewolucji.

Anglicy zrobili furorę

MAREK BRZEZIŃSKI

1. Tylko bagietek nie pozwolono pomalować.

Na parę dni przed 14 lipca 1989 roku czuło się, *„że coś wisi w powietrzu"*. Paryżanie śpieszyli się jeszcze bardziej niż zwykle, na gwałt dekorowano gmachy publiczne, a sklepy poprawiały trójkolorowe makijaże. Na Champs Elysees pojawiły się wydekoltowane dziewczyny w sukniach z epoki i czapkach frygijskich na głowach sprzedające przy niewielkich kramikach wszystko, począwszy od majteczek, a skończywszy na parasolkach i zapalniczkach, co nosiło na sobie symbol trzech ptaszków (Liberté, Egalité, Fraternité) i trójkolorowe pasemko. Podobno nie dopuszczono do sprzedaży jedynie bułki-bagietki pomalowanej w biało-niebiesko czerwone pasy, a to ponoć ze względów higienicznych.

2. Łuk Francoisa Mitterranda.

Przy Bastylii-Opera, na Placu Zgody — występy na sto fajerek, na Champs Elysees parady. A wszędzie gdzie tylko się dało, w tabakach, kafejkach i na ulicach tance i zabawy. Wieża Babel języków, kolorów skóry i strojów. Przez most Pont d'Alma, który poobsadzała liczniejsza od gołębi policja, defilada wielkich i ważnych tego świata. Prezydent Francois Mitterrand postanowił zorganizować szczyt siedmiu najbardziej rozwiniętych państw świata tuż po 14 lipca. Na to konto otwarto Wielki Łuk w dzielnicy La Defense. Patricie Noviant, komisarz budowy Łuku powiedział, że to *„największy z małych projektów podjętych z okazji 200-lecia Rewolucji"*. Koszt tego *„największego z najmniejszych"* — 55 milionów franków.

— *Ano, ma Mitterrand swój łuk* — mówiono przy kawiarnianych stolikach w Paryżu. Wielu, i to nie tylko z opozycji, zarzuca Prezydentowi Republiki megalomanię i urojenia wielkościowe. Obchody Rewolucji były okazją, przy której często to można było usłyszeć i przeczytać. *„Paryżo-paranoja"*, *„megalo-farsa"* — krzyczała opozycja i wypięła się na uroczyste obchody ostentacyjnie nie biorąc w nich udziału. Jacques Chirac mer Paryża, główny antagonista Francoisa Mitterranda, odpowiedzialny za głośno reklamowane pokazy sztucznych ogni w okolicach wieży Eiffla zachował się niczym molierowski skąpiec.

— *Phi, takie ognie* — pogardliwie wydymali usta moi przyjaciele z podparyskiego Fontenay-le-Fleury. — *U nas wczoraj były takie pokazy, że aż niebo pobielało. Imponujące. Chociaż w tym jesteśmy lepsi od Paryża.*

3. Szaleństwo ogarnęło Paryż.

Obchody zaczęły się w czwartek wieczorem, czego pierwszym objawem był brak taksówek, a skończyły się w niedzielę rano, gdy trzeba było czekać do rana na pierwsze metro, a nieliczne autobusy nocne były tak przeładowane jak autobusy do Kuźnic w pełni sezonu narciarskiego.

Szaleństwo ogarnęło Paryż. Tańczono i bawiono się na Placu Concord i przed Bastylią, tańczono na uliczkach dzielnicy Łacińskiej, wokół Sorbony i po drugiej stronie Sekwany, w remizach strażackich. Noc była parna. Kelnerzy uwijali się jak w ukropie lawirując z tacami zastawionymi czerwonym i białym winem. Nikt na nikogo się nie obrażał, gdy jeszcze jedna spirala serpentyny owinęła się wokół głowy, gdy jeszcze jedna porcja konfetti spłynęła trójkolorowym śniegiem z upalnego granatu nieba.

— *U nas w Jaśle już by doszło do mordobicia* — skomentowała serpentynowe szaleństwo znajoma moich znajomych, która specjalnie przyjechała z Podkarpacia.

Nie wiem, czy widzowie na Placu Zgody, który ciężko sobie zapracował na to szczytne imię tysiącem głów, jakie spadły tutaj w czasie Rewolucji, krwawo stłumionymi strajkami antyrządowymi w 1934 roku i walczącymi do upadłego hitlerowcami w 10 lat później, czy publiczność na premierowej gali w Operze Bastylii, czy tańczące na ulicach tłumy myślały przez cały czas o „Wolności, równości i braterstwie". Jak zauważył doskonale znający stosunki francuskie, profesor Sorbony Ludwik Stomma, *„jest to data umowna, utrwalona w świadomości Francuzów nie przez to, co działo się pod Bastylią 14 lipca, tylko przez wspaniałe bale strażackie w remizach, tańce na ulicach i jest to, jak ja to widzę patrząc na moich sąsiadów Francuzów — święto 200-rocznicy tańców 14 lipca"*.

Pola Elizejskie przypominały ulice Kabulu czy Sajgonu tuż przed gorączkowym wycofaniem się Amerykanów. Zabroniono wprawdzie sprzedaży petard, ale skośnoocy sprzedawcy ofero-

5

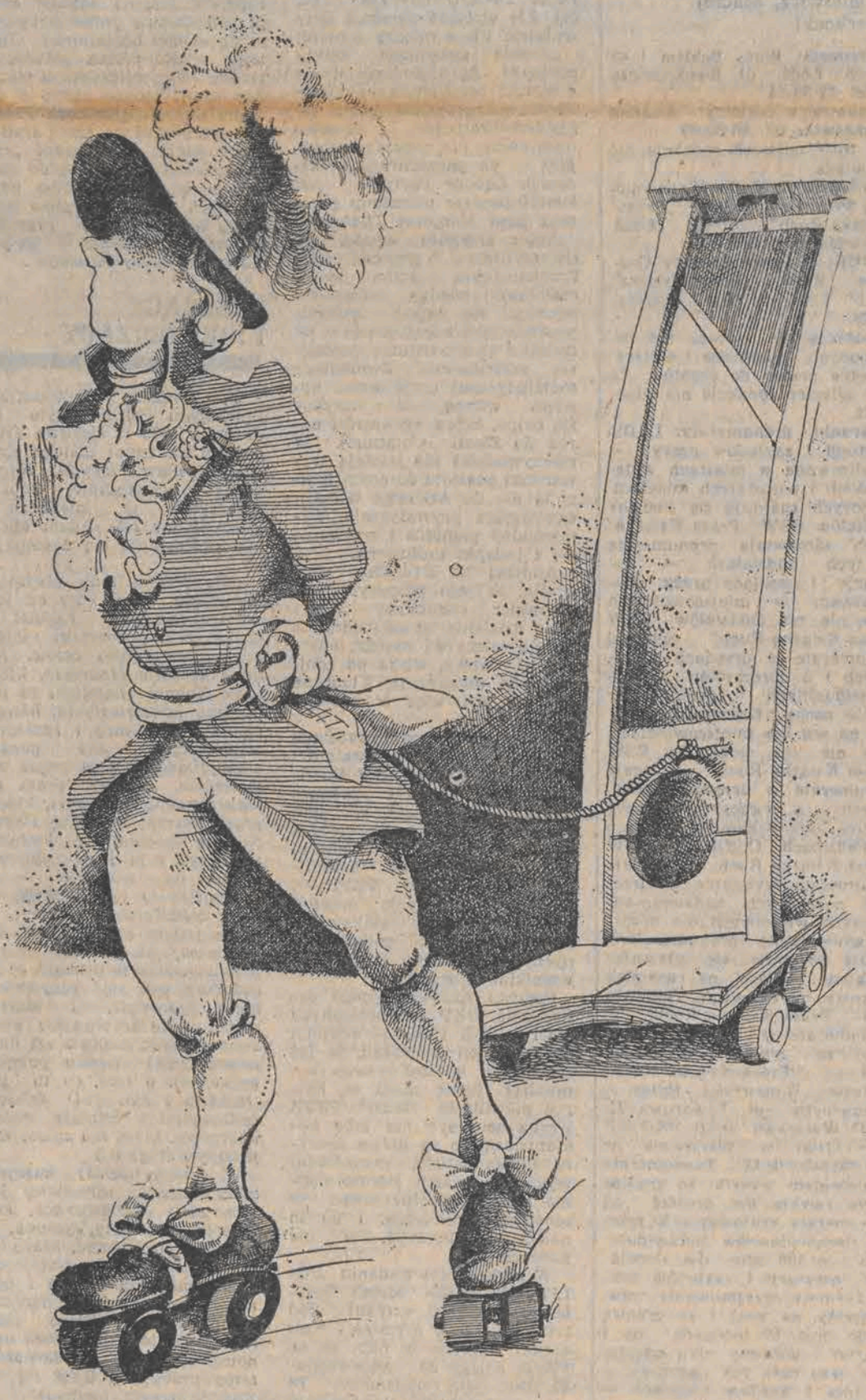

Rys. Dariusz Romanowicz

Adres redakcji:
90 113 Łódź ul Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36 80 99,
publicyści 36 77 70, 32 89 70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż — Londyn), Grzegorz Gazda, Janusz Janyst, Andrzej Karolczak Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A Makowski, Zenon J Michalski, Adam Ochocki Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5 tel 32-59-11

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel 36 80-99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka Ruch" 91-103 Łódź ul Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 Dla indywidualnych prenumeratorów – osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych u doręczycieli osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW Prasa Książka Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 23 00-958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139 11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. D-10

Przegląd prasy

Niektórzy twierdzą, że nie powinno być żadnej indeksacji, ponieważ jest sprzeczna z zasadami gospodarki rynkowej. Pogląd ten stanowczo odrzuca prof. Józef Kaleta. W rozmowie z Mariuszem Urbankiem opublikowanej na łamach „ODRY" (nr 7-8) ekonomista wrocławski mówi:

„Indeksacja jest konieczna, skoro 35-40 procent społeczeństwa żyje poniżej i na granicy minimum socjalnego, a 7-10 procent nawet poniżej minimum biologicznego. Przecież gdybyśmy zwiększyli koszty utrzymania o 100 procent i nie zapewnili z tego tytułu żadnej rekompensaty, ludzie zaczęliby umierać z głodu. Nawet Milton Friedman, ekonomista światowej sławy i największy przeciwnik interwencjonizmu państwa, mówi, że w warunkach dużej inflacji konieczna jest indeksacja, bo inaczej ludzie przestaną pracować. (...)

Oczywiście istnieją propozycje, nieraz wybitnych ekonomistów, że nie ma się co bawić w jakieś tam osłony socjalne i lękać się społeczeństwa. Trzeba od jutra wprowadzić ceny równowagi rynkowej i silny, wymienialny pieniądz, bo bez tego nie ma co myśleć o wprowadzeniu reformy gospodarczej. Co by się stało, gdyby takie koncepcje zwyciężyły, gdyby od jutra podniesiono ceny o 200-300 procent i nie dano ludziom żadnej rekompensaty? Mielibyśmy ceny równowagi, silny pieniądz, wszystkich ludzi na ulicy i strajk powszechny. Są takie kraje w Trzecim Świecie, które mają silny pieniądz, sklepy pełne towarów, a ludzie umierają z głodu. Proponować coś takiego w kraju w środku Europy, to awanturnictwo".

Na poglądy noblisty Miltona (i klasyka Adama Smitha) powołuje się również Andrzej M. Zawiślak w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 36). Ale wyciąga zupełnie inny wniosek. Pisze między innymi:

„Przede wszystkim należy pamiętać, że najkrótsza droga z zapaści socjalistycznej gospodarki nie prowadzi przez socjaldemokratyczne państwo opiekuńcze, ale poprzez system, jaki — po gospodarczych eksces ach Labour Party — jest konsekwentnie wdrażany przez rząd pani Margaret Thatcher".

Autor artykułu uważa, że stworzyliśmy gospodarczego Frankensteina, który przy zwiotczałej władzy całkowicie wyzwolił się spod kontroli przerażonych konstruktorów. W dodatku to monstrum próbuje się reformować. Zwolennicy socjalistycznej opcji wciąż bowiem wierzą, że znajdzie się ekipa, która wprowadzi naród do Ziemi Obiecanej. W rzeczywistości zaś istnieją trzy warunki powrotu do normalności (a nie do Arkadii): wszechogarniająca prywatyzacja, wymienialny pieniądz i wyrwanie się z pułapki zadłużenia.

Andrzej M. Zawiślak podkreśla, że jego propozycja ma charakter całościowy. Wszystkie działania są niezbędne. A sukces zależy od energii, energia od wiary, wiara od zdolności do uwierzenia. Klucz do sukcesu jest więc w nas samych.

O potrzebie wprowadzenia kraju na drogę normalności mówi w „TYGODNIKU SOLIDARNOŚĆ" (nr 14) premier Tadeusz Mazowiecki. W tym celu potrzebna jest szeroka koalicja z udziałem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zepchnięcie PZPR i OPZZ na pozycję negacji dałoby możliwość atakowania rządu z pozycji populistycznych, co poważnie zagroziłoby wszelkim reformom.

Podczas nadzwyczajnego posiedzenia OKP i zaproszonych gości z ZSL i SD 16 sierpnia Jacek Kuroń stwierdził, że już dawno nie widział żywego komunisty. Rację mieli ci, którzy mówili, że ludzi PZPR trzeba zobaczyć nie jako komunistów. To są ludzie aparatu, nomenklatury, menedżerowie. Wielu z nich bardzo chętnie może współpracować w sensownym układzie. I na to należy się otworzyć, a nie zamknąć

W poprzednim wydaniu „POLITYKI" (nr 35) Marek Henzler opublikował artykuł pod tytułem „Wasz premier, nasz aparat" Podaje w nim, że do PZPR należy 39 wojewodów, 69 proc. wicewojewodów, 86 proc. prezydentów i wiceprezydentów miast, 85 proc. naczelników i zastępców naczelników dzielnic, 90 proc. naczelników i zastępców naczelników miast, 82 proc. naczelników gmin oraz 29 proc. sołtysów. W szeregach partii jest 83 proc. dyrektorów jednostek gospodarczych, jedna czwarta kadry inżynieryjno-technicznej, 28 proc. mistrzów i 18 proc. brygadzistów. Poza tym należy do partii co drugi sędzia, co czwarty adwokat, co trzeci nauczyciel, prawie co drugi rektor, prorektor i dziekan oraz co czwarty nauczyciel akademicki...

GRANICE ETNOGRAFICZNE

Na szczęście nie mamy dziś poważniejszych problemów narodowościowych. Według definicji zatwierdzonej przez ONZ jesteśmy państwem jednoetnicznym. Trudno jednak wyznaczyć granice etnograficzne Polski. Mówi o tym w miesięczniku „PISMO LITERACKO-ARTYSTYCZNE" (nr 6) dr Czesław Robotycki.

„Mało tego, istnieje współcześnie ogromny obszar Polski, bez zasiedziałych grup etnograficznych, bowiem ludność z tamtych ziem — tj. Ziem Zachodnich i Północnych, w pasie od Opola i Wrocławia po Olsztyn — została wysiedlona, ponieważ uznano ją za niemiecką. Była to ludność, która tam zamieszkiwała do roku 1939, niekiedy rdzennie niemiecka. Jeśli bowiem np. Szczecin i jego okolice po raz ostatni przed 1945 r. znajdowały się w granicach Polski w XI wieku, a Ziemie Śląskie wróciły do Polski po prawie 600 latach... Historycy mogą obwiniać kolejnych królów polskich o zaniedbanie spraw Śląska i innych ziem, ale niewątpliwie — to fakt historyczny — ziemie te pozostawały przez owe kilkaset lat w granicach najpierw czeskich, później niemieckich, a więc prawie zawsze w strefie wpływów niemieckojęzycznych. (...)

Polska jest krajem, którego wschodnie granice w wyniku II wojny przesunięte zostały o 130 kilometrów w głąb Polski, zachodnie zaś o 100 — na zachód. W historii naszego kraju przesuwanie granic odbywało się niemal bezustannie. Tak więc mówić można jedynie o trzonie etnograficznym, a wszyscy wciąż mówią wiele o etnograficznych granicach Polski — tymczasem są one trudno wyznaczalne. Tak zwane „ziemie zachodnie" należą do Polski w wyniku układów politycznych, na które wpływ mieliśmy niewielki. Ich prastary piastowski charakter — to już rodzaj etnicznej mitologii".

WIERZĄCY I NIEWIERZĄCY

W siedzibie Sekretariatu Episkopatu Polski odbyło się 31 maja 1988 r. ciekawe sympozjum na temat dialogu Kościoła z niewierzącymi. Wypowiedzi uczestników można przeczytać w miesięczniku „ZNAK" (nr 2-3). Adam Michnik przedstawił się następująco:

„Nie jestem tedy utajonym komunistą, który chce od wewnątrz rozkładać Kościół i czynić zeń instrument własnych politycznych celów. Nie lubię uczniów Maurrasa, który cenił Kościół katolicki za polityczny konserwatyzm, hierarchiczną strukturę i społeczne wstecznictwo, zaś gardził chrześcijaństwem za zmysł miłosierdzia. Ale też lękam się maurrasistów a rebours, którzy przekształcają obietnicę Dobrej Nowiny w obietnicę komunistycznego raju i — obiecują gruszki na wierzbie — z Ewangelią w ręku agitują na rzecz totalitarnej rewolucji.

Nie jestem ani trockistą, ani masonem, jak mnie nieraz przedstawiano w pismach przyozdabiających się przymiotnikiem „katolicki". I martwi mnie, że te ignoranckie przezwiska padać mogły z ust ludzi najwyraźniej kiepsko poinformowanych o tym, co to jest trockizm i kim są dzisiejsi wolnomularze. Istnieje rodzaj idiotyzmu, który ma żywot niepokojąco długi. (...)

W oczach pewnej kategorii ludzi Kościoła utrwalony jest wizerunek eksstalinowca, kosmopolity, trockisty, masona, jadowitego bezbożnika, który sączy miazmaty, ma podejrzane powiązania zagraniczne i opanowane do perfekcji techniki manipulacyjne. Swego czasu ten manipulator-bezbożnik opanował struktury „Solidarności"; teraz próbuje wcisnąć się w Kościół, mącić, buntować, judzić, anarchizować, rozkładać od wewnątrz i instrumentalizować dla własnych politycznych celów. Jest niemądry i nieodpowiedzialny. (...)

W ramach takiego stylu myślenia łatwo jest zakwalifikować program „Solidarności" jako „ani narodowy, ani kościelny, ani inspirowany chrześcijaństwem". Łatwo też formułować przestrogi przed „niepolską inspiracją". I łatwo o lekceważącą nieufność wobec wszystkiego co opozycyjne, a pozbawione kościelnego stempla. A wtedy zasypia rozum, budzą się upiory i dochodzi do żenujących obliczeń, jaki procent katolików był w Prezydium czy Komisji Krajowej".

Tego rodzaju myślenie, zdaniem Adama Michnika, jest produktem endeckich obsesji. Nie upowszechnia się go wprawdzie oficjalnie, ale funkcjonuje i znajduje wyraz w niektórych publikacjach.

CO POWIEDZIAŁ PRYMAS?

Wielkie poruszenie i oburzenie w środowiskach żydowskich różnych krajów wywołała homilia prymasa Polski, kardynała Józefa Glempa, wygłoszona 26 sierpnia 1989 na Jasnej Górze. Prymas powiedział między innymi:

„Mamy swoje winy wobec Żydów, ale dziś chciałoby się powiedzieć — kochani Żydzi, nie rozmawiajcie z nami z pozycji narodu wyniesionego ponad wszystkie inne i nie stawiajcie nam warunków niemożliwych do wypełnienia. Siostry karmelitanki mieszkające obok obozu w Oświęcimiu chciały i chcą być znakiem tej ludzkiej solidarności, która obejmuje żywych i umarłych. Czy szanowni Żydzi nie widzicie, że wystąpienie przeciw nim narusza uczucia wszystkich Polaków, naszą suwerenność z takim trudem zdobywaną. Waszą potęgą są środki społecznego przekazu, łatwo dyspozycyjne w wielu krajach. Niech one nie służą do rozniecenia antypolonizmu".

W komentarzu na łamach „GAZETY WYBORCZEJ" (nr 79) Krzysztof Sliwiński napisał, że w przededniu 50 rocznicy wybuchu II wojny światowej wysłuchano tych słów „z żalem i bólem". Użyte przez kardynała Józefa Glempa sformułowania — nawet wbrew intencjom — *„grożą zranieniem głęboko uczuć wielu tych, którzy są potomkami i braćmi ofiar Holocaustu".* Słowa prymasa Polski — zdaniem Krzysztofa Śliwińskiego — zadają realny ból.

W innym wydaniu „GAZETY WYBORCZEJ" (nr 83) w obronie kardynała Józefa Glempa wystąpił Tadeusz Fredro-Boniecki. Jego zdaniem, komentarze prasy światowej i „Gazety Wyborczej" fałszywie interpretują homilię prymasa Polski, wygłoszoną na Jasnej Górze. W rzeczywistości bowiem intencją było pojednanie obu narodów.

„Możemy to wezwanie podjąć, możemy je odrzucić lub usiłować zagłuszyć. Tak było po wystosowaniu listu do biskupów niemieckich. Mimo nie mniejszej przecież wrzawy, skutki tamtego kroku owocują do dziś. Bądźmy więc dobrej myśli.

I uwaga na marginesie: dopiero wychodzimy z okresu monomyśli, powoli wchodzimy w okres normalności. Komentarz Krzysztofa Śliwińskiego nie oburzył mnie, tylko zdziwił. Ale do normalności należy różnica poglądów i osiągnięciem normalności jest to, że w tej samej „Gazecie" ukazuje się mój komentarz".

W obronie prymasa wystąpił również na łamach tygodnika „ŁAD" (nr 37) Andrzej Siemianowski. Pretensje długoletniego działacza Klubu Inteligencji Katolickiej i współredaktora „Gazety Wyborczej", Krzysztofa Śliwińskiego, uznał za niepoważne. Podkreślił przy tym, że napad na klasztor w Oświęcimiu był profanacją obiektu sakralnego.

W cytowanym kazaniu kardynał Józef Glemp przypomniał, że w dawnej Polsce były niechęci i awantury przeciw Żydom, ale byli też przedsiębiorcy żydowscy, którzy lekceważyli Polaków i pogardzali nimi. W czasie okupacji zdarzali się wśród Żydów kolaboranci i byli Polacy, którzy ratowanie Żydów przypłacili własnym życiem. Jeśli obecnie nie będzie antypolonizmu, to u nas nie będzie także antysemityzmu.

E. L.

ZWIĄZKOWCY Z „MARCHLEWSKIEGO"

Działalność zamiera...

Częste, drastyczne podwyżki cen i trudne warunki pracy, zaś — z drugiej strony — perspektywa rządu premiera Mazowieckiego i specyficznie łódzki konflikt pomiędzy RKO a Zarządem Regionu — oto warunki, w jakich przychodzi ostatnio działać związkowcom z „Solidarności" w Łodzi. O komentarz na temat tych warunków oraz sytuacji, w jakiej znalazł się ruch związkowy, poprosiliśmy działaczy jednego z największych zakładów regionu — ZPB im. Juliana Marchlewskiego „Poltex".

BOGUSŁAW FIDYK — przewodniczący organizacji zakładowej „Solidarności"

— Ciągle żyjemy wątpliwościami, czy szybkie „wejście we władzę" było słuszne. Boję się, że dojdzie do sytuacji, w której minister pracy Jacek Kuroń dążyć będzie do uchwalenia takich ustaw, że nasza podstawowa broń, jaką jest prawo do strajku, okaże się znacznie mniej skuteczna. Ludzi w zakładach karmi się teraz tym, że mamy „nasz" rząd Mazowieckiego. Sprawy związkowe odsuwane są na dalszy plan. Nam, związkowcom, grozi więc rozdwojenie : co innego powinniśmy robić, broniąc interesów robotnic na wydziałach, a co innego musimy robić, realizując strategię związku, wypracowaną w Warszawie i Gdańsku. Czy musimy? Teoretycznie tworzymy przecież organizacje w pełni samodzielne. Praktyka jest jednak taka, że prezydium RKO decyduje, który ze strajków jest słuszny, a który niesłuszny. Na posiedzeniach RKO mówi się dziś o wszystkim, ale najmniej o sprawach czysto związkowych. A jakie są skutki? Od czterech posiedzeń RKO nie ma kworum. Ze spotkania na spotkanie przychodzi coraz mniej organizacji zakładowych. Początkowo zjawiło się ich ponad 300, później około dwustu, a na przedostatnie posiedzenie RKO, które odbyło się w „Marchlewskim", przybyło tylko 120 delegacji. Świadczy to o tym, że działalność związkowa w szybkim tempie zamiera. Jest to rezultat strategii, przyjętej na szczeblu centralnym związku. Mój postulat: trzeba jak najszybciej doprowadzić do oddzielenia się segmentu politycznego od czysto związkowego „Solidarności". Musimy w zakładach wiedzieć, na jakim gruncie stoimy. Bo inaczej, co będzie — zapytuję — gdy nowy rząd nie będzie miał sukcesów?

MIROSŁAW SOWIAK — członek zarządu

— W zakładzie do „Solidarności" należy 20 procent załogi. Nie ma chętnych do pracy związkowej, ludzie wolą zarabiać pieniądze niż użerać się za problemami, których załatwienie uważają w chwili obecnej za niemożliwe. Mamy stały kontakt z dyrekcją, w zasadzie nie musimy „wyszarpywać" podwyżek, bo one co pewien czas następują. To jednak wciąż jest za mało. Po każdym wzroście cen masła (a zdarzyło się to chyba pięciokrotnie) przychodzą do nas ludzie, domagając się nowych podwyżek. My im tłumaczymy: bądźcie cierpliwi, poczekajmy, co zrobi rząd Mazowieckiego. Ludzie odchodzą — mam takie wrażenie — zupełnie nie przekonani. I my także niewygodnie się czujemy w nowej dla nas roli. Gdzieś na „górze" decyduje się o polityce, którą mamy za zadanie objaśniać pracownikom. Sami jednak zaskakiwani jesteśmy decyzjami. Myślę, że pracownicy to czują, więc nie garną się do związków. W czasie obchodów 9-lecia powstania „Solidarności" była msza i przemarsz pod kościół św. Krzyża — ale w szczupłej, 300-osobowej grupie. Szczuplejszej niż to bywało w czasach, gdy „Solidarność" była nielegalna! Dodam do tego obrazu rozbicie w łódzkiej „Solidarności". Istnieje co prawda wspólna komisja wyborcza, mająca za zadanie przygotować wybory, ale zastanawiam się, czy nie jest ona aby wspólna tylko z nazwy? Komisja jest wprawdzie jedna, ale pracuje w trzech miejscach — oddzielnie przyjmuje się protokoły organizacji zrzeszonych w RKO, w innym miejscu składają je zrzeszeni w ZR, oddzielnie — nigdzie nie afiliowani. I jak tu być optymistą? A jednak wierzę — bo muszę wierzyć — w sukces rządu Mazowieckiego...

Rozmawiał: A. GĘBAROWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Nasz pociąg ostrzeliwany był w Małkini, Białymstoku, Wołkowysku. W Słonimie zastaliśmy pustkę i ciszę. Jeszcze ściągano tu mężczyzn z okolicznych wiosek. Przychodzili niemłodzi, niewydarzeni fizycznie, niechętni. Przez cały dzień nawiedzały nas samoloty niemieckie. A 17 września usłyszeliśmy, że wschodnią granicę przekroczyły oddziały Armii Czerwonej. Odchodziliśmy w pośpiechu w czarną noc. Panicznie starałem się nie stracić z oczu ledwie widocznych twarzy przyjaciół maszerujących obok — wspomnienia WŁODZIMIERZA KRZEMIŃSKIEGO.

— Po wkroczeniu Niemców dalszy pobyt w Warszawie stracił sens. Postanowiliśmy wrócić do Łodzi. Pociągi kursowały nieregularnie, oblepione ludźmi. Wynajęliśmy w kilkanaście osób furmankę. Niemcy zatrzymali nas kilka razy. Mężczyznom kazano grzebać zabite konie. W Skierniewicach spędzili grupę Żydów i zmusili ich do popychania pociągu, choć lokomotywa była na chodzie — wspomina ADAM OCHOCKI.

— O świcie usłyszeli warkot i nad porębą ukazał się samolot. Od kadłuba oderwał się jakiś kształt. W chwilę później otworzył się nad nim spadochron. Skoczek lądował dosłownie na ramionach polskich żołnierzy. Tym razem była to dwudziestoletnia dziewczyna w stroju ni to pensjonarki, ni to siostry miłosierdzia — o dywersantach w polskich mundurach pisze ANDRZEJ WILCZKOWSKI.

— Stanisław Stan-Wiśniewski miał niezwykle ciekawe życie. Był korespondentem „Odgłosów". Studiował matematykę na Sorbonie. Potem osiadł na Tahiti. Był „gorylem" króla Maroka Hassana II, bliskim współpracownikiem gubernatora francuskiej Polinezji, żeglował po Antylach i wokół Wysp Dziewiczych, hodował czarne perły na archipelagu Tuamotu, prowadził szkołę informatyki w Papeete — pisze o nim RYSZARD BADOWSKI.

— Gdyby nie było dotacji państwowych, to mięso i jego przetwory byłyby jeszcze droższe. Do każdego kilograma szynki otrzymujemy 2100 zł, baleronu — 3500, kiełbasy żywieckiej — 1700, toruńskiej — 1300 złotych — powiedział EUGENIUSZOWI IWANICKIEMU kierownik uboju i przetwórni w Łasku.

— W najnowszych badaniach amerykańskich stwierdzono, że najwięcej kobiet osiąga orgazm w wyniku pobudzania łechtaczki (90 proc.) i pochwy (60 proc.). Polski seksuolog Lechosław Gapik stanowczo twierdzi, że kobieta najłatwiej osiąga pełną satysfakcję poprzez masturbację. Na drugim miejscu jest miłość lesbijska, a dopiero dużo dalej pojawia się stosunek z mężczyzną. Dlatego kobietom łatwiej zrezygnować z kontaktów seksualnych niż mężczyznom — artykuł MIROSŁAWY SARBIŃSKIEJ.

— Już niebawem rozpoczynamy druk fragmentów arabskiej sztuki kochania napisanej w XI wieku. Autorem książki, którą przełożył Zdzisław Wróbel, jest SIDI MOHAMMED EL NEFZAUI. W analizach pieszczot i pozycji seksualnych jest bardziej dociekliwy od mistrzów indyjskich. Jego dzieło nie ustępuje sławnej „Kamasutrze" ani współczesnym podręcznikom sztuki kochania.

Różne punkty widzenia

Mówią, że jestem człowiekiem z księżyca

Rozmowa z KAROLEM GŁOGOWSKIM — adwokatem, liderem Wolnych Demokratów.

— W naszej dyskusji redakcyjnej, w której brał pan udział, przewidział pan, że decyzje w nowych warunkach politycznych będą zapadały poza parlamentem. Czy dziś ma pan z tego satysfakcję?

— Gorzką satysfakcję. Ale nie nazwałbym tego przewidywaniem, a realistyczną oceną sytuacji. Krótko mówiąc mamy do czynienia z jakąś formą dotychczas istniejącego stanu rzeczy.

— Jakie pana zdaniem są przyczyny rozpadu starej koalicji?

— Wcale nie uważam, że ona się rozpadła. Jeśli spojrzeć na to z perspektywy celów i środków, to cel: wielka koalicja — został osiągnięty. „Solidarność" broniła się rękoma i nogami przed wciągnięciem jej do wielkiej koalicji. A mimo to została wciągnięta.

— Jest pan tego pewien?

— Że zostało jej to narzucone z zewnątrz? Oczywiście. Jest to skutek tego, że decyzje nie zapadają w Senacie i Sejmie, tylko w układzie pozaparlamentarnym. Powiedziałbym nawet więcej: w układzie mafijnym.

— To bardzo mocne określenie!

— A jak inaczej określić fakt, że wbrew stanowisku Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego nagle pan Lech Wałęsa występuje z propozycją, na którą jakby wszyscy czekali. I z którą godzą się bez sprzeciwu. Przecież to jest spełnienie w praktyce idei wielkiej koalicji, tyle że w nieco innym układzie politycznym.

— Przyjmując pana tezę łatwiej można zrozumieć chęć do rozmów ze strony ZSL i SD.

— Bo to była próba ratowania starej koalicji, zagrożonej choćby przez odrodzenie się PSL. A to z kolei groziło niewątpliwym rozpadem ZSL. Poza tym na czele ZSL stoją ludzie wypróbowani w działaniu dotychczasowej koalicji, więc nie wierzę, że oni dokonali nagłej zmiany orientacji.

— Przyzna pan jednak, że układ wewnątrz klubów partyjnych nie jest klarowny. Powiedziałabym, że wręcz przeciwnie.

— Nie da się wykluczyć, że wewnątrz istniejących struktur organizacyjnych nastąpi dalsza polaryzacja, ale proces ten może być kontrolowany. Sytuacja może się też zmienić na tyle, że — powiedzmy — na tyle wzmocnią się siły opozycji pozaparlamentarnej, iż będą mogły odgrywać pewną rolę. Teraz niektóre siły polityczne dystansują się od tego, co się dzieje. Na przykład Stronnictwo Pracy z mecenasem Władysławem Siłą-Nowickim, który nie zgodził się wejść do rządu gen. Czesława Kiszczaka dlatego, że jego zdaniem wejście do rządu oznacza koniec opozycyjności.

— Jak postrzega pan proces usamodzielnienia się politycznego klubów poselskich?

— Jest to świadectwo dezintegracji dotychczasowych struktur. Najbardziej wyraźnie widać to w przypadku Klubu Poselskiego PZPR. Klub chce mieć pewną dozę autonomii.

— Zakłada pan dalszy rozwój tego procesu?

— Tak przypuszczam. Jeśli będzie postępowała liberalizacja, czyli odejście od dyscypliny partyjnej, to wielu posłów niewątpliwie zechce z tego skorzystać.

— Kto zdaniem pana jest w tej chwili opozycją?

— Marksiści uważają, że istnieje jedność przeciwieństw. Trzeba byłoby zastanowić się nad tym, czy my nie mamy teraz takiej właśnie, klasycznej jedności przeciwieństw. Pan Tadeusz Mazowiecki — premier — mówi, że jedność przeciwieństw trzeba rozumieć tak, że walka nie musi prowadzić do eliminowania przeciwnika, tylko do jakiejś formy koegzystencji. Opozycja będzie nadal opozycją, rząd — rządem, ale stanowić one będą jedność. Wymagałoby to właściwego rozszyfrowania.

Ale dla pana premiera Tadeusza Mazowieckiego — jak sądzę — właściwszym byłaby teza z chrześcijańskiej nauki społecznej o „jedności w różnorodności". Tylko, że wtedy trzeba zastanowić się nad tym, co nas łączy. Bez wątpienia próba wyjścia z impasu ekonomicznego. Co dzieli? Może środki, sposoby, aliansе. Trzeba to też jasno i wyraźnie sprecyzować. Być może stanie się to bardziej wyraziste, gdy premier Tadeusz Mazowiecki sformułuje swój rząd.

— Jakie szanse widzi pan dla tego rządu?

— Rozmawiamy w chwili, gdy tego rządu jeszcze nie ma. Ale można już pokusić się o ogólne stwierdzenie. Ten rząd, jak i wszystkie poprzednie ma przed sobą taką samą barierę: jest nią minimum cierpliwości społeczeństwa. Rodzi się pytanie: czy społeczeństwo zechce wytrzymać przez 2 lata, by móc ruszyć do przodu. Jeśli nie — to czeka nas „kryterium uliczne".

— Ciągle ono nam grozi?

— Tak. A dlatego tak, że trudno będzie ludziom wytłumaczyć, że po przeszło 40 latach trzeba się znów cofnąć w poziomie życia o 35 lat. I — na dodatek — nikt za to nie będzie ponosił odpowiedzialności. Bo to, że PZPR po 45 latach sprawowania władzy zatrzymuje w nowym rządzie tylko — choć być może sytuacja ukształtuje się inaczej — dwie teki ministerialne, to nie jest to żadną konsekwencją tego, co się stało. Jak więc wytłumaczyć ludziom powód, dla którego cofamy się o 35 lat? I czy ludzie zechcą to zrozumieć? To właśnie jest sedno zagadnienia!

— Jakie widzi pan z tego wyjście?

— Ludzie coraz częściej mówią o tym, że potrzeba nam silnego rządu, który twardą ręką weźmie wszystkie sprawy i zaprowadzi porządek.

— Takie nadzieje wiązano ze stanem wojennym, który został wprowadzony 13 grudnia 1981 roku.

— Trzeba jednak pamiętać, że wojskowi rzadko kiedy gwarantowali postęp społeczno-gospodarczy. Podobne nadzieje wiązano z rządem pana Mieczysława Rakowskiego. Ale jak okazało się to też był niewypał.

Być może wyniki prac specjalnej komisji dla oceny rządu Rakowskiego przyniosą odpowiedź na nurtujące nas pytanie. Odpowiedź na pytanie, dlaczego temu rządowi nie udało się osiągnąć zamierzonych celów, byłaby posunięciem we właściwym kierunku.

— Miałoby to być udowodnieniem winy, czy merytorycznym rozstrzygnięciem?

— Merytorycznym rozstrzygnięciem! Trzeba jednak wysłuchać obu stron. Pan Rakowski nie powinien czuć się obrażony, a przeciwnie — dla dobra sprawy — stanąć przed komisją sejmową i złożyć pełny raport ze sposobów rządzenia. A parlament powinien obiektywnie rozstrzygnąć o wynikach tych starań. Tu wcale nie idzie ani o odwet, ani o obrażanie się, ale o ustalenie, co w stanowisku każdej ze stron jest racjonalne, co tworzyłoby zaczyn programowego działania na przyszłość.

— Czy stare struktury, których tak obawiała się „Solidarność" nie będą stanowiły przeszkody w procesie dokonujących się zmian?

— Niewątpliwie i stare struktury i nowe nawyki będą balastem. Ale do tego problemu można podejść w dwojaki sposób. Z jednej strony można powiedzieć — jak to robili przez całe dziesięciolecia komuniści — że stare struktury i nawyki przeszkadzają w budowie nowego ustroju. I gdyby nie one, to dawno mielibyśmy socjalizm. I drugi punkt widzenia, który zakłada, że można opracować program minimum zmian koniecznych, który zakłada realizację postępu pożądanego.

Dla uniknięcia zbytniej abstrakcyjności rozumowania, posłużę się przykładem Władysława Gomułki i jego programem, który sprzeciwiał się komunistycznym doktrynerom i zakładał, że w Polsce można zbudować socjalizm, ale jeśli nie będzie się walczyć z Kościołem i postawami ludzi wierzących, nie będzie się niszczyć gospodarstw indywidualnych rolników i jeśli będzie się szanować narodowe tradycje Polaków. To był program racjonalny, podczas gdy program stalinowców był programem absurdalnym i wobec tego Władysław Gomułka znalazł się w więzieniu.

Powstaje zatem pytanie, czy należy wszystko zaczynać od nowa — jak to proponuje pan Karol Modzelewski kontynuator tej niedobrej szkoły — czy też będziemy szukali rozsądnych kompromisów. Wszystko wszakże sprowadza się do tego, czy mediacje i poszukiwania będą prowadzone w Senacie i Sejmie, czy też będzie się to dokonywało poza nimi, a one będą tylko fasadą.

— A co z „Solidarnością", w jakim kierunku pójdzie jej rozwój?

— „Solidarność" powstała jako ruch związkowy o charakterze rewindykacyjnym. Jeśli zmieni swój charakter, to stanie się tym, czym były związki zawodowe CRZZ. Przypomnę może wypowiedź pana Jurczyka, która ukazała się w tygodniku „Zmiany". Mówi on wyraźnie, że „Solidarność" ponownie zarejestrowana w kwietniu 1989 roku nie jest tą „Solidarnością" z 1980 roku. A to ze względu na rezygnację związku z prawa do strajku. W tym jest główne źródło rozejścia się między dwoma nurtami „Solidarności", bo jeśli nie ma prawa do strajku, to jest to związek zawodowy CRZZ. I co więcej — strajki będą, tyle że poza „Solidarnością". I poza związkami pana Alfreda Miodowicza. Może powstać taka sytuacja, że utworzy się zupełnie nowa „Solidarność" albo związek o innej nazwie, który będzie miał siłę przebicia.

— Nie widzi pan zatem możliwości połączenia się obu nurtów w „Solidarności"?

— Widzę chęć zachowania jednego związku. Ale widzę też różne dążenia. Grupa Lecha Wałęsy „ucieka do przodu", gdyż uznała, że sprawy wewnętrzne rozwiążą się na płaszczyźnie politycznej. Ale rzeczywistość temu przeczy. Mamy już premiera „Solidarnościowego", a ludzie nadal strajkują. Coraz bardziej widoczne jest rozejście się między dołami a kierownictwem „Solidarności". Narasta konflikt jakby nieuchronny między tzw. grupą roboczą a Lechem Wałęsą. Może on wydawać się panu Wałęsie obojętny, bo już jest on mężem stanu, ale rzeczywistość jest taka a nie inna.

— Co sądzi pan o pozycji PZPR? Niektórzy uważają, że PZPR powinna przejść do opozycji.

— Zdziwię panią, ale uważam, że PZPR jest już od dawna w opozycji. W opozycji do... socjalizmu. I to od momentu, gdy ekipa Edwarda Gierka wysunęła pragmatyczne hasło: „By Polska rosła w siłę a ludziom żyło się dostatnio". Edward Gierek pojechał do USA i osiągnął sukces polityczno-gospodarczy. Polska miała żyć dostatniej. Zachód dał na ten cel kredyty. Resztę znamy już z własnego doświadczenia.

Dzisiaj nikt, kto zdrowo myśli, nie ma wątpliwości, że PZPR nie realizuje programu budownictwa socjalistycznego. Generał Wojciech Jaruzelski wygłaszał wprawdzie slogany o obronie socjalizmu, tak jak i niepodległości, ale nikt nie bronił ani tego, ani tamtego. Być może ujawnienie rzeczywistych relacji Polska — ZSRR pozwoli nam na zmianę oceny postawy gen. Wojciecha Jaruzelskiego, ale nim się to stanie, trzeba mówić o tym, co jest powszechnym odczuciem. A to odczucie sprawiało, że Polskę odbierano jako kraj nie w pełni suwerenny, a wszelkie próby reform były marnowane, gdyż cała polityka gospodarcza służyła nie narodowi polskiemu, a celom międzynarodowego komunizmu. Dziś mówi się o tym już na forum sejmowym. O pomocy dla Mozambiku, Wietnamu, Korei itd.

Tu muszę się zastrzec. Nie solidaryzuję się z tymi, którzy domagają się zredukowania wydatków na MON i MSW. Skłonny jestem wierzyć w to, co kiedyś ujawnił Jerzy Urban o wielkości wydatków Polski na obronę w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Nasza armia jest niedoinwestowana i źle zaopatrywana, jak wszystko w PRL. Podobnie jest z milicją. Wcale więc nie chodzi o to, aby obcinać pieniądze na te cele, ale aby je wydawać z sensem.

Czy partia rozpadnie się? Nie wiem. W każdym razie to nie może być partia „ogólnonarodowa", która reprezentuje wszystkich, bo partia musi mieć własną tożsamość.

— Czy widzi pan możliwość zachowania pryncypiów socjalistycznych?

— Opozycja operuje przewrotnym hasłem. Powiada tak: — socjalizm oczywiście, ale np. typu szwedzkiego. Ale co to jest ten szwedzki socjalizm? To jest taka kombinacja, że w bazie mamy mieć prywatną własność środków produkcji, a w nadbudowie rząd partii socjalistycznej lub socjaldemokratycznej.

Możliwa jest także inna kombinacja. Mamy uspołecznione środki produkcji w bazie i w nadbudowie strukturę parlamentarnej demokracji. Czyli idzie o zmianę formy państwa. I to jest — moim zdaniem — możliwe, choć kłóci się z naszymi dotychczasowymi doświadczeniami. Brakuje tu teorii. W tej dziedzinie panuje totalny zamęt.

Co natomiast wykazuje praktyka? Wykazuje ona, że dokonuje się u nas kurs na reprywatyzację. Spójrzmy na powstałą koalicję sejmową. Składa się ona z przedstawicieli chłopów — to ZSL, warstw miejskich pośrednich — to SD i tendencji prywatyzacyjnych reprezentowanych przez OKP. Do tego dochodzi część nomenklatury PZPR, która chce się uwłaszczyć. Tak właśnie formuje się sojusz tych, którzy posługują się hasłem reformy gospodarki.

— I nic więcej?

— Nie, gdyż na zapleczu są jeszcze siły jawnie liberalne. Alternatywą dla takiego układu sił politycznych może być partia lewicowa, która obejmie ludzi pracy i opowie się za utrzymaniem społecznego charakteru środków produkcji. Przy tym chciałbym zwrócić uwagę na znamienny fakt, że w dyskusjach o formach własności wypada zupełnie spółdzielczość. A spółdzielczość — to była przecież baza kształtowania się socjalistycznej koncepcji i pole dla praktycznej działalności partii socjalistów.

— Powstają nowe partie i będą chyba dalej powstawały. Czy znajdzie się dla nich baza społeczna?

— Mamy ponad milion ludzi z wyższym wykształceniem, a więc potężny potencjał intelektualny. Powstaje raczej pytanie: jak go wykorzystać? Pewne przykłady są. Powstają różne grupy quasi-polityczne — jak choćby krakowska „Kuźnica" czy inne, skupione wokół różnych pism. Ale myślę, że problem nie w tym. Rzecz w tym, czy nastąpi reaktywizacja grup politycznych z przeszłości: PPS, Stronnictwo Pracy, Narodowa Demokracja i inne tzw. partie historyczne, czy też powstaną zupełnie nowe ugrupowania polityczne, prosocjalistyczne, proliberalne itd., wywodzące swoją genezę z obecnych stosunków społecznych.

Mamy też nietypową sytuację, jedynie możliwą w Polsce, a mianowicie społeczną rolę Kościoła. Kościół jest wszechobecny, inspiruje działalność różnych grup przez swoich ludzi, którzy odwołują się do nauki społecznej Kościoła. A Kościół nie opowiada się ani za socjalizmem, ani za kapitalizmem. Natomiast opowiada się za pewnymi zasadami ustrojowymi, które można z powodzeniem usadowić tak w socjaliźmie, jak i w kapitaliźmie. Są to — ogólnie rzecz ujmując — zasady współżycia społecznego. Można się nimi inspirować, można je z większym lub mniejszym powodzeniem realizować, ale to nie jest opowiadanie się za określonym ustrojem.

— To nie jest jeszcze odpowiedź na moje pytanie.

— Zgadza się. Proszę wszakże pamiętać, że partii się nie dekretuje. One powstają z zapotrzebowania społecznego, które albo jest, albo go nie ma. Poza tym, co ledwie powstaje, to zaraz się dezintegruje, jak choćby PPS. „Solidarność" też nie jest tu wyjątkiem.

Wracając do warunków tworzenia się partii politycznych — trzeba pamiętać też o sąsiadach. Jeśli często mówimy o ruchu kontrolowanym, to jest on również kontrolowany przez czynniki zewnętrzne i nie mam tu na myśli jedynie ZSRR. Bo na przykład ZSRR i NRD mogą poczuć się zagrożone tym, co się dzieje w Polsce.

— Nie widzi pan czynników kontrolujących ten proces od wewnątrz?

— Owszem, widzę. Przecież ciągle powtarza się, że „oni" mogliby wprowadzić znów stan wojenny. To jest równie istotny czynnik hamujący przemiany. Można powiedzieć: polska nienormalność. W innych krajach bowiem ludzie, jeśli mają wspólne poglądy, to zbierają się, organizują i razem działają. Nikt im tego nie ma za złe. Nic im z tego tytułu nie grozi.

— Obecnie w Sejmie najmniej słychać o „świeckich katolikach", PAX i innych ugrupowań. Dlaczego?

— Sądzę, że oni najlepiej rozumieją własne interesy. Pamiętają o tym, co zresztą PZPR przypomniała ZSL i SD, że swoje mandaty zawdzięczają partii. Oni wiedzą, że w momencie, kiedy sprzeciwią się swojemu patronowi, po prostu wypadają z obiegu. Natomiast w szeregach ZSL i SD pojawiła się możliwość autonomii. Mogli więc podjąć pewne ryzyko polityczne. Poza tym warto pamiętać, że „syn marnotrawny" zawsze jest mile widziany, gdy wraca w domowe pielesze. Ale „tatuś" może postawić powracającemu nieco twardsze warunki.

— Sytuacja zmienia się u nas niemal z godziny na godzinę. Wszystko może się zdarzyć. Ale w tym totalnym zamęcie — jak to pan powiedział — można dostrzec też pewne kierunki działania. Widzę na przykład w najbliższym czasie walkę o samorząd terenowy.

— Zacznę może z pozoru nie na temat. Ale to jest konieczne. Otóż kryzys w PRL dotyczy nie tylko polityki, nie tylko gospodarki, dotyczy przede wszystkim koncepcji samego człowieka, w którego postawie miały dominować motywy prospołeczne. Tymczasem w odbiorze społecznym nie ma takich, a na stanowiskach siedzą ludzie, którzy ciągną dla siebie. Kto zatem będzie chciał brać udział w tworzeniu samorządności? I na tym właśnie polega moralny kryzys naszej rzeczywistości. Każdy zajmuje się własną grządką. Każdy uważa, że tylko jemu coś się należy. Dokonuje się proces prywatyzacji dążeń i celów. Ja nie należałem do grona takich ludzi i może dlatego nazywają mnie „człowiekiem z księżyca". Ale mniejsza o to.

O co więc chodzi? Chodzi o to, aby zupełnie nie zanikło poczucie wspólnego dobra. Jeśli bowiem tak się stanie, to nigdy nie wyjdziemy z kryzysu. Ktokolwiek takie tendencje odrodzi — czy uczyni to orientacja socjalistyczna, chadecka, państwowa — mniejsza o to. Będzie to siłą konstruktywną.

— W braku takich tendencji upatruje pan zanik samorządności?

— Tak. Podam prawie klasyczny przykład, którego nie wiem dlaczego nie wykorzystali dziennikarze. Otóż w jednym z miast zastrajkowali ostatnio pracownicy komunikacji miejskiej. Przedsiębiorstwo zareagowało podniesieniem ceny biletów do 90 zł. Miejska rada narodowa bezkrytycznie zaakceptowała to przerzucenie ciężaru kosztów na społeczeństwo. Zaprotestowały natomiast związki zawodowe. Wtedy sprawa wróciła do komisji RN. Dlaczego tak się stało? Czy nie dlatego, że radni mają bezpłatne bilety i podejmując taką decyzję nie myśleli kategoriami człowieka, który będzie wyjmował te 90 zł i płacił za bilet? Ich to nie dotyczy.

— Jaki z tego wniosek?

— Bardzo prosty. Gdziekolwiek panią wybiorą, natychmiast wyrasta nad panią ochronny parasol przywilejów. W tym właśnie upatruję źródła kryzysu moralnego i kryzysu samorządu.

— Proszę to szerzej rozwinąć.

— To proste. Wielu ludzi chce wejść do organów samorządu, ale nie po to, aby działać dla dobra innych, ale po to, aby móc realizować własne interesy. A to już niewiele ma wspólnego z samorządnością. Chodzi więc o to, aby do samorządu trafiali przede wszystkim ludzie myślący o służeniu innym, dbający o dobro ogółu.

— Może zatem w nowej ustawie o samorządzie trzeba byłoby zlikwidować wszelkie przywileje?

— I tak właśnie w podanym przykładzie powinni uderzyć dziennikarze. Ale może wtedy okazałoby się, że w ogóle nie ma chętnych do działalności społecznej. Proszę zresztą zauważyć, że przy różnych wyborach, kiedy powinno się wybierać najlepszych, ci — uważani za najlepszych — na ogół odmawiają. Dokonuje się zatem jakby naturalna selekcja negatywna, no bo kogoś trzeba jednak wybrać, i ktoś się na to godzi. Najczęściej nie ten, o kogo chodzi, kto powinien być. I to jest ta nasza choroba społeczna, która wiąże się z postawami ludzi. I którą utrwala panujący system władzy.

30 sierpnia 1989 r.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Ze wspomnień: 17 września 1939 roku wypadło w niedzielę.

Wszystko miało dopiero nastąpić

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Wojna wybuchła w piątek, w niedzielę było 3 września 1939 roku i radio ogłosiło, że Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom.

— *Idźcie i powiedzcie o tym innym!* — powiedział spiker, a ja wziąłem to dosłownie.

Miałem dziewięć lat i mój ojciec był gdzieś na froncie. Mieszkaliśmy tuż przed kościołem. Po mszy ludzie szli ulicą Kościelną koło naszego domu. Usiadłem na furtce i gdy znajomi rodziców pytali, co tam słychać? — odpowiadałem z dumą, że Anglia i Francja wypowiedziały wojnę. Nie powstrzymało to jednak niemieckich samolotów i bomby sypały się na Zdołbunów jak na inne miasta i wsie. Zdołbunów był ważną stacją węzłową polskich kolei. Niemieccy lotnicy usiłowali więc trafić w tory, ale artylerzyści im to uniemożliwiali tak skutecznie, że bomby padły na łąki nad rzeką Ujściem zwaną. Akurat niedaleko ogrodu mego dziadka.

Wiadomości były coraz gorsze. Którejś nocy na północnym zachodzie gdzieś daleko błyskało. Wyglądało na burzę.

— *To nie burza* — powiedział sąsiad z ulicy Kościelnej — *to gdzieś pod Łuckiem. Wojna się zbliża.*

Ale wojna nadeszła z zupełnie innej strony. 17 września 1939 roku też była niedziela. Jakieś samoloty uparcie nisko latały nad Zdołbunowem. Ludzi to niepokoiło. Przyszedł też zaniepokojony sąsiad.

— *Słuchała pani radia?* — zapytał matkę.

— *Nie, a co się stało? Radio polskie milczy.*

— *Widziała pani te samoloty?*

Rozmowa toczyła się pod wielką lipą stojącą nie opodal domu. Akurat nadlatywał kolejny samolot. Wybiegliśmy spod gałęzi lipy, aby uważnie mu się przyjrzeć. Miał zielony kadłub i czerwoną gwiazdę.

— *To rosyjskie* — powiedział sąsiad. — *Czy można byłoby posłuchać Moskwy.*

Posłuchali i wszystko się wyjaśniło. Rosjanie przekroczyli naszą granicę i idą na zachód. W Ostrogu w KOP służył bliski ojca przyjaciel — Stefan Stec (o ile nazwisko dobrze pamiętam). Chorował na isjasz. Ucieszył się nawet, że powołano go do KOP. Zaginął bez wieści.

Zapanowało przygnębienie. Policjanci chodzili po mieście z karabinami przewieszonymi przez ramię lufą do dołu. Rano w mieście byli już Rosjanie. Ulicą Ostrogską maszerowali na Równe. Szli piechotą, kamienistą ulicą jechały tabory. Na kocich łbach chrzęszczały gąsienice ogromnych czołgów. I znów maszerowała piechota. Byliśmy ciekawi tego wojska i choć matka surowo mi zabroniła, pobiegłem na Ostrogską, aby popatrzeć na Czerwoną Armię, na Sowietów — jak powszechnie wtedy mówiono.

— *Zabrali policjantów* — przybiega ktoś z nowiną. Nie była to najlepsza nowina. Znów zapanowało przygnębienie. Wszyscy martwili się o przyszłość, a wielu ojców było gdzieś na froncie.

Po drugiej stronie ulicy stał dom pani Szulcowej. Dom był duży. Część jego wynajęła na jakiś ważny urząd. Teraz urzędu tego pilnował krasnoarmiejec, Siedział na schodach, trzymał w dłoniach karabin z długim wąskim bagnetem i nudził się jak mops. My łaziliśmy po orzechu, który rósł przed frontem naszego domu. Orzech obficie obrodził, zrywaliśmy więc orzechy i tłukliśmy je kamieniami. Ciągle spoglądaliśmy na krasnoarmiejca, ciekawi cóż to za człowiek. Wreszcie postanowiliśmy podejść bliżej i przypatrzeć się żołnierzowi. Staliśmy chwilę, aż któryś z naszej gromadki wyciągnął rękę z orzechem i powiedział nieśmiało.

— *Posmatry diadia, kakije krasiwyje!*

Dobry zwyczaj nakazywał, żeby do starszego zwracać się per *„diadia"* — wujku. A my znaliśmy dobre obyczaje.

— *A nu, chaditie siuda!* — powiedział *„diadia"* i wyciągnął rękę po orzechy.

Podeszliśmy. *„Diadia"* usiadł na schodkach, wyjął zamek z karabinu i kolbą zaczął tłuc orzechy. Potem podał nam karabin i razem tłukliśmy te nasze, piękne orzechy. Bardzo nam się to podobało. Ale następnego dnia bardzo ważnego urzędu pilnował już inny „bojec" i na nasz widok ostro zareagował.

— *Uchaditie pacany, zdieś nielzia!!!*

Wrzesień był piękny, ale pod koniec pogoda popsuła się i zrobiło się mgliście i chłodno. Któregoś takiego mglistego dnia wczesnym rankiem jakiś żołnierz zastukał w kuchenne okno Matka pomyślała, że to może ojciec wraca. Ale był to nieznany żołnierz, który uciekł z rosyjskiej niewoli. Prosił o cywilne ubranie. Dostał po ojcu. Mundur matka spaliła w piecu. Później żałowała, bo z dobrego, wojskowego sukna można było mnie lub bratu uszyć piękne ubranka. Gdy żołnierz nakarmiony i odziany poszedł sobie, matka powiedziała do babci.

— *Może gdzieś ktoś tam Stasiowi pomoże.*

Pomogli. Ojciec dostał się do niemieckiej niewoli w rejonie Sądowej Wiszni. Całą kolumnę Niemcy pędzili na zachód. W pobliżu jakiejś wsi poszedł w krzaki za potrzebą. Kolumna poszła dalej. Gdy już zniknęła za wsią i wkoło zrobiło się cicho, wyszedł z krzaków i poszedł w kierunku najbliższej zagrody. Wszedł do środka i instynktownie powiedział po ukraińsku: — *Dobryj weczer!* — to go uratowało. Ukraińcy go przenocowali, nakarmili, dali cywilne ubranie i pokazali drogę na Lwów.. We Lwowie byli już Rosjanie.

Któremuś krasnoarmiejcowi spodobał się ojca zegarek z tombakową dewizką. Więc mu go zabrał. Ojciec poskarżył się komandirowi. Ten zawarł z ojcem ugodę. Ja znajdę tego, który wziął ci zegarek, a ty mi go sprzedasz. Zwołał oddział i kazał ojcu pokazać, który mu zabrał zegarek. Ojciec pokazał. „Bojec" oddał zegarek, a ojciec dostał za ten zegarek dwa bochenki chleba. Chleb mu się bardzo przydał w drodze ze Lwowa do Zdołbunowa.

Najpierw pociągiem dojechał do stacji Brody. Odczekał tam na następną okazję. Dojechał w pobliże Zdołbunowa. Na wszelki wypadek wysiadł z pociągu na Radziwiłłowskiej. Tak nazywano pola wzdłuż torów wiodących do Lwowa. Stamtąd przyszedł piechotą do domu. I znów któregoś mglistego dnia ktoś zapukał do okna od strony podwórka. Tym razem to był ojciec.

Na ulicy Kościelnej, tylko dalej w stronę torów, stał dom naszeko kuzyna ze strony matki — Pola Lipińskiego. Pol był chorążym w którymś pułku piechoty w Równem. Był Legionistą i osadnikiem wojskowym. Poszedł na wojnę razem ze swym pułkiem. Któregoś dnia przyszedł do ojca znajomy kolejarz.

— *Wczoraj naszych oficerów wieźli na wschód* — powiedział — *W jednym z wagonów był Pol Lipiński. Prosił, aby zawiadomić rodzinę.*

Zawiadomiliśmy Ciotka Lusia bardzo się z tego ucieszyła. Ale bardzo jej to nie pomogło, bo już miała kłopoty. Osadnicy wojskowi, rodziny polskich oficerów, policjantów i urzędników nie były mile widziane, nawet wręcz przeciwnie. Ciocię Lusię nachodzili jacyś ludzie. Później okazało się, że byli to pracownicy NKWD. Wywieźli ją z synem i córką jako jednych z pierwszych. Dali mało czasu na zabranie rzeczy. Do Polski ciocia Lusia wróciła dopiero w 1957 roku. Była na pogrzebie mojej matki. Pol wraz z córką osiedli w Australii. Ale to wszystko miało dopiero nastąpić.

Bitwy września 1939 roku po 50 latach.

Czy pod Mokrą ułani atakowali czołgi szablami?

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

I.

Leutnant Peter Derna, dowódca kompanii czołgów w 4 D. Pancernej Wehrmachtu pisze:

„Mamy straty, rozwijające się natarcia grzęzną, cofamy się przegrupowując siły Ale ponawiamy ataki, bo cel, który mamy osiągnąć, decyduje o powodzeniu działań armii, a może i kampanii: jak najszybciej przebić się na wschód ku polskiej stolicy".

Czy Peter Derna przesadził oceniając ważność kierunku, na którym walczyła 4 D.Panc. Wehrmachtu?

Chyba nie. Gen. Georg Hans Reinhardt, który tak skrupulatnie pominął bitwę pod Mokrą w „Wehrkunde", w innym miejscu przyznaje, że to nie *„głęboko piaszczysty teren..."*

Pozwolę sobie przepisać to, co z wypowiedzi generała zamieścili w swojej książce „Wisła ruszyła o świcie" A. Konieczny i J. Pelc-Piastowski:

„Pierwszy dzień wojny miał dla podległych mi oddziałów szczególnie dramatyczny przebieg. Natrafiliśmy na desperacki opór, głównie pułków kawaleryjskich posługujących się, groźną jak się w praktyce okazało, bronią dla naszych wozów bojowych — artylerią, a zwłaszcza niewielkimi, ale skutecznymi działkami przeciwpancernymi".

Gen. Georg Hans Reinhardt był na temat polskiej broni przeciwpancernej innego zdania niż gen. Franz Halder, który z wysokości swego stanowiska szefa sztabu zanotował we wrześniu 1939 r.:

„polska broń przeciwpancerna — nieskuteczna".

Dalej gen. Georg Hans Reinhardt pisał:

„Największą przeszkodą okazała się jednak determinacja polskich oficerów i zwykłych żołnierzy, którzy za nic mieli naszą zdecydowaną przewagę, wykazując zdumiewającą pogardę dla śmierci. Ponieśli ogromne straty, ale nam również narobili kłopotów, opóźniając znacznie marsz naprzód. Miałem z tego powodu przykrą rozmowę z dowódcą Korpusu, gen. E. Hoepnerem, który czynił mi wymówki, że z naszej winy nie wykonał postawionego mu przez sztab 10 Armii zadania".

Natarcie o godzinie 10.00. Z kilku relacji wynika, że nie nastąpiło wówczas przedarcie się niemieckich czołgów przez pas obrony 21 pułku ułanów na zachodniej lizjerze lasu Grodzisko i w przerwie leśnej. Również i ja tak początkowo sądziłem. Zacząłem jednak w to powątpiewać.

Część czołgów przedarła się na polanę, przerwała łączność artylerzystom i doprowadziła do pierwszej bezpośredniej walki 2 DAK z wozami bojowymi. W trakcie tego natarcia następuje sukcesywna rozbudowa drugiej linii obrony na wschodnim skraju polany — 12 pułk ułanów. W odparciu tego natarcia bierze udział pociąg pancerny „Smiały", który górując z nasypu nad polem walki może zrobić to, czego „oślepłe" z braku łączności baterie DAK zrobić nie mogą — zaryglować ogniem dostęp do polany kolejnym czołgom. Niemcy wycofują się na pozycje wyjściowe.

Godzina 12.00 (niektórzy podają 13.00). Drugi atak. Tu już nikt nie kwestionuje wdarcia się dużej liczby czołgów na polanę. Część maszyn uwikłała się jeszcze w walkę na pierwszej linii obrony, gdzie ciągle tkwił 21 pułk ułanów, a raczej elementy jego dwóch szwadronów — działa przeciwpancerne; reszta wozów dociera do baterii. Atak zostaje odparty przez artylerię, pociąg pancerny i 12 pułk ułanów. Pozostaje otwartą kwestia, w którym z natarć **kontratakuje 21 dyon pancerny. Wiemy, że kontratakował.**

Godzina 15.00. Już w tym natarciu czołgi nie natrafiły na opór 21 pułku ułanów na pierwszej linii. Zdolne do boju pododdziały pułku przedłużają linię obrony 12 pułku ułanów. W tej walce nie bierze udziału pociąg pancerny, gdyż uwikłał się w bój spotkaniowy z niemieckimi czołgami na północ od polany.

Dopiero teraz baterie DAK ponoszą duże straty. Powstaje konieczność ewakuowania ich z pola walki. Miało to się odbyć pod osłoną pociągu pancernego, ale wobec nieobecności „Śmiałego" baterie wycofują się stosując jedynie autoasekurację oraz korzystając ze wsparcia działek przeciwpancernych na lizjerze lasu. Musiało to nastąpić już po okresie przesilenia, bowiem ten krytyczny moment nie został przez Niemców w pełni wykorzystany. Przesilenie nastąpiło, zdaniem wielu autorów, w wyniku kontrataku 21 dyonu pancernego, wprowadzenia ostatnich rezerw broni przeciwpancernej z 2 pułku strzelców konnych, a również ze względu na długotrwałość boju, wyczerpania paliwa i amunicji w czołgach.

Godzina 17.00. Musiałem założyć istnienie takiego natarcia z następujących powodów: po pierwsze — pozostało jeszcze więcej niż dwie godziny do zmroku, a zadanie dla 4 D. Pancernej było dalekie od wykonania.

Po drugie — Niemcy musieli zauważyć odejście dział ze stanowisk.

Po trzecie — pamiętnikarze z 12 pułku ułanów jednogłośnie twierdzą, że był taki czas, kiedy pułk został jedynym obrońcą polskich pozycji.

Po czwarte — posiadam niemiecką relację, która w pewnych momentach rysuje wręcz infernalny obraz bitwy, ale słowem nie wspomina o działach strzelających „na wprost". Mogę więc założyć, że już ich nie było.

Oczywiście powyższy schemat może być i będzie kwestionowany.

II.

Stanisław Piotrowski w książce „W żołnierskim siodle" pisze o starciu szwadronu 12 pułku ułanów podolskich prowadzonego przez rtm. Jerzego Hollaka z niemieckimi czołgami.

„Hollak poprowadził swój szwadron galopem w kierunku wsi Mokra II. Po drodze natknął się na uszkodzone czołgi niemieckie. W cwale zamigotały szable ułanów. Cięcia z góry i na odlew rozpłatały niektórych czołgistów, ale ogień karabinów maszynowych z innych czołgów zadał pędzącym ułanom straty. Niektórzy z nich zdołali obrzucić granatami zaskoczonego nieprzyjaciela".

W to, że któryś tam w przelocie zdołał dziabnąć szablą jakiegoś pętającego się na przedpolu, naprawdę zaskoczonego, czołgistę, jestem w stanie uwierzyć, ale z tymi granatami rzucanymi z konia — już gorzej. Teoretycznie jest to wykonalne. Koniowi w cwale można właściwie puścić wodze, będzie szedł równiutko za innymi, a więc odbezpieczę granat... i co dalej? Można rzucić przed siebie, ale tylko po to, aby zginąć niejako z własnej ręki. Na boki... Tak, znajdujący się na flance ułani mogą to zrobić. Również można za siebie. Tylko w kogo?

W końcu zadzwoniłem do płk. Józefa Szostaka.

— *Kto panu takie bzdury opowiadał? Jak żyję, nie słyszałem o czymś takim* — brzmiała odpowiedź — *przecież to nonsens!*

Jeszcze jedna relacja. Opowiada Koszutski:

„Przed nami palą się chaty trzech równoległe do siebie leżących wsi Mokra, o nazwach Mokra I, II, III. U zachodniego ich skraju widać kilka unieruchomionych przez 21 pułk ułanów i baterię DAK czołgów niemieckich. Niektóre dymią. Dym tych czołgów i palących się chat wlecze się nisko po okolicznych polach. Słychać sporadyczne serie kaemów, wybuchy pocisków niemieckich w rejonie stanowisk baterii i wystrzały tejże baterii. Strzelają również dwie baterie wycofane z przedpola, spoza stanowisk 12 pułku ułanów. Z przedpola wycofują się w szyku konnym, luźnymi grupami, plutony 21 pułku ułanów.

Z lasu wychodzi szwadron Hollaka. Na czele patrole bojowe. Za nimi w odległości kilkuset metrów szwadron w kolumnie plutonów, w szykach luźnych. Za ostatnim plutonem działko p.panc. Idą kłusem jak na manewrach. Szable i lance w dłoniach. Piękną postać rtm. Jerzego Hollaka widzę w poczcie za czołowym plutonem. Idą otwartym terenem wzdłuż zabudowań wsi Mokra III.

Patrole bojowe znikają mi z oczu. Czołowy pluton dochodzi do zachodniego skraju wsi. Nagle... pluton zderza się z grupą kilkudziesięciu czołgów wyłaniających się z dymu Powstaje mieszanina ludzi, koni i czołgów. Jedno kłębowisko.

Czołgi otwierają ogień ze wszystkich karabinów maszynowych. Przewracają się konie i walą z siodeł na ziemię ułani. Rtm. Jerzy Hollak daje znaki do zmiany kierunku — chce się przebić do lasu — na zachód od wsi — poprzez ziejące ogniem wozy Niemców. Niektórzy ułani starają się ciąć szablami głowy wychylonych z wież dowódców wozów. Działko p.panc. odprzodkowuje i oddaje kilka strzałów, zostaje jednak prawie natychmiast rozbite pociskiem, a może przejechane gąsienicami czołgów.

Na rozkaz Hollaka szwadron przeskakuje galopem 500 metrów, dzielących go od lasu, i tu ułani spieszają się, zajmując stanowisko obronne".

Przedstawiony przez Koszutskiego obraz będzie obiektem mojej szczególnej krytyki. Wprawdzie autor zastrzega, że spotkanie było absolutnie przypadkowe, ale z takich właśnie relacji naocznych świadków zeszyte zostało urągające zdrowemu rozsądkowi, wręcz obraźliwe dla żołnierzy września powiedzenie: *„z szabelką na czołgi".*

Dajmy jednak wiarę, że ułani nie potrafili zatrzymać koni i jak to powiadają — zagalopowali się.

„Czołgi otwierają ogień ze wszystkich karabinów maszynowych" — pisze Koszutski, a jednocześnie twierdzi, że jacyś faceci wystawiali głowy z włazów.

Kto mógł być tak nieostrożny? W czołgu PzKw I obsługę stanowiło w ogóle dwóch żołnierzy. Mechanik-kierowca i dowódca czołgu, który był jednocześnie celowniczym. Jeśli strzelał, to łba z wieży nie wytykał. W PzKw II było już trzech czołgistów. Mechanik-kierowca, radiotelegrafista-siedzący tyłem do kierunku jazdy i dowódca-celowniczy, który również, aby zacząć strzelać musiał zniknąć we wnętrzu czołgu. Powiedzmy, że patrole rtm. Jerzego Hollaka miały pecha i trafiły na kompanię ciężką, w której były również wozy PzKw III i IV. Tu już znaleźliby się tacy, którzy, gdyby mieli na to ochotę, mogliby się wynurzyć spod pancerzy — w nie bardzo zresztą zrozumiałych celach. Jeżeli wszystkie cekaemy kilkudziesięciu czołgów akurat strzelały dookoła, to ja takich ochotników nie widzę.

Przypuśćmy jednak, że znalazł się głupi Niemiec, który w takiej sytuacji łba nadstawiał i głupi czy zdeterminowany Polak, który postanowił go szablą dziabnąć — na wojnie wszystko jest możliwe. Przypomnę jednak, że do takiego już niezwykle mało prawdopodobnego przedsięwzięcia musiał być jeszcze trzeci ochotnik — koń. Nigdy wprawdzie nie walczyłem z konia, zwłaszcza z czołgami, ale wiem, co potrafi zrobić zwierzę, kiedy się zląknie. Wśród koni 12 pułku ułanów nie widzę ochotnika do takiej zabawy. Wychowane w Białokrynicy, gdzie już automobil wywoływał sensację, były wprawdzie przyuczane do słuchania strzelaniny, ale nie do ataku na czołgi. I po co one w pierwszym dniu wojny miałyby się pchać na ogromną, strzelającą, ruchomą, warczącą stodołę z żelaza.

Kolejnym autorem opisującym bodaj to zdarzenie jest „Czarny Huzar" Reibig. Piszę „bodaj", bowiem jest kilka pododdziałów polskich, o których z tej fazy działań nie mamy żadnych relacji. Może Reibig strzelał zupełnie do kogo innego. A oto jego relacja:

„Nagle z mojej prawej flanki pojawia się polska kawaleria. Jeszcze jest oddalona od nas około 500 metrów, obserwuję ją i myślę przy tym „przecież oni nie będą nas chyba chcieli atakować, to znaczyłoby tylko ich zniszczenie. Jesteśmy tylko dwoma czołgami, ale mimo to prezentujemy znaczną siłę ognia. Bóg wie, oni są jednak tak nierozsądni".

Tym lepiej dla nas, nie musimy zmieniać kierunku ataku. Szable uniesione, lance mocno przyłożone, pędzą ku nam. Piękny widok, staremu kawalerzyście śmieje się serce w piersi. Jednak nie ma czasu na długie przyglądanie się. Pozwalam im nadciągnąć, ustawiam krótko na wprost piersi koni i przy 200 m mój palec wskazujący wyzwala śmierć. Jak kosa w dojrzałym zbożu tak działają salwy karabinu maszynowego. Po kilku minutach wszystko ucichło. Tylko niewielu udaje się uciec do chroniącego lasu".

W tym przypadku, jak łatwo zauważyć, były tylko dwa czołgi, a nie kilkadziesiąt, natomiast ułani, jak się zdaje, po prostu chcieli dopaść lasu. To mógł być patrol ze szwadronu rtm. Jerzego Hollaka.

Co może zrobić dowódca grupy ułanów, który - powiedzmy na kilkaset metrów przed sobą — zobaczył dwa czołgi. Zawracanie nie przyniesie rezultatu. Z boku jest las — więc do lasu.

Może jeszcze zacytuję wspomnienia tego, który w tym Hollakowym przeskoku brał udział. Jest nim ppor. Władysław Dziewicki — dowódca przydzielonego rtm. Jerzemu Hollakowi plutonu ckm:

„Dzień był piękny i słoneczny, posuwaliśmy się w szyku luźnym pod ogniem artylerii niemieckiej. Po przejechaniu około 1,5 km dowódca zebrał szwadron w kolumnę i weszliśmy do częściowo palącej się wioski Mokra III Zostałem wezwany na czoło i dowódca szwadronu wskazał mi, gdzie powinienem zająć stanowisko z moimi karabinami maszynowymi. Udałem się w tym kierunku konno, natykając się na armatę ppanc. 21 pułku ułanów. Stojący przy niej oficer powiedział mi, że Niemcy są tuż. Postanowiłem więc posuwać się dalej pieszo Uszedłszy kilka kroków usłyszałem warkot silników i zobaczyłem wieżyczki czołgów. Nie było czasu do stracenia. W rekordowym czasie znalazłem się z powrotem w lesie (chyba przy zabudowaniach? — A.W.), *poganiany ogniem karabinów maszynowych. Widząc, że zadanie, jakie otrzymałem jest niewykonalne, postanowiłem wrócić do szwadronu. Gdy dojechałem do skraju lasu, zobaczyłem szwadron galopujący na północ, w kierunku Mokrej II. Dołączywszy zająłem z karabinami maszynowymi stanowiska wśród zabudowań. W kilka minut potem padły pierwsze serie z czołgów. Zajmując stanowisko z karabinem maszynowym widziałem, jak nasza armata ppanc. po oddaniu kilku strzałów zamilkła. Przy armacie było dwóch zabitych, a jednego rannego ciągnął ułan w kierunku zabudowań..."*

A więc zupełnie inne widzenie. I jak tu dać wiarę świadkom? Tak właśnie — niestety — powstają legendy.

Reporter „Odgłosów" w Berlinie Zachodnim.

Wyspa w środku lądu

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Oczyszczalnia w czasie budowy

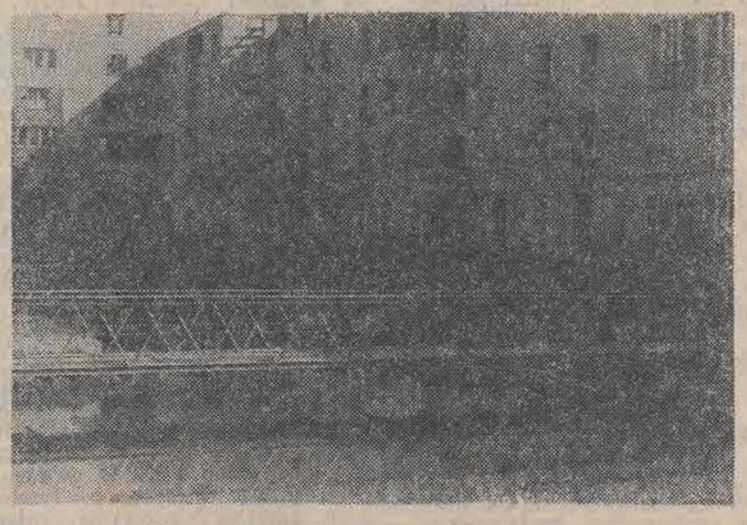

...i jej obecny wygląd

Berlińczycy chcą żyć w zgodzie z naturą. No, może nie wszyscy i nie tak od razu, ale faktem jest, że w mieście nad Sprewą i Hawelą coraz więcej ludzi interesuje się ekologią, a ochrona środowiska naturalnego nabiera coraz większego znaczenia. Dzieje się tak oczywiście nie bez powodu. Ten zaś jest w dużym stopniu konsekwencją podziału stolicy Niemiec, której zachodnia część — otoczona murem i terytorium innego państwa — stanowi „wyspę", skazaną w wielu dziedzinach prawie wyłącznie na to, co znajduje się na jej terenie. Że zaś są to zasoby raczej skromne, tym bardziej troszczą się o ich stan jej mieszkańcy. I nic dziwnego, skoro chcąc wybrać się na weekend, czy wczasy poza miasto, jechać muszą co najmniej do RFN, a chcąc pić na co dzień czystą wodę, nie mogą dopuścić do zatrucia jej ujęć, co byłoby prawdziwą katastrofą.

„Wyspa" Berlin Zachodni liczy około 1,9 mln mieszkańców, żyjących na 480 kilometrach kwadratowych powierzchni, której 42 proc. zajmują budynki, 12,5 proc. — place, drogi i ulice, a prawie 5 proc. — tory kolejowe oraz lotniska. Jest więc ciasno. Nawet bardzo ciasno. Statystycznie prawie 4 tysiące ludzi na kilometr kwadratowy. W rzeczywistości — jeszcze więcej, gdyż ponad 30 kilometrów kwadratowych zajmują rzeki i jeziora, zaś sto — lasy i pola uprawne, których areał ulega stałemu zmniejszeniu.

Żyjąc w takim zagęszczeniu, berlińczycy nie mogą być obojętni na to, co dzieje się dziś z otaczającą ich zielenią, z glebą, wodą, powietrzem. I na ogół nie są. Świadczy o tym chociażby wygląd parków, drzew przyulicznych, panująca prawie wszędzie czystość, jak również — że gdy w stolicy NRD matki spokojnie wychodzą z dziećmi w wózkach na zimowy spacer, te z Berlina Zachodniego posłusznie pozostają w domach, gdyż władze ogłosiły właśnie alarm smogowy, informując, iż stężenie siarki i azotu przekroczyło dopuszczalną normę.

Nie mogą też nie myśleć o przyszłości, o tym, w jakich warunkach przyjdzie im żyć za dziesięć, dwadzieścia, czy trzydzieści lat. I tu znów można by podać wiele przykładów takich jak: wprowadzenie w zakładach przemysłowych nowych technologii oczyszczania ścieków i spalin, coraz bardziej rygorystyczne normy, plany ograniczenia ruchu kołowego w niektórych, wymagających szczególnej ochrony rejonach miasta, czy też — powstanie pierwszego „ekologicznego" miniosiedla przy Bernburger i Dessauer Strasse w zachodniej części dzielnicy Kreuzberg, które — choć skromne i niepozorne — jest wymownym przejawem nowych tendencji urbanistycznych, opartych na przeświadczeniu, że wielkomiejskie życie w zgodzie z naturą wcale nie musi być mrzonką.

Osiedle tworzy zaledwie kilka połączonych ze sobą bloków — „plombowców", z zewnątrz niewiele różniących się od okolicznej zabudowy, w którą zostały wkomponowane. Można przejść obok ulicą i nie zwrócić najmniejszej uwagi. Bloki w Berlinie nie stanowią przecież rzadkości i wcale nie zawsze ładniejsze są od polskich. Za to już pierwszy rzut oka na podwórko uzmysławia, że mimo wszystko, miejsce jest niezwykłe. Centralną jego część zajmuje bowiem... staw porośnięty na brzegach trzciną i sitowiem, z przerzuconymi nisko nad lustrem wody kładkami. Wygląda to oryginalnie. Od razu łamie też tradycyjne wyobrażenia o śródmiejskich podwórkach, które na ogół są zaniedbane i nieciekawe. To, dzięki niewielkiemu akwenowi, jest zdecydowanie inne. Przyciąga do siebie, budzi zainteresowanie. Myliłby się jednak ten, kto przypuszczałby, że wspomniany staw podnosić ma jedynie walory estetyczne podwórka, stanowić atrakcję dla dorosłych i dzieci oraz — umożliwiać bliższy kontakt człowieka z przyrodą w miejscu zamieszkania. Bo choć tak rzeczywiście jest, czy — ostrożniej rzecz ujmując — być może, to są to tylko „skutki towarzyszące", jako że w pierwszym rzędzie jest on częścią małej, przydomowej oczyszczalni ścieków.

Idea jest prosta: ponieważ rozwój miast pociąga za sobą między innymi stale rosnące zapotrzebowanie na wodę, którą wydobywać trzeba z coraz głębszych pokładów, a także — ciągły wzrost kosztów oczyszczania coraz większej ilości ścieków, dążyć należy do ograniczenia zużycia wody oraz — tworzenia wszędzie tam, gdzie to możliwe, tak zwanych zamkniętych jej obiegów.

„Ekologiczne" miniosiedle przy Bernburger i Dessauer Strasse jest w znacznym stopniu odzwierciedleniem tej idei, zaś własna oczyszczalnia ścieków pozwala na stworzenie takiego właśnie zamkniętego (przynajmniej częściowo) obiegu wody, co przyczynia się i do ochrony środowiska i w dłuższym okresie powinno dać spore oszczędności.

W praktyce wygląda to tak, że ścieki z kuchni i łazienek zamiast wprost do kanalizacji, najpierw trafiają do znajdującego się na podwórku osadnika i dalszych segmentów oczyszczalni, gdzie dzięki odpowiednio dobranym roślinom i współżyjącym z nimi drobnoustrojom ulegają — najkrócej mówiąc — biologicznemu podczyszczeniu, a następnie — do stawu ozdobnego, skąd potem już jako w miarę czysta wody wracają do mieszkań, służąc do spłukiwania toalet. Co ciekawe, staw zasilany jest w wodę nie tylko przez deszcz padający bezpośrednio na jego powierzchnię, ale także — na dachy bloków, na których znajdują się pełniące rolę swoistych filtrów... trawniki. W sumie tworzy to cały zintegrowany układ krążenia wody, pozwalający na znaczne oczyszczenie ścieków z od siedemdziesięciu do ponad stu mieszkań.

Dalszemu zmniejszeniu zużycia wody w osiedlu służą zainstalowane w mieszkaniach nowoczesne urządzenia sanitarne, takie jak: specjalne rezerwuary w toaletach, czy baterie wyposażone w ograniczniki przepływu, co w połączeniu ze sobą daje dobowe oszczędności rzędu nawet 50 litrów na osobę. A że we wszystkich mieszkaniach są wodomierze i płacić trzeba za każdy pobrany litr, mieszkańcy bardzo to sobie chwalą. W końcu zostaje im przecież w portfelach te kilka marek więcej, co przy czynszu dochodzącym do tysiąca marek miesięcznie nie jest dla nich bez znaczenia.

I niejako przy okazji — jeszcze problem śmieci, który rozwiązano tu również z myślą o ochronie środowiska, a mianowicie w ten sposób, że kuchnie w każdym ze 106 mieszkań zaopatrzono w cztery pojemniki z przeznaczeniem osobno na: makulaturę, tworzywa sztuczne i metale, zużyte artykuły włókiennicze oraz — odpadki organiczne, czyli głównie — resztki jedzenia. Zawartość pierwszych trzech pojemników wędruje — jako surowiec wtórny — do fabryk. To, co uzbiera się w czwartym, przerabia się na kompost, którym nawożone są ogródki działkowe lub inne tereny zielone. Nic prawie zatem się nie marnuje, służby oczyszczania miasta mają mniej pracy, a środowisko ulega — jeżeli już — minimalnemu tylko zanieczyszczeniu. Innymi słowy — same korzyści, a kłopot dla lokatorów — żaden, zwłaszcza że wielu spotkało się z taką metodą segregowania śmieci już w poprzednim miejscu zamieszkania, gdyż w różnej skali stosuje się ją od dawna w niejednym berlińskim domu. Nawiasem mówiąc, tyleż z wrodzonej, niemieckiej oszczędności, co — konieczności, gdyż Berlin Zachodni musi na razie „podrzucać" swoje śmieci NRD, słono za to oczywiście płacąc. I jest to kolejnym dowodem na twierdzenie, że jednak byt kształtuje świadomość, a ekologia i ekonomia są bliskie sobie nie tylko w słowniku.

Osiedle przy Bernburger i Dessauer Strasse oddane zostało do użytku w 1987 roku, jako jeden z obiektów Międzynarodowej Wystawy Budowlanej (IBA), którą zorganizowano w Berlinie po raz czwarty, i już choćby dlatego nosi ono wszelkie znamiona eksperymentu. Nad jego koncepcją pracowało wielu architektów, ale także — specjalistów z takich dziedzin jak: ekologia, klimatologia czy psychologia. Koszty związane z budową, projektowaniem oraz licznymi badaniami naukowymi, jakie trzeba było na wstępie przeprowadzić, znacznie przewyższyły te, jakie ponosi się przy wznoszeniu tradycyjnych bloków, a pokryło je w części Federalne Ministerstwo Budownictwa. Na razie nie ma więc mowy o upowszechnieniu się zastosowanych tu rozwiązań. Ale kto wie, czy za kilka, kilkanaście lat, jeśli eksperyment przyniesie pozytywne wyniki, ten właśnie model budownictwa mieszkaniowego nie zacznie dominować w Berlinie? Prawdopodobieństwo jest duże. Tak, czy inaczej — twierdzą autorzy osiedla — z pewnością warto było spróbować.

Podobnego zdania są zresztą mieszkańcy bloków, którzy zachęceni przez organizatorów wystawy, zawiązali swą własną organizację, mającą na celu propagowanie ekologicznego budownictwa. Jej przewodniczący — Carl-Ernst Arp nie tylko zna doskonale zasady działania oczyszczalni, którą ma tuż pod własnymi oknami, ale także — wszystkie jej praktyczne wady i zalety. To ważne, gdyż codzienne obserwacje wcale przecież nie muszą być całkowicie zbieżne z założeniami projektantów. I nie są, jako że na przykład początkowo ze stawu unosił się niezbyt przyjemny zapach. Jest to jednak mankament stosunkowo łatwy do wyeliminowania. Poza tym było to zjawisko związane z procesem ukorzeniania się roślinności wodnej, więc po części — nieuniknione. Mimo to, Carl-Ernst Arp uważa, że osiedle zostało dobrze zaprojektowane, wykonane i że wkrótce powinny powstać następne, choć dziś jeszcze trudno z całą pewnością stwierdzić, czy efekty ekonomiczne zachęcą władze Berlina do dalszych tego typu inwestycji. Po prostu jest na to jeszcze za wcześnie.

Anglicy zrobili furorę

ze str. 1

wali ich wiązki za przystępną cenę. Coraz to szacowne, mieszczańskie domy Champs Elysees wstrząsane były wybuchami ładunków rzucanych przez domorosłych pirotechników. Największym kunsztem było wrzucanie petardy pod otwarte drzwi kafejki. Pijącym przy barze szklanki leciały z rąk. Zachwyt kumpli po fachu wzbudziło rzucanie ładunków tuż pod nogi dziewczyn, paradujących zgodnie z modą i pogodą w kusych sukienkach. Kilkanaście poparzonych osób odwieziono do szpitala. Zabawa trwała do rana.

Na postoju taksówek przy bocznej uliczce siedziało troje ludzi. Rozkładane krzesełka plażowe, termosy, chyba z herbatą.

— *Nie, nie! My nie czekamy na taksówkę* — poinformowała nas tak na oko pięćdziesięcioletnia pani. — *My czekamy tutaj na jutrzejszą paradę. Wojskową paradę* — dorzuciła z dumą

4. To była defilada!

Nie kończące się sznury samochodów opancerzonych, gazików powożonych przez facetów w hełmofonach z dyndającymi antenkami, klucze samolotów wszelkiej maści, ale głównie bojowych czołgi i całą kupę innego chrzęszczącego żelastwa oglądałem przed telewizorem i nawet nie było mi żal kolorowych pióropuszy i srebrno złotych kasków gwardii republikańskiej paradującej na koniach. Na ekranie też pięknie wyglądali. Natomiast wieczorem wybrałem się na głośno reklamowane przedstawienie-paradę, na dwuipółkilometrowej długości alejach, od Łuku Tryumfalnego do Obelisku na Placu Concorde.

Jean Paul Gode, „*królewicz Rewolucji*" jest autorem reklam; napoju pomarańczowego „Oranginy", filmów „Kodaka" i dżinsów „Lee Coopera", synem tancerza music-hallowego i ekskluzywnej dzielnicy paryskiego przedmieścia Saint Mande. Zaprojektował swoje przedstawienie, podobnie jak i reklamy: z rozmachem i dozą ekstrawagancji, którą zdolne będą przetrawić drobnomieszczańskie gusty obywateli. 8 tysięcy kostiumów, kapeluszy i akcesoriów, 99 milionów franków — to koszt imprezy na Placu Concorde, gdzie udrapowana w ogromny trójkolorowy tren Jessy Norman odśpiewała współczesną wersję „Marsylianki" wzbudzając entuzjazm tłumów. Koszty parady są równie ogromne aczkolwiek zamiast oryginalnych zebr, posłużono się kucykami pomalowanymi w biało-czarne pasy.

5. Ludzie mdleli jak muchy.

Ludzie ściągali na Pola Elizejskie już od południa. Szczęśliwcy porozsiadali się tuż przy krawężnikach. Głównie młodzież. Trochę Francuzów, ale przede wszystkim słyszy się hiszpański, włoski, gdzieniegdzie angielski. Nie brakuje jednak i dystyngowanych pań i panów. Trochę Murzynów, którzy bez względu na upał paradują w eleganckich marynarkach i w śnieżnobiałych koszulach fantazyjnie porozpinanych do pół brzucha. Przyjemnie łyskają hebanowe torsy czarnych dżentelmenów i opalone nogi dziewczyn, które ściągnęły do Paryża na te parę upojnych dni i nocy. Większość towarzystwa pojada i popija. Przed Hamburger King kilometrowe kolejki.

Na bocznych ulicach piwo i bagietki z serem i szynką sprzedaje się wprost z ciasno zaparkowanych ciężarówek. To tu, to tam widzi się na chodnikach drzemiących ludzi. Jakaś para ściska się na oczach już nie tłumów, ale tysięcy ludzi, na których jednak naprawdę nie sprawia to wrażenia.

Stoję na krawędzi chodnika. Do jezdni dziesięć metrów. Dziesięć metrów głów, ale nie narzekam, bo wzniesienie krawężnika to komfort równy trybunom. Stoimy ciasno, łokieć przy łokciu. Co jakiś czas rozstępuje się fala ludzi jak przed dziobem statku i śmiałek przedziera się przez to żywe morze ciał. Ktoś próbuje się wepchnąć przede mnie. Z pełnym powodzeniem, ale stojący obok nie akceptują chamstwa. Ja już wystałem swoje, więc uznano te dwadzieścia centymetrów kwadratowych za moją prywatną własność.

Niektórzy weszli na drzewa rosnące wzdłuż alei. Kioski z gazetami poobsiadały stadka gapiów. Co młodsi i silniejsi wdrapują się na secesyjne gzymsy. Ktoś przycupnął nad reklamą „Mercedesa", ktoś inny nad wejściem do restauracji, ale natychmiast energiczny kelner zgonił go na dół. Reklama mogłaby się łatwo oberwać. Gęstnieje tłum na balkonach ponad naszymi głowami.

Zdarza się, że wysiada serce komuś stojącemu z dala od chodnika. Bezwładne ciało podawane jest z rąk do rąk ponad głowami stojących dopóki nie legnie wreszcie na noszach biegnących bez tchu sanitariuszy. Zbliża się godzina rozpoczęcia. Powoli zapada zmierzch i zapalają się latarnie. Z głośników dobiega amerykańska muzyka pop i urywa się jak nożem ucięta.

6. Anglicy zrobili furorę.

Pięciusetosobowa orkiestra przetacza się wolno przed nami. Za nią druga i trzecia. Nużące to bardziej niż wielogodzinne czekanie. Potem długo nic i pojawia się grupa obnażonych do pasa chłopców z wymalowanymi na plecach i piersiach chińskimi znakami. Włosy ściągnięte czerwonymi przepaskami. W dłoniach ogromne czerwone chorągwie, a na nich wypisane chińskimi znakami: „*wolność, równość, braterstwo*". Dostają owacyjne oklaski. Entuzjazm zwiększa się na widok idących milcząco prawdziwych Chińczyków. Tamci na przedzie to poprzebierani tancerze francuscy. Ci z tyłu, ubrani w szare mundurki, prowadzą rowery. Idą w imieniu nieobecnych i poległych na Placu Niebiańskiego Spokoju.

Na jezdni pojawiają się ogromne, wirujące półkule. Pomalowane na czarno. Na szczycie każdej siedzi dziecko w stroju narodowym i z flagą swojego państwa, nikt nie potrafi mi wytłumaczyć doboru kilkunastu flag spośród setek. Spotkania na szczycie „siódemki" ani „dwunastki" nie tłumaczą, dlaczego obok greckiej — japońska, obok kanadyjskiej — portugalska. Kule mają spore trudności z trzymaniem „kursu' i wciąż niebezpiecznie zbaczają, to ku jednemu to ku drugiemu krawężnikowi. Prowadzą je gadające jak opętane przez walkie-talkie dziewczyny. Przystojne. Wysokie. Zgrabnie wyglądają w czarnych kombinezonach. Dziwnym zbiegiem okoliczności same blondynki. Aplauz wśród zebranych ogromny.

Idą wojska kolonialne: pardon — byłych kolonii. Czarni jak heban żołnierze. Za nimi, na platformie, jadą wysokie na trzy piętra schody, a na nich facet w smokingu. Biała mucha. Wywija batutą jak opętany. Orkiestra gra z fantazją, ale nie pod batutę. Łyskają białka oczu. Lśni biel zębów. Z drugiej strony schodów czarnoskóre dziewczyny w baletowych spódniczkach.

Coraz częściej przebiegają to tu, to tam sanitariusze. Jakieś nogi zwisają bezwładnie z noszy. Policjanci jedną ręką przytrzymują spadające czapki, drugą dyndające odświętne sznury przy galowych mundurach i gnają tam gdzie podniesie się krzyk wołających o pomoc dla mdlejącego widza.

Na kolejkach takich, jakich używa się w kopalniach do przewozu węgla, jadą jak węgiel czarne półnagie dziewczyny o wspaniałych piersiach podrygujących zadziornie wraz z szybkimi uderzeniami dłoni o bębny. Sanitariusze wynoszą pierwszego mężczyznę.

Kiedy po dwóch stronach jezdni podjechały dwa ogromne wozy strażackie z napisem: „*Brygada strażacka z hrabstwa Kent*" i woda zaczęła się lać z armatek jak z cebra, pryskając i na widzów, ktoś stojący obok mnie powiedział — *Trochę to bez sensu, ale dobrze, że w taki upał Anglicy zmywają nam ulice.*

Za wozami strażackimi szli Murzyni, ubrani w paradne czerwone mundury ze złotymi lampasami, trzymali parasole, po których spływała woda, a pod parasolami tańczyły, coś w rodzaju break-dance, białoskóre panienki. Wiadomo: „*W Londynie wiecznie leje*" — powiadają w Paryżu. Totęż Anglicy dali zadośćuczynienie temu stereotypowi i na wilgotnej „londyńskiej" jezdni przewalał się tańczący wokół piętrowych autobusów poubierany — jak kto chciał — tłum. Tłum tańczył w rytm oszalałego rocka. Strażacy w ciężkich kombinezonach i żółtych hełmach podrygiwali uciesznie na drabinach. Dostali gromkie oklaski i zrobiło się wilgotno i przyjemnie.

Dziarsko przemaszerowała szkocka orkiestra wojskowa odziana w spódniczki i malownicza Królewska Gwardia Irlandzka. Brytyjczycy zrobili furorę. Widzowie nie zdążyli jeszcze ochłonąć, a tu już z deszczowego Londynu przenieśliśmy się w zaśnieżoną Moskwę. Na dwóch samochodach pancernych koloru zakurzonej myszy namalowano cyrylicą napisy „Głasnost'". Armatki siekły „po wsiech" białym konfetti, które wirowało w świetle latarni i naprawdę sprawiało wrażenie nie śnieżnej zadymy, ale mokrego śniegu, bo tak lepił się do ubrań i włosów, że przez kilka dni nie można było z tego śniegu się oczyścić. W tumanach papierowego śniegu szli czerwonoarmiści w mundurach z okresu „wczesnego Czapajewa".

Dziennik „Liberation" zachwycał się przemarszem „pieriestrojkistów" i skomplikowaną maszynerią symbolizującą świat produkujący ludzi-maszyny. Przebrani za roboty tancerze poruszali się jak chłopcy z Harlemu w break-dance, a na szczycie fabryki-świata widniał napis — „Konstruktywiści".

Potem jeszcze dziewczyna tańczyła na lodzie z białym misiem, nadjechała lokomotywa, atrakcja na długo wcześniej zapowiadana i oczekiwana z bijącym sercem przez wielu, spowiła w białych kłębach pary, i widzów i umorusanych palaczy. Zmoczeni, zaśnieżeni, otumanieni parą z lokomotywy ludzie krok za krokiem w ciasnym tłumie wracali do domów.

MAREK BRZEZIŃSKI

ze str. 1

ludowej sprawiedliwości nic do tego. Serce krwawi, gdy ogląda się podobne widoki.

Obok ludzie budują (nie tylko w tej miejscowości) pyszne, choć koszmarne rezydencje. Kosztują one, z pewnością, gigantyczne pieniądze, a w większości są to bzdety architektoniczno-estetyczne. Że też nikomu nie przyjdzie do głowy, by zainwestować te pieniądze w odnowienie ginących dworków, pałacyków, zameczków. Nie ma takiej mody, wieś snobuje się na nowe domy. To miastowi interesują się zabytkami, takich ludzi nie jest jednak dużo.

3. W Cieszynie zawsze pod górę.

Tak jak żałować można, że nie ma w Łodzi rzeki, ani większego jeziora, tak cieszyć się trzeba, że miasto położone jest na terenie płaskim, a nie na wzgórzach. Jedno i drugie bardzo urozmaica i upiększa położenie miast, ale górskie ukształtowanie niezwykle utrudnia życie. Tak jest w Cieszynie. Wszędzie albo z góry albo pod górę. Karkołomne zjazdy kończą się mozolnymi wspinaczkami i odwrotnie. Z jednej góry na drugą, gdzie bieli się wielkie osiedle nowych bloków jest tak daleko (i widać tę odległość), że odchodzi ochota do odwiedzenia mieszkających tam znajomych. Poruszać się można po mieście tylko samochodem (w tym autobusami), bo spacery są niezwykle uciążliwe i nawet stali mieszkańcy Cieszyna nie mogą się chyba do nich przekonać, gdyż na ulicach przechodniów bardzo mało. A miasto rzeczywiście piękne, tyle że bardzo niewygodne do

Nic przeto dziwnego, że lgnie do tego Teatru publiczność z całej Polski, że w dalszym ciągu trudno o bilety, które trzeba kupować kilka tygodni wcześniej, że tłum oczekuje przed Teatrem na godzinę przed rozpoczęciem przedstawienia, licząc na wolne miejsca. Najczęściej na próżno. Mimo to, a może właśnie dlatego, zastęp sympatyków i przyjaciół stale powiększa się, bo kto był tu raz, ten musi wracać.

Jestem sam. Andrzej Dziuk i Julia Wernio wyszli do ogrodu omówić coś przy herbatce na powietrzu. Kuchenka pracuje pełną parą, herbatka z sokiem malinowym nawilża gardło wyschnięte do żywej dysputy. Tak jest zresztą przed i po spektaklach. Chłonę atmosferę, oglądam obrazy, nasiąkam po raz już któryś klimatem, nastrojem, by przenieść go do Łodzi, do swego gabinetu, do redakcji, naładować się do dalszej pracy, na następne miesiące życia.

Gdy stałem przed teatrem i przyglądałem się kolejce po ewentualne wejściówki, jakaś dziewczynka z okna na piętrze krzyknęła do mnie:

— *Proszę pana, a oni ściągają mi gacie, pokój 45.*

— *Nie ściągajcie jej gaci* — krzyczę.

Po chwili ta sama dziewczynka wychyla się:

— *Proszę pana, już mi nie ściągają gaci* — i śmieje się wesoło. Śmiejemy się razem.

5. Cud na szosie.

O 5 rano wyjazd z Bukowiny w kierunku Nowego Targu. Na arcystromym, krętym zjeździe rower nabiera niebezpiecznej prędkości. Naciskam hamulce, nie działają! Zawsze rano sprawdzałem ich stan przydatności, a tego dnia akurat nie. Szczęście, że było wcześnie ra-

Polski koszmar

Collage: Grzegorz Gałasiński

codziennego życia. To już Łódź lepsza, słowo daję.

4. Nie ściągajcie jej gaci!

Odwiedzam Teatr im. Stanisława Witkiewicza w Zakopanem wczesnym popołudniem. Zastaję Andrzeja Dziuka, dyrektora i twórcę Teatru i Julię Wernio, reżysera. Atmosfera tego wnętrza jest niepowtarzalna. W stylowym kredensie stara porcelana, legendarny już stół z marmurowym blatem, pośrodku stołu wielka, wypchana sowa, kielich ze świecą i wazon ze świeżymi kwiatami. Owalne stoliki z rzeźbionymi krzesłami, fotele, meble wyplatane z bambusa, stare żyrandole i powyginane fantazyjnie stojące wieszaki — elementy wystroju wnętrza przenikają się z teatralnymi rekwizytami, uzupełniają, wymieniają. Wszystko jest teatrem, wszystko jest częścią codzienności. Stała galeria gromadzi obrazy i rysunki ofiarowane przez autorów: Jana Jaromira Aleksiuna, Eugeniusza Get-Stankiewicza, Andrzeja Wajdę, Zbyluta Grzywacza, Stanisława Rodzińskiego, Barbarę Gawdzik-Brzozowską. Elżbieta Wernio prezentuje portrety aktorów Teatru i jego przyjaciół, a wśród nich kapitalny portret Tadeusza Brzozowskiego, przyjaciela zespołu. Poza tym wystawa czasowa malarstwa amerykańskiego, z pracami Alexa Katza, Josepha Kosutha, Anny McCoy, Eda Paschke, Marka Kostabi, Richarda Anuszkiewicza i innych. Są również — uwaga; uwaga — trzy prace Andy Warhola: „Gruszka" i „Arbuz" z cyklu „Kosmiczne owoce" i znany „Panczenista". W sierpniu, poza stałym repertuarem, wystąpili gościnnie: Stanisław Sojka i Marek Grechuta z recitalami, scena „Na Piętrze"' z Poznania z „Życiem wewnętrznym" Marka Koterskiego w reż. Jerzego Stuhra, oraz Stanisław Brejdygant i Teresa Budzisz-Krzyżanowska z „Próbą" sygnowaną przez Teatr Studio z Warszawy. Teatr im. Stanisława Witkiewicza stał się silnym ośrodkiem sztuki, a zaprezentowanie się w nim nobilituje młodego artystę na polskim rynku, a ci znani i uznani, nawet najwięksi, też poczytują sobie za zaszczyt zaproszenie do Zakopanego.

no, żadnych kolumn kolonijnych maszerujących poboczami ani samochodów. Udało się, ale otarłem się o cud. Skoro jednak przeżyłem, trzeba jechać dalej. Tyle że nie w ulubione Bieszczady, jak planowałem, ale bardziej po prostym. Jechać w góry bez hamulców, toć to czyste harakiri. Dlaczego nie kupiłem nowych klocków hamulcowych? — zapyta ktoś dociekliwy. Okazuje się, że i ten towar należy do nieobecnych na naszym rynku. We wszystkich mijanych miastach i miasteczkach, gdzie były sklepy z częściami rowerowymi, bez kłopotów można kupić najwyżej bidon. Produkcja prostokątnych kawałków twardej, czarnej gumy też, jak widać, przekracza możliwości polskiego przemysłu. Ciekawe, co dziś w naszym kraju można dostać bez kłopotu, prócz nerwicy i dżemu owocowego?

6. Architektura brzydoty.

Sucha Beskidzka, Maków Podhalański, Bukowina, Zakopane i inne miejscowości Podhala rozbudowują się w dużym tempie. Rośnie mnóstwo nowych, prywatnych domków, willi, rezydencji. Wszyscy właściciele, a na pewno większość, mają ambicje, by ich przyszłe domostwa mogły pretendować do miana obiektów architektury podhalańskiej. Wyobrażenia autorów projektów o tym stylu tak mają się do oryginału, jak, nie przymierzając, dupa do cyrkla firmy „Skala". Witkiewiczowie, ojciec i syn, w tym wypadku zgodnie, przewracać się muszą w mogiłach, choć ten ostatni, nie wiadomo do dziś, w której.

7. Katorga na wczasach

Skoro nie mogę jechać w góry, a nie wypedałowałem z siebie jeszcze wszystkich sił, skierowałem się na północny-zachód, by przez dwie noce i jeden dzień bez przerwy dojechać do Stargardu Szczecińskiego. Tam niosło mnie serce, bo Joanna w pobliskim Stargardowi Morzyczynie spędzała tzw. wczasy z prawem jazdy. Od razu trzeba powiedzieć, — i nie jest to przestroga, a uściślenie — że każdy, kto słowo „wczasy" potraktował dosłownie, srodze się rozczarował. To były trzy tygodnie katorżniczej pracy. 6 godzin zajęć teoretycznych i praktycznych dziennie, plus nauka własna, wypełniały wszystkie, włącznie z sobotami i niedzielami, dni, wyczerpując metodycznie zestresowane organizmy. Ludzie spalali się jak pochodnie biwakowe, które mają płonąć, według ulotki, dwie godziny, a nikną w płomieniach w 15 minut. Pobliskie jezioro Miedwie, piąty co do wielkości akwen w Polsce, ogląda się w przelocie między stołówką, salą wykładową, maluchem do jazdy, a domkiem, gdzie wkuć trzeba do głowy 800 pytań testowych i wybrać właściwe, spośród 2400 proponowanych odpowiedzi. Egzamin teoretyczny, dzięki świetnemu wykładowcy Wiesławowi Jaworskiemu, człowiekowi cierpliwemu do podziwienia wobec nieprzemakalności niektórych mózgów, kursanci zdali prawie w komplecie. Schody zaczęły się w czasie praktycznej części egzaminu. I tu trzeba obalić kolejny mit, podsycany przez panie z „Orbisu", zachęcające do wykupienia wczasów zapewnieniem, że kto płaci za taką imprezę, prawo jazdy ma już w kieszeni. To nieprawda. Na kursie Joanny jazdy oblało 60 proc. „zawodników" (ona zdała, z czego jest niesłychanie dumna — i słusznie), a w poprzednim turnusie — 55 proc. Nie ma żadnej taryfy ulgowej, w końcu prowadzenie samochodu, to nie zabawa. Można zabić siebie (to pół biedy), ale i kogoś całkiem niewinnego. Stąd surowe wymagania. Trzeba się więc uczyć, kosztem plażowania, kajakowania i innych wczasowych przyjemności. Kto to rozumie — zda z pewnością.

W połowie kursu przyjechał dyrektor szczecińskiego „Orbisu", obwieszczając podwyżki stawek za wyżywienie. Dano do wyboru: rezygnację z obiadów, bądź dopłatę. Zwyżkę cen za śniadanie i kolacje „Orbis" rycersko wziął na siebie, rezygnując tym samym z zysków, ale jako solidna, markowa firma nie mógł postąpić inaczej. To ładnie, choć okazało się później, że podwyżki w czasie trwania wczasów nakładano bezprawnie, a sam wiceminister resortu nakłaniał publicznie wczasowiczów do zaskarżania instytucji turystycznych do sądów. Tu „Orbis" zachował się elegancko, mimo wszystko, pozwalając na przesłanie pieniędzy z miejsc zamieszkania, zadowalając się stosownym oświadczeniem na piśmie. Na południu natomiast, choćby w Bukowinie, stutysięcznych sum żądano natychmiast, w gotówce. Powodowało to liczne wyjazdy wściekłych wczasowiczów w połowie turnusów i niepewność wynajmujących pokoje górali, czy ktokolwiek przyjedzie do nich we wrześniu. Nie wszystkie firmy okazały się jednak aż tak pazerne. „Auto Transtur Relaks", o którym pisaliśmy w „Odgłosach", na przykład, podwyższył opłaty zaledwie o 10 tys. zł., przepraszając swych klientów stokrotnie za nieplanowany wydatek. Więcej takich przykładów nie stwierdzono.

8. Prominenci się bawią.

W jednym z ośrodków wczasowych nad jeziorem Miedwie spotkałem 15-letniego chłopca, który pełnił tam obowiązki KO, czyli instruktora kulturalno-oświatowego, czyli człowieka, od którego zależy uatrakcyjnienie wczasowiczom pobytu na wakacjach. Miły, sympatyczny, lubiany przez wszystkich, wywiązywał się ze swojej funkcji znakomicie i wcale mu w tym nie przeszkadzał zaskakująco młody wiek.

Odrażającym wyczynem, natomiast, popisał się w tymże ośrodku człowiek, który, teoretycznie, powinien być wzorem cnót ludzkich. Otóż, do ośrodka przyjechała na sobotnio-niedzielną balangę grupka prominentów z pobliskiego miasta. Przyjeżdżają tam, jak mówią, by pobalować z prawiczkami. Takie właśnie mają upodobania. W czasie ogniska, zbliżył się do nich, zwabiony magiczną siłą płomieni, mały chłopiec z grupy NRD-owskich dzieci, obozujących na tym terenie. Sam sekretarz partii, osobiście, pobił dziecko kijem do krwi, chyba za to, że śmiał się zbliżyć zbyt blisko dygnitarzy. Sekretarz był pijany. Następnego dnia, poinformowany o swym chamskim wyczynie (mógł wszak nie pamiętać, zamroczony wódą), butnie odpowiedział:

— *No i co z tego, niech mi coś spróbują zrobić.*

Wychowawczynie chciały zrobić skandal, ale ktoś, jakoś (kto, jak — nie wiadomo, tajemnica) je przekonał i sprawę zatuszowano. Dlatego nie podaję bliższych danych. Może rodzice dziecka, na widok krwawych śladów, zechcą dochodzić prawdy.

Średni aparat, widać, ma się dobrze, czuje mocno i pewnie. Znaczy, że nie wyciągają żadnej nauki z galopujących (może zbyt szybko dla ich przemęczonych intelektów) przemian politycznych i mentalnościowych, pewni mocnych układów i powiązań. Nawet nie wiedzą, jak się mylą.

9. Dziecko wdeptane butami w podłogę.

Stargardem Szczecińskim wstrząsnęła przerażająca w swym nieludzkim wymiarze zbrodnia. Brat zamordował siostrę w ciąży i jej małego synka. Brutalnie pobił, podeptał (dosłownie), zmiażdżył buciorami dziecko, a potem obojgu poderżnął gardła. Dla głupich pieniędzy, bo siostra, jako żona prywatnego piekarza, miała ich dużo. Na tyle dużo, że mogła dobrowolnie wspomóc brata, zresztą typa z kryminalną przeszłością. Tenże bandyta, nazajutrz rano, wybrał się, jakby nigdy nic, z własną małżonką do siostry w odwiedziny. To się nawet w nienormalnej głowie nie chce pomieścić.

Po tym, co powyżej, nie stać mnie na jakiekolwiek „okrągłe" zakończenie.

MAREK KOPROWSKI

Ciąg dalszy jednak nastąpi.

■

Samą represją karną nie wychowamy społeczeństwa.

Akt łaski

17 sierpnia br. prezydent PRL polecił Prokuratorowi Generalnemu wszcząć postępowanie o ułaskawienie osób skazanych, które odpowiadają określonym warunkom, a mianowicie: zostali skazani na kary nie przekraczające 3 lat; mają ukończone 65 lat (mężczyźni) i 60 lat (kobiety); sprawują pieczę nad dzieckiem do lat 18; w chwili popełnienia przestępstwa, za które odbywają karę, nie ukończyły 18 lat; osoby, które uznane zostały za inwalidów I i II grupy, lub które obecnie spełniają warunki do takiego uznania. Ponadto postępowaniem o ułaskawienie zostały objęte osoby prawomocnie skazane do dnia 20 lipca 1989 r., które nie rozpoczęły z jakichkolwiek powodów odbywania kary, korzystający z przerwy w jej odbywaniu, jeśli oczywiście odpowiadają ww. warunkom.

Ten, w założeniu humanitarny akt, od razu podzielił społeczeństwo: z jednej strony sprawił zrozumiałą radość tym, którzy z aktu łaski skorzystali oraz ich rodzinom, z drugiej strony wywołał niepokój wśród znacznej części ludzi miast i wsi. Ci ostatni argumentują swoje obawy w sposób bardzo prosty: cały kraj jest ogarnięty pogłębiającym się kryzysem, nastąpiło poważne rozprężenie, z dnia na dzień wzrasta ilość przestępstw, a tu za bramy więzienne wyjdzie parę tysięcy kryminalistów, częstokroć wysokiej klasy specjalistów w złodziejskim i bandyckim fachu! Kto obroni szeregowego obywatela, skoro milicjanta w mundurze widzi się najczęściej w programie 997, a nie wieczorami i w nocy na ulicach naszych miast.

Te, i temu podobne obawy, zaczęły się pojawiać w biurach, w kolejkach sklepowych, w czasie spotkań towarzyskich.

Podczas mego ostatniego pobytu w Sieradzu, wstąpiłem do Prokuratury Wojskowej i zebrane przeze mnie wątpliwości przekazałem zastępcy Prokuratora Wojewódzkiego *Joachimowi Krullowi*. A oto jego wyjaśnienie:

— *Zacznę od stereotypowego stwierdzenia: jest to humanitarny gest prezydenta, a przy tym jest to pierwsza tego typu akcja w naszej powojennej historii. W rozeznaniu tutejszej prokuratury, to z aktu łaski z terenu naszego działania skorzysta ponad 100 osób. Liczba ta może się zwiększyć, a pamiętać musimy, że dobrodziejstwo to tyczy osób znajdujących się w szczególnie trudnych warunkach życiowych, a nadto trzeba pamiętać, że wolność odzyskają ludzie młodzi, wchodzący dopiero w życie, którzy na progu swojej dorosłości, czyli przed ukończeniem 18 roku życia weszli w kolizję z prawem.*

Zdajemy sobie sprawę z możliwości różnej interpretacji przez społeczeństwo tej humanitarnej akcji. Zakładamy nawet, że niektórzy ludzie będą wręcz krytykować to, że na wolność wychodzą przestępcy w aktualnej, niełatwej przecież ekonomicznej i społecznej sytuacji. Ale uważamy, że ludziom, również karanym, należy okazać zaufanie, dać szansę powrotu do normalnego życia. Jesteśmy głęboko przekonani, że samą represją karną nie wychowamy społeczeństwa. Przypomnę tylko, że kara surowej odpłaty była postępową karą, ale w czasach Hammurabiego (oko za oko, ząb za ząb). Wraz z rozwojem cywilizacji również i system karania uległ różnym modyfikacjom. I tak np. w średniowieczu za cudzołóstwo można było być ukamienowanym, a mimo to ludzie cudzołożyli. Za kradzież obcinano rękę, a za krzywoprzysięstwo język. Jednak mimo tych surowości, ich skuteczność nie była zbyt duża. Najpoważniejszym elementem w postępowaniu karnym jest nieuchronność kary. Dlatego też prokuratorzy z pełnym zrozumieniem i ogromnym zaangażowaniem realizują ten wysoce humanitarny gest Prezydenta PRL.

Tyle prokurator.

Jest prawdą bezsporną, że żadne kary nie odstraszają ludzi od popełniania wykroczeń wobec prawa. Kiedy w średniowieczu publicznie łamano lub ćwiartowano przestępcę, wśród zgromadzonego tłumu grasowali złodzieje okradając gapiów. Jednakże nasz wiek zasadniczo różni się od tamtych, barbarzyńskich, czasów. Chcemy być narodem postępowym, światłym, pielęgnującym i rozwijającym zasady humanitaryzmu. Dlatego każda amnestia, każdy akt łaski, staje się potwierdzeniem tych wzniosłych cech. I choć jest bezsporną prawdą, że część osób zwolnionych z więzień i aresztów, niemal natychmiast trafi ponownie za kraty, wszakże dla tej drugiej części, która pozostanie wśród nas, warto jest otwierać nawet najcięższe bramy zakładów karnych.

EUGENIUSZ IWANICKI

■

Jak ich przedstawić premierowi, czyli:

Walka o prezydenta

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Gdy ponad 3 miesiące temu doszło do głosowania nad absolutorium dla prezydenta JAROSŁAWA PIETRZYKA, 83 radnych odmówiło mu niespodziewanie poparcia. Wątpliwe, czy zdawali oni sobie sprawę, że otwierają tym głosowaniem długi okres „bezkrólewia" w Łodzi. Z całą pewnością nie mogli także przypuszczać, iż kwestia: kogo wybrać, doprowadzi w końcu do bezpardonowej gry politycznej w stylu, o którym można powiedzieć wszystko oprócz tego, że jest elegancki.

Oto więc maski opadły. Na salę obrad Rady Narodowej m. Łodzi wdarła się Wielka Polityka, a raczej jej echo, odbite od murów najważniejszych budynków w Warszawie, gdzie tworzy się nowa rządowa koalicja. Echo to wcześniej czy później musiało tutaj dotrzeć; szkoda tylko, że 4 września, gdy wreszcie dotarło, nie przyniosło z sobą dźwięków czysto brzmiących. Może winna jest szczególna jakaś łódzka akustyka, a może akustyka tej sali, gdzie obraduje rada? Tak czy inaczej, wrażenie nie było budujące.

W poniedziałek 4 września, gdy rozpoczęły się obrady nadzwyczajnej sesji Rady Narodowej m. Łodzi, poświęcone wyborowi kandydatów na prezydenta, było już po ostatnim przysłowiowym dzwonku. Począwszy od tego dnia, miasto pozbawione jest bowiem władzy wykonawczej, którą przez 3 miesiące po odwołaniu *Jarosława Pietrzyka* reprezentował — w myśl przepisów ustawy — jeden z jego zastępców, wiceprezydent Lech Krowiranda.

W przeddzień nadzwyczajnej sesji wystąpił w telewizji nowy I sekretarz KŁ PZPR *Adam Walczak.* Powiedział on, iż łódzką instancję czeka teraz walka o partyjnego prezydenta. Było to jak dolanie oliwy do ognia.

TYMCZASOWY KOMPROMIS

Przewodniczący Rady Narodowej m. Łodzi, *Andrzej F. Grabski* rozpoczął nadzwyczajną sesję od przypomnienia, że to premier — w porozumieniu z prezydium rady — wysunąć powinien kandydatów na stanowisko prezydenta Łodzi. Wobec przedłużającego się wakatu prezydium wystąpiło jednak z własną inicjatywą: przeprowadzenia wśród radnych sondażu który to z ewentualnych kandydatów liczyć może na poparcie Rady Narodowej. Sondaż miałby charakter konsultacji dla premiera, mógłby ułatwić szefowi rządu zadanie, przyśpieszając ostateczny termin wyboru prezydenta. Zgodnie z postanowieniem prezydium rady, prawo zgłaszania kandydatów mają: komisje Rady Narodowej i kluby radnych, a także poszczególni radni, w liczbie co najmniej pięciu.

Nie rozległ się ani jeden głos, kwestionujący ideę sondażu, choć pomysł mógłby być dość łatwo podważony. Widocznie — sądzili obserwatorzy — wszystko zostało ułożone wcześniej. Dalszy bieg wypadków zaprzeczył tej opinii.

Drugim z kolei mówcą był *Jerzy Płuciennik,* który w imieniu prezydium zaproponował „projekt roboczy" regulaminu wyboru kandydatów:

— Prezydium uważa, że głosowanie powinno być tajne, przy obecności co najmniej połowy liczby radnych.

— Przyjąć kandydatów bez głosowania! — replikował na to *Stanisław Grell,* przewodniczący klubu ZSL. Chwilę wcześniej, w imieniu radnych z ZSL i SD wypowiedział się on na temat stanowiska prezydium:

— Nie jest to zgodne z ustawą o radach narodowych.

— Jest to procedura (tzn. głosowanie tajne — przyp. AG) *zupełnie niepotrzebna.*

— Zaproponowany tryb głosowania ogranicza swobody radnych, ponieważ w zbyt krótkim czasie trzeba by podjąć decyzję o kandydatach.

Tak oto doszło od razu na wstępie do zasadniczego sporu: głosować tajnie na poszczególnych kandydatów, czy nie głosować, tylko ich gremialnie zaakceptować, ewentualnie głosując jawnie na wszystkich razem. W pierwszym przypadku nazwiska kandydatów byłyby uzupełnione o liczbę oddanych na nie głosów, w drugim przypadku — premier miałby przed sobą wyłącznie nazwiska, reprezentując (na co liczono) w miarę szerokie spektrum polityczne. Za drugim wariantem opowiedziały się zdecydowanie kluby ZSL i SD, widząc w tym jedynie szansę, aby ich kandydaci nie znaleźli się na końcu listy, z najmniejszą liczbą głosów. Matematyka jest bowiem nieubłagana, a porównanie liczby radnych z ZSL i SD (w sumie 38 mandatów) z radnymi PZPR (95 mandatów) — dostatecznie wymowne.

Na razie nie wypominano nikomu matematyki. Powoływano się za to często na interes premiera. Jedni martwili się, że głosowanie „zwiąże premierowi ręce", inni — przeciwnie — byli zdania, iż wyraźne preferencje Rady Narodowej ułatwią szefowi rządu decyzję. Zwolennicy tajnych wyborów powoływali się przy tym na honor rady:

— Nie jesteśmy — oburzali się *— kółkiem filatelistów!*

Najdobitniej wyraził to stanowisko radny (bezpartyjny) *Marian Zdrojewski:*

— Jestem zawstydzony tym, co się tutaj dzieje. *Nie wolno się ośmieszać przed premierem, zrzucając na niego odpowiedzialność za decyzję. Musimy dokonać wreszcie jasnego wyboru! Nie czas na polityczne gierki!*

Sformułowanie o „politycznych gierkach" padło chyba odrobinę za wcześnie, wywołując tu i ówdzie grymas niezadowolenia. Mało kto przypuszczał, iż wkrótce już sprawy zajdą tak daleko, że radni — zamiast powoływać się na interes premiera — będą sobie po prostu skakać do oczu, rąbiąc całą prawdę o własnym interesie politycznym...

Tymczasem doszło jednak do kompromisu. *„Skoro nie ma zgody co do trybu wyboru kandydatów, obejrzyjmy ich sobie najpierw, posłuchajmy, co mają do powiedzenia. Nie wiemy nawet, ilu ich jest: dwóch, a może trzydziestu"* — argumentowali „pragmatycy" Zgodzono się z nimi zamknięto coraz mniej parlamentarną dyskusję, przegłosowano odpowiedni wniosek. Sala wstrzymała oddech bo oto przyszła chwila, aby ujawnić to, co ukrywano do ostatniej chwili: nazwiska.

DOBRY FACHOWIEC, ALE PARTYJNY

Komisja Prawa i Porządku Publicznego RN m. Łodzi zgłosiła kandydaturę *Bogdana Kunki* — dotychczasowego I sekretarza KM PZPR w Pabianicach oraz *Janusza Urbaniaka,* wiceprezydenta Łodzi (zajmuje się sprawami kultury, oświaty, służby zdrowia).

Za chwilę zgłosił swych kandydatów klub radnych PZPR. Okazali się nimi: *Wojciech Jałocha,* dyrektor fabryki „Prima" w Łodzi, oraz *Bogdan Kunka.* Przedstawiając ich sylwetki, radny *Paweł Walter* odwrócił słynne niegdyś zdanie z pierwszej strony „Polityki":

— Mówiono: dobry fachowiec, ale bezpartyjny. Dziś trzeba powiedzieć: dobry fachowiec, ale partyjny...

I — aby nie było żadnych wątpliwości — dodał:

— Stanęliśmy przed trudnym dylematem, bo dotychczas stanowisko to rozpatrywane było wyłącznie pod kątem interesu politycznego. Taka sytuacja — doszliśmy do wniosku — musi ulec zmianie (...) Ominęliśmy więc swój czysty polityczny interes, wysuwając te dwie kandydatury...

Szkoda jednak, że Paweł Walter nie wyjaśnił, na czym to „ominięcie" polegało: wszak obydwaj kandydaci są od wielu lat członkami PZPR... Czyżby chodziło o to, że są też fachowcami?

W imieniu klubów ZSL i SD zgłoszono kandydaturę *Jerzego Drygalskiego,* pracownika naukowego UŁ, eksperta i działacza NSZZ „Solidarność" (w kuluarach można się było dowiedzieć, iż jest to kandydatura, wysunięta w porozumieniu z Komitetem Obywatelskim „S" w Łodzi i RKO „S") oraz *Henryka Kurczewskiego* — zastępcy dyrektora WOPR w Bratoszewicach i *Jana Mielczarka* — zastępcy prezesa WZKiOR w Łodzi. Dwaj ostatni są członkami ZSL.

Kandydaci przedstawili krótkie expose o swych poglądach i zamiarach. Nie będziemy ich streszczać — znajdzie się na to miejsce, gdy któryś z nich zostanie prezydentem. Odnotujmy tylko, iż nie wszyscy wywarli jednakowo dobre wrażenie. Niektórzy wydali się słabo przygotowani. Rąbka tajemnicy w kwestii: dlaczego tak było, uchylimy dopiero pod koniec tej relacji. Na razie przytoczmy jeszcze fragment oświadczenia *Janusza Urbaniaka,* ponieważ odbiło się ono głośnym echem na sali. Wiceprezydent zrezygnował z kandydowania motywując to niewysunięciem jego osoby przez klub radnych PZPR. Na zakończenie zaś powiedział:

— Od siebie dodam, że nie zamierzam przeszkadzać nowemu I sekretarzowi KŁ PZPR w realizacji jego rewolucyjnego programu. Jestem — podobnie jak obywatel Jerzy Drygalski — za ewolucyjnym procesem porządkowania spraw województwa...

Po krótkiej przerwie, powróciła z nową mocą kwestia, jak przedstawić znanych już kandydatów premierowi. Obie strony pozostały przy swoich stanowiskach, modyfikując je tylko nieznacznie. Opinię przeciwną poglądom ZSL i SD poparł radny (a zarazem poseł) *Jacek Krzekotowski,* przewodniczący łódzkiego oddziału Stowarzyszenia PAX:

— Premierowi więcej by przyszło z tego, gdyby wiedział, kogo rada chce bardziej, a kogo mniej — zauważył:

Najpierw przegłosowano, że sondaż będzie tajny (99 głosów za, 33 przeciwko, 9 wstrzymujących się) a następnie, iż radni pozostawią nie skreślone tylko dwa nazwiska z listy. Po ostatecznym ustaleniu procedury, radny *S. Grell* poprosił nagle o nową przerwę. Przewodniczący RN *Andrzej F. Grabski* zarządził ją tym chętniej, że należało już przygotować karty do głosowania.

DRAMATYCZNA DECYZJA

Wielu radnych trafiło do bufetu, racząc się kawą i wątróbką na gorąco. W tym czasie dojrzewała dramatyczna decyzja. Usłyszeli ją, gdy tylko znaleźli się z powrotem na sali.

Wobec przyjęcia regulaminu wyborów, który nie odpowiada radnym z ZSL i SD, postanawiają oni, co następuje:

— wycofać swych kandydatów z sondażu,

— powtrzymać się od udziału w głosowaniu,

— przesłać swoje propozycje personalne bezpośrednio do premiera.

Burza, jaka po tym oświadczeniu wybuchła, nie miała sobie równych w wieloletniej historii obrad Rady Narodowej m. Łodzi. Opadły maski, odrzucono resztki parlamentaryzmu. Zdumieni obserwatorzy zauważyli, że miejsca, gdzie dotychczas zasiadali kandydaci ZSL i SD — świecą pustką! Kandydaci, niczego osobiście nie wyjaśniając, po prostu sobie poszli!

Z wyjaśnieniami pośpieszył natomiast *Jerzy Chojnacki,* prezes WK ZSL. Wszedł na mównicę wzburzony, mówił krótkimi, urywanymi zdaniami:

— Każdy dzień opóźnienia wyboru prezydenta, to strata dla Łodzi. Walczyłem o to, żeby go jak najszybciej wybrać. Niestety, nie wszyscy byli zgodni... Mówiłem: jeżeli będziemy wybierać we wrześniu, to będą to inne wybory, niż w czerwcu... Nie chciałbym przeżywać drugiego takiego dnia. Jeden z naszych kandydatów dowiedział się dziś rano o godzinie ósmej, że kandyduje... Mówicie: rozgrywki polityczne. Jakie? W Urzędzie Miasta najwyższe stanowisko dla ZSL — to zastępca dyrektora wydziału rolnictwa... My wiemy z góry, że jesteśmy tutaj zawsze przegrani... Byliśmy przecież zgodni: nie dzielmy się. Powinniśmy wszystkim kandydatom dać jednakowe szanse. Taka decyzja zapadła rano, tak się umówiliśmy... A teraz co?

Co teraz? — to pytanie wisiało przez dłuższą chwilę w rozemocjonowanej sali, dopóki nie umówiono się, jak postępować dalej. Poszło to zadziwiająco sprawnie. Najpierw wyjaśniono sobie kwestię zasadniczą: są kandydaci w liczbie pięciu, czy może jest ich tylko dwóch?

— Jest pięciu — przekonywano się *— gdyż po złożeniu kandydatur radzie, stały się one własnością publiczną!*

— Jest obecnie tylko dwóch — zakwestionował powyższe rozumowanie *Andrzej Kaczorowski,* przewodniczący ŁK SD *— gdyż decyzję o wycofaniu uzgodniliśmy z kandydatami. Cofnęli oni swe oświadczenia woli. Jeśli tak, to ich praktycznie nie ma...*

Dla większości nie było to jednak takie pewne. Wszak w jednym z punktów swego oświadczenia kluby ZSL i SD podały, iż kandydatury przesłane będą wprost do premiera. Czyli — najwyraźniej kandydują nadal, zaś wycofanie oświadczenia woli dotyczy li tylko obrad Rady Narodowej m. Łodzi. Niejeden z radnych poczuł w tym momencie, że — mówiąc bez osłonek — został paskudnie zlekceważony.

Takie odczucia wielu radnych ułatwiły zadanie wiceprzewodniczącemu RN, *Janowi Nosce* (jest także sekretarzem KŁ PZPR), który od początku konsekwentnie obstawał przy głosowaniu tajnym, na poszczególnych kandydatów. On, jako jeden z nielicznych, zachował przez cały czas kamienny spokój. Wystąpił teraz z propozycją, aby po prostu wykonać to, co zostało przegłosowane przed przerwą. Zatem: wybory.

Nim jednak do nich doszło, wydarzył się jeszcze jeden, śmieszno-smutny epizod. Głosowano nad wnioskiem o kontynuowanie sesji rady w ustalonym wcześniej trybie. Za — było 93 radnych, przeciw — 2, wstrzymało się od głosu — 14. Ledwie ogłoszono te wyniki, gdy powstał jeden z radnych ZSL, kwestionując rzetelność liczenia głosów! Błyskawicznie zarządzono ponowne głosowanie. Musiało być coś z prawdy w spostrzeżeniu radnego, bo liczby były teraz nieco inne: za — 106, przeciw — 0, wstrzymało się — 23. Różnice nie mogły zmienić wyniku, a jednak... albo radni są tak niestali w poglądach, albo... nie dostrzeżono wielu wyciągniętych do góry rąk! Smutne...

Gdy przyszło do głosowania nad kandydatami na prezydenta Łodzi, radni z ZSL i SD opuścili salę bądź nie podeszli do urny. Po ostatniej już przerwie, w szóstej godzinie obrad, ogłoszono wyniki. Nie było żadnej niespodzianki: najwięcej głosów zebrał *Wojciech Jałocha* (104), następnie *Bogdan Kunka* (84), *Jerzy Drygalski* (15), a na ostatku kandydaci ZSL — *Henryk Kurczewski* (10) i *Jan Mielczarek* (4).

Takie właśnie rezultaty sondażu przesłane zostały do biura premiera Tadeusza Mazowieckiego. Zrobi on z nimi, co zechce. Być może będzie się kierować największą liczbą oddanych głosów, albo też — wziąwszy pod uwagę skład rady — zwróci uwagę na kandydata z mniejszym poparciem, za to bliższego mu politycznie... Cokolwiek zrobi, będzie to stanowić ważny precedens.

Czy warto było się spierać, skoro nie wiadomo, czym będzie się kierować premier, zaś właściwe głosowanie na prezydenta dopiero się odbędzie? Zapewne nie było warto. Ale nie było innego wyjścia.

Od redakcji: Wszystkie wypowiedzi nie są autoryzowane.

■

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE

XIV Powszechny Zjazd Historyków Polskich

■

ROMAN GORZELSKI

Krajobraz polski

Długo pod strzechą polską dojrzewał nasz język,
Wyrastały zeń głowy płowe i ściemniałe...
Niebo raz było wielkie, a raz było małe,
Pod którym przepalano tej wspólnoty więzy...
Wciąż po naszemu drzewa szeleszczą przy drogach
Pomorskich, małopolskich, śląskich — zabijanych
Tu Polan i Wenedów i Wiślan nieznanych,
Którzy ptasim nawykiem zlecą się przy stogach,
Obejmą jednym słowem swą ziemię zwęgloną,
Krajobraz porzucony przez wrogów, stoczony
Na dno lat poczerniałych, owianych dymami...
Nasz dom zawsze na szlakach epicentrum świata!
Poznać łatwo to miejsce: dym ptakami wzlata...
I zawsze przeciw nam jest kilku, a my — sami...

Minuta ciszy

Wiezione na targ owce beczą
wiezieni na śmierć jeńcy milczą
: tyle się we mnie obrazów zebrało
na zimowym polu je widziałem tuż po bitwie
bezbronna jest już moja wrażliwość jak chrapy konia
teraz miewam czasem taki sen: jestem żołnierzem
padam martwy trafiony niemiecką kulą
— jak dobrze jest na powrót się narodzić
wyciągając przed siebie zaspane ręce
— a teraz idą dziewczyny: kołyszą pustymi brzuchami
mają długie piękne szyje i głodne oczy
postukują przede mną ich smukłe nogi
chwieją się grona ich dojrzewających piersi
palą się na wystawach góry pomarańczy i jabłek
: sękaci staruszkowie z krzyżami walecznych w klapach
z muszkami na białych kołnierzykach
którzy młodość w lasach zostawili
na dziewczyny zerkają
(każdy ma swój owoc zakazany)

Poczta literacka

Pan Wiesław M. — Kłucze. Miło mi, iż mogę odpisać autorowi, który w jakiejś mierze ma wpływ i na egzystencję naszego pisma. Bez papieru nie byłoby „Odgłosów", pan Wiesław zaś pracuje w papierni. Pisze Pan: „w drugiej połowie życia zachciało mi się być poetą". Od razu dodaję: bardzo dobrze! Zachęcam do dalszego pisania. Wiersze, które Pan do redakcji przysłał, to urocze miniaturki („Rozstanie", „Biedronka"), bądź impresje liryczne o wysmakowanej stylistyce i krystalicznej metaforze. Mam wrażenie, że musiał się Pan „wczytać" w Pawlikowską-Jasnorzewską. To dobra szkoła poetycka. Ślady „dobrej" tradycji literackiej widać też i w wierszach pozostałych. Dlatego proszę o więcej tekstów — zapewne znajdą się w nich te „do druku".

Pan Roman S. Ponieważ muszę wybierać (proszę zauważyć: dysponuję tylko „okienkiem z wierszem") przekładam do teczki: „Poezja — do druku" wiersz **„Ojczyzna"**. Podobał mi się **„Gielniak"**, postaram się, iżby o nim (wierszu) nie zapomniano.

Pan Bogusław Z. — Konstantynów Łódzki. Proszę o większą ilość „poetyckiego materiału". Wtedy dopiero będę mógł postawić „poetycką diagnozę" i prognozować, czy warto przechodzić tę „piękną chorobę", jaką jest poezjowanie.

Mity konieczne

HENRYK PUSTKOWSKI

Gdybym miał określić **Leszka Żulińskiego** jakąś etykietką, jakimś „przezwaniem" oceniającym jego metodę krytycznoliteracką, a przede wszystkim jego postawę, rzekłbym, że jest to krytyk życzliwy. Życzliwy poetom i poezji, pełen wrażliwości, którą generuje jego „słuch poetycki" (wszak on sam jest poetą!), roztropności oraz sprawiedliwości. Życzliwość jednak nie wyklucza krytycyzmu, walki wego tropienia oraz oceny błędów w ars poetica. Wyklucza ona wszakże przyjęcie a priori postawy zoila — złośliwca piszącego tylko o rzeczach najgorszych. Gwoli prawdzie dodajmy, że i tacy krytycy — zolle też są potrzebni spełniając rolę regulatorów we współczesnym obiegu literackim.

Jest nadto Leszek Żuliński kompetentnym filologiem — w jego esejach, recenzjach, artykułach błyskotliwe tezy teoretyczne poparte są rzetelnymi analizami, fenomeny literackie interpretowane w „solidarnych" (najbliższych) kontekstach, zaś wszystko to służy także dobrze pojętej popularyzacji poezji samej i wiedzy o niej.

Wydany przez Łódzką Oficynę tom esejów **„Mity konieczne"** wszystkie owe powyższe przymioty Żulińskiego prezentuje w „całej jaskrawości" Trudne to zadanie, iżby z rzeczy drukowanych wcześniej i rozproszonych po czasopismach złożyć całość o wyraźnym wątku metodologicznym oraz klarownej kompozycji. O tej umiejętności **dispositio** świadczy fakt, że partie „recenzenckie" pomieścił autor na końcu, zaś eseje i portrety literackie dominują w tzw. miejscach szczególnego nacechowania. Klamrę kompozycyjną stanowi szkic o romantyzmie oraz podsumowujący wszystkie rozważania znakomity esej **„Poetycka miara człowieka"**.

Jakież to mity kulturowe wyróżnia autor i jaką im przypisuje rolę w kształtowaniu współczesnej kompetencji literackiej? Po pierwsze: mit romantycznej sukcesji, który pojawił się w latach ostatnich, szczególnie zaś latach siedemdziesiątych (por. choćby Nowy Romantyzm czy nowofalową diagnozę „romantyzmu dialektycznego"). Żuliński powtarza — jak sądzę — za Brzozowskim osąd mitów romantycznych nazywając je „etosem wartości zmitologizowanych", przede wszystkim w konkluzji: „Spór o romantyzm i jego imponderabilia w ogóle nie powinien istnieć. Mamy tyle innych spraw do pilniejszego załatwienia. A wciąż wyrywamy karty z historii i przerabiamy je na etykietki zastępcze. Czy po to mamy historię?".

Po wtóre: mit autentyzmu **(„W kręgu autentyzmu")**. Tu już bliższy jest autor stanowisku, iż jest to mit konieczny. W błyskotliwym eseju **„Psyche czy Eros?"** ewokuje plebejskie źródła literatury erotycznej, w szkicu **„Opoka na opoce"** analizuje twórczość **W. Myśliwskiego**, w krótkim **„Natus et doctus"** potrafił zaś zawrzeć literacki portret **Ożoga.**

Po trzecie: **„Mity heroiczne"**, wśród których znajdziemy demonstracyjne przyznanie się do „babskości" w tzw. poezji kobiecej (Świrszczyńska), czy zaponowany wobec tej artykulacji („biologicznej") model kulturowego sztafażu w poezji **E. Lipskiej.** Szkic **„Poeta słonecznego żalu"** — to najpełniejsze — jak do tej pory — krytycznoliterackie studium twórczości **N. Chadzinikolau. J. Górec Rosiński, T. Urgacz, J. Twardowski** są bohaterami pozostałych szkiców-portretów tego cyklu.

Po czwarte: tropienie mitów etykietalnych, pierwszych rozpoznań nie uporządkowanej jeszcze literackiej rzeczywistości. **„W kręgu niepewności"** — cykl szkiców tropiących to zjawisko jest — dla mnie przynajmniej — najbardziej interesującą partią książki. Jest to nowe „porządkowanie doświadczeń", próba wstępnej bodaj taksonomii zjawisk literackich oraz hierarchizowania wartości, jakie do literatury wniosły ruchy młodoliterackie. **(„Młoda poezja po 1970 r.", „Dylematy i nadzieje młodej literatury").** Znajdziemy tam nadto studia poświęcone twórczości **E. Filipczuk, A. Lenartowskiego, Z. Smektały.**

Jak już wspomniałem wcześniej, **„Lektury zapamiętane"** — recenzje **(Chróścielewski, Kijonka, Jachimowski, Kawiński, Babiński, Stanclik, K. Kofta, Siejak, Rylski, Gostkowski, Jaskuła, Ziemianin)** — pomieścił autor tuż przed posłowiem. **„Poetycka miara człowieka"** to jednak nie tylko posłowie, ale spowiedź krytyka i zarazem jego credo. Określa się w nim Żuliński wobec systemu wartości przezeń preferowanych i które — jego zdaniem — mogą stanowić układ odniesienia przydatny w aktach porządkowania i „osądzania" współczesnego żywiołu literatury. Miałbym — co prawda — ochotę w paru miejscach postawić znak zapytania przy lekturze tego pointującego szkicu, dopisać swoje korekty do błyskotliwych tez Żulińskiego — ale są to już profesjonalne dewiacje. Potencjalnych odbiorców tej książki nasze krytycznoliterackie spory nie muszą interesować. No i bardzo dobrze! Istotniejsze jest to, że mogą kupić książkę, która może im służyć jako doskonały przewodnik po drogach (i bezdrożach) polskiej literatury współczesnej.

Leszek Żuliński. „Mity konieczne". Wydawnictwo Łódzkie. Łódź, 1989, s. 246, cena 600 zł.

Przystań moli książkowych

Najstarsza prywatna wypożyczalnia książek liczy sobie ponad 90 lat; znajduje się przy ul. A. Struga 5 w niepozornym lokalu o powierzchni 80 metrów kwadratowych — od ćwierć wieku królestwo **Danuty Burskiej.** Od 1898 r. biblioteka znajdowała się w rękach p. **Rogowskiego,** który w 1903 r. sprzedał ją **Felicji Pieńkowskiej.** W czasie II wojny światowej księgozbiór przestał istnieć. Po wyzwoleniu zaczęła odtwarzać go **Domicela Iwasieczko,** ciotka obecnej właścicielki, która obecnie dysponuje zbiorem 30 tysięcy pozycji beletrystycznych oraz popularnonaukowych monografii historycznych.

Na półkach można wyszperać tomy starsze od książnicy przy ul. A. Struga, zakupione w antykwariatach, na bazarach. Nieraz zdarza się, że są one tańsze i w trwalszej oprawie niż współcześnie wydawane, oferowane przez księgarnie „Domu Książki". Znaleźć tu można jedne z pierwszych wydań książek **Adama Mickiewicza, Elizy Orzeszkowej, Marii Rodziewiczówny** (m.in. **„Macierz"**, która ukazała się w „Drukarni Synów Stanisława Niemiry" z pl. Wareckiego 4 w Warszawie). Niektóre z tych książek coraz rzadziej znajdują chętnych z uwagi na ortografię — nie do pokonania przez czytelników młodszych pokoleń.

Prywatna wypożyczalnia D. Burskiej skupia ok. 400 stałych czytelników, z których najstarsi wypożyczają już 60 lat. Ponad połowę stanowią emeryci, kolejną dużą grupę — osoby w średnim wieku, a najmniej jest młodzieży Przekrój wiekowy jest więc inny niż w bibliotekach rejonowych, gdzie młode pokolenia stanowią znaczący odsetek czytelników.

W najstarszej wypożyczalni obowiązuje wpłacenie 3 tys. zł kaucji oraz wykupienie całomiesięcznego abonamentu wartości 500 zł. Za każdym razem można wypożyczyć jedną pozycję. Jeśli ktoś dojeżdża z odległych rejonów i chce wziąć więcej — za każdą następną książkę płaci 25 zł na dobę. Z powodu panującej tu ciasnoty — w zasięgu wzroku i rąk znajduje się co najwyżej kilkaset woluminów. Dlatego D. Burska każdemu pomaga dokonać wyboru informując o treści i walorach poszczególnych tytułów i autorów. Poza tym do dyspozycji są zawsze uproszczone katalogi zawierające fiszki z tytułem, nazwiskiem oraz imieniem autora. Ruch panuje tu ogromny, co kilka minut przybywa nowy czytelnik. Dla usprawnienia obsługi właścicielka zatrudnia pracownicę na pół etatu.

Zainteresowania czytelnicze są tu takie same jak gdzie indziej. Przeważają zdecydowanie amatorzy kryminałów i lekko strawnej literatury „do pociągu". Trudna sytuacja społeczno-polityczno-zaopatrzeniowa zmusza do szukania pozycji pogodnych, zabawnych, ze szczęśliwym zakończeniem. Poezja jest nieobecna w zbiorach, bo nikt o nią nie pyta.

Księgozbiór zasilają niemal wszystkie bieżące bestsellery. Wiele z nich trafia szybko do oprawy, bo rozsypują się po pierwszym czytaniu. Czasem pojawiają się kłopoty z odzyskaniem szczególnie cennych nowości. Kiedy nie skutkują wizyty w domach „zapominalskich", sprawa trafia do sądu. Dewizą właścicielki wypożyczalni jest równe prawo dla wszystkich czytelników. Nieprawdziwa okazuje się pogłoska o listach oczekujących na szczególnie atrakcyjne tytuły.

Metodycy z Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego sprawują formalną pieczę nad wszystkimi bibliotekami, tylko nie nad prywatną wypożyczalnią przy ul. A. Struga W urzędowej nomenklaturze D. Burska figuruje bowiem jako... rzemieślnik. Natomiast bibliotekarze z „Waryńca" często są czytelnikami pani Danuty.

ANDRZEJ WERBIK

PESTKI DYNI

Nie będę pisał o nowym rządzie, o najnowszym rządzie, ani o żadnym starym. Nie będę pisał o senatorach ani ministrach, o żadnych premierach, prezydentach, żadnych panach, towarzyszach, przewodniczących, żadnych szarych i burych eminencjach, żadnych koalicjach, sodalicjach i takich innych. Nie będę też pisał o gwiezdnej galopadzie cen, ani o przyziemnym, w prochu i pyle czołganiu się naszej kultury na przykład. Ani o gastronomii, ani o kiełbasach, rąbankach, siekankach... Ani też o poniżającym żebractwie, płonnych nadziejach, zwieszonych na kwintę nosach, ani też o przyczkach w owe nosy na kwintę zawieszone... Nie będę.

Piszą inni, ładnie piszą, uczenie, proroczo, zjadliwie, w natchnieniu, w nawiedzeniu, w furii, śmiesznie, dowcipnie, poważnie; piszą dla tych, którzy umieją czytać, dla tych co nie umieją, dla tych, co nie czytają nic i tych, co każą sobie czytać wszystko i notują.

Ja napiszę sobie o zwykłych, normalnych wariatach — o d z i w a k a c h.

Otóż są d z i w a c y, którzy uważają, że DZIWACY I ORYGINAŁOWIE — to sól gatunku ludzkiego. Może tak jest w istocie?! W każdym razie na pewno — pospołu z pięknymi kobietami — są gatunku ozdobą.

Oglądałem swego czasu hiszpański film o pewnym facecie z Kastylii, który kolekcjonował puszki z sardynkami z całego świata — sardynkowego świata. Miał tych puszek tysiące. Co jakiś czas wybierał ze swojej kolekcji kilka z nich, pełnych oczywiście sardynek i przywiązawszy je do małych baloników — uprzednio przez siebie pomalowanych i ozdobionych napisami — wypuszczał w przestworza, w świat. Czyż to nie piękny przykład wspaniałego, bezinteresownego wariactwa? Latające nad Kastylią nad Hiszpanią, nad morzami i oceanami, nad światem s a r d y n k i w p u s z k a c h! Kiedyś sardynki-baloniarki znaleziono na bezdrożach Patagonii, inne doleciały do Nowego Jorku, a jeszcze inne pod wieżę Eiffla, w samym sercu Paryża...

Pewien mieszkaniec Teksasu wybudował na dachu swego domu krzywą wieżę z Pizy i londyńskiego Big Bena i połączył je wierną kopią mostu Tower. Jego sąsiad i przyjaciel odpowiedział mu na to, budując sobie trzypiętrowy dom w kształcie... buta. Wtedy pierwszy wybudował na dachu chińską pagodę.. Rywalizacja trwa.

Wielki ekscentryk **Oscar Wilde** pisał: „W życiu chodzi o to, by być trochę niemożliwym". Znana z wielu dziwactw i karkołomnych pomysłów, angielska pisarka **Edith Sitwell,** twierdziła że „ekscentryzm — to nie jest rodzaj obłędu, lecz tylko forma niewinnej dumy". Ładnie powiedziane tym bardziej że większość ekscentryków uważa iż „życie — to jedno pasmo radości (...), bowiem jest ono tylko jedno".

Doktor David Weeks bada dziwaków w różnych krajach. Uważa, że najwięcej jest ich nadal w Wielkiej Brytanii i Ameryce, gdzie wszelkie dziwactwa mają długą tradycję, ale nie brakuje ich i wśród innych nacji. Wymienia pewnego Duńczyka, który zgromadził siedmiotysięczną kolekcję obrazów przedstawiających jelenie na rykowisku; pewnego Włocha, który wytapetował swój dom od piwnic po strych guzikami — guziczek obok guziczka; wreszcie spotkał Szwajcara, co sypiał w prawdziwym karawanie zaś w jego jadalni krzesła miały kształt nagrobków i zrobione były z prawdziwego, czarnego marmuru...

Większość ekscentryków żyje szczęśliwie w stworzonych przez siebie światach. Wyposażeni w niekonwencjonalne poczucie humoru oraz skłonność do przesady i nieograniczonego optymizmu, prowadzą często życie, które widzom istotnie może się wydać wielce dziwaczne — powiada doktor Weeks. Twierdzi też, że trwa obecnie wyjątkowy renesans zamiłowania do wszelkiego rodzaju dziwactw. Okazuje się, że ekscentrycy amerykańscy odznaczają się większą intuicją i poczuciem humoru od swoich kolegów w Anglii i Szkocji. „W obu krajach mężczyźni po prostu są ekscentrykami »od zawsze«, podczas gdy kobiety czekają, aż dzieci podrosną, po czym porzucają mężów i oddają się bez reszty długo tłumionym pasjom..."

Podstawową tezą pracy i książki Davida Weeksa jest założenie, że ekscentrycy nie są wariatami — „są inteligentniejsi, bardziej twórczy, zdrowsi i szczęśliwsi niż ludzie uznawani za przeciętnych i normalnych".

Ja się pod tą tezą podpisuję. Ludzie! Bądźcie do cholery wariatami! Może to jedyny sposób na kretyństwa tego świata...

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

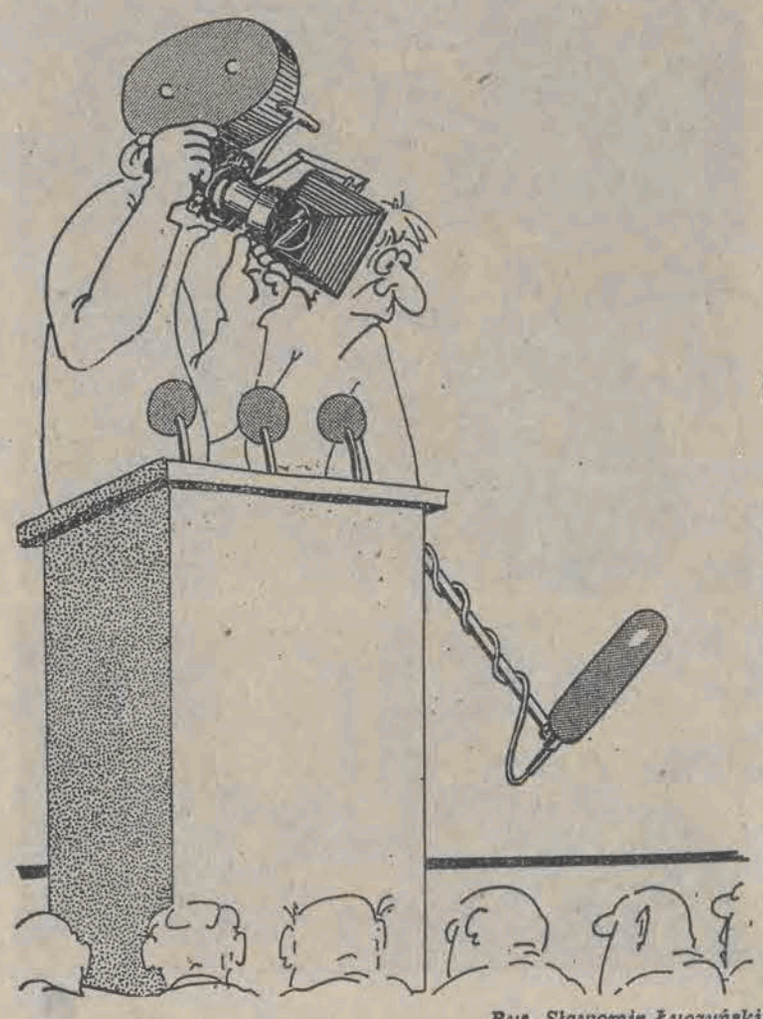

Rys. Sławomir Łuczyński

PO 35 LATACH

Był to jeden z najszczęśliwszych debiutów literackich we Francji. W roku 1954 pojawiła się słynna w latach późniejszych książka **„Bonjour tristesse" — „Witaj smutku".** Jej autorką była 17-letnia wówczas **Francoise Sagan.** Pierwszy „ostrożny" nakład wyniósł 4,5 tys. egz. Od tamtej pory książka osiągnęła wielomilionowe nakłady w wielu językach, a jej autorka napisała 17 kolejnych powieści, 5 sztuk teatralnych i kilka portretów słynnych ludzi, m.in. **Sarah Bernhardt.** Wiele z tych powieści doczekało się ekranizacji, a nakreślone przez Sagan sylwetki kobiet zyskały rozgłos dzięki kreacjom aktorskim — m.in. **Ingrid Bergman** w filmie **„Czy pani lubi Brahmsa"?. Jean Seberg w „Witaj smutku"** czy **Claudine Auger** w filmie **„Nieco słońca w zimnej wodzie".**

Najnowsza książka Francoise Sagan wydana w tym roku nosi tytuł **„La Caisse"** („Smycz"). Jej bohaterem jest muzyk borykający się z kłopotami finansowymi, który poślubia bogatą kobietę, całkowicie uzależniając się od niej finansowo. Później, jakby przypadkowo, komponuje utwór, który staje się wielkim przebojem, co przynosi mu fortunę. Ale wtedy następuje rozkład w harmonijnym i zgodnym dotychczas małżeństwie...

Z okazji wydania swojej nowej książki Francois Sagan udzieliła wywiadu dla **„Elle"**, w którym — nawiązując do intelektualnego snobizmu, który dał jej się dawniej we znaki, a także głoszonych kiedyś plotek, iż „Witaj smutku" nie napisała samodzielnie — powiedziała m.in.

— Potrzebowali dwudziestu pięciu lat, by przyznać, że zasługuję na miano pisarki. Ale intelektualiści rzadko kiedy wymieniają mnie wśród „francuskich pisarzy". Mówią o Beckecie, Dumas, ale nie o mnie. A przecież, do licha, nie piszę tak źle, mam nawet pewien talent! Są tacy, co udają geniuszy, choć naprawdę są gorsi ode mnie. Mnie otacza życzliwe milczenie. Nie robię z siebie nieszczęśliwej, żyje mi się bardzo łatwo. We Francji woli się narzekać...

„PRAWDA W FIKCJI"

Tak zatytułowano rozmowę **Witalija Korotycza,** naczelnego redaktora **„Ogonioka"** z **Jurijem Prokalczukiem** — pisarzem radzieckim, opublikowaną w **„Drużbie Narodów".** Rozmowa dotyczy stosunku do twórców kultury poszczególnych republik, o różnych podejściach do literatury narodów ZSRR i wyrosłych na tym tle stereotypów.

— W swoim czasie — mówi Witalij Korotycz — chociażby w podręczniku Tatiszczewa, podawało się takie wyjaśnienie faktów: na wschodnich kresach Rosji żyli tacy brzydcy barbarzyńcy i zbóje, Rosja walczyła z nimi ogniem i mieczem, a potem „łaskawie" ich do siebie przyłączyła. Było to jedyne uzasadnienie, które mogło usprawiedliwić przyłączenie innych terytoriów do Rosji. Czas upłynął, ale to uzasadnienie, choć w nieco bardziej oględnej formie, powtarza się i w naszych szkolnych podręcznikach. Stara imperialna mitologia odradza się i to też rodzi konflikty. Choćby uzbeckie powieści o Timurze, który u nas — bo dokonał kilku najazdów na Zachód — nigdy nie mógł stać się postacią pozytywną. Bez względu na znaczenie w historii swojego narodu u nas zawsze przedstawiano go w jednym kolorze — czarnym... Takie uproszczone podejście funkcjonuje nie tylko w stosunku do najeźdźców, ale nawet wobec bohaterów narodowych wielu ludów i skomplikowanych zdarzeń historycznych... Czy nasze **„Słowo o pułku Igora"**, gdzie nasi zadziorni ruscy kniazie napadają na Połowców dokonując oczywistego aktu agresji. I w wielu innych przypadkach upraszczało się fakty historyczne; przy czym jednym raz na zawsze przypisywano rolę gwałcicieli, a innym — dobroczyńców W tym samym okresie odnoszono się z niechęcią do obyczajów narodowych, ganiono je i wyśmiewano. Tradycje wielu narodów naszego Wschodu, które były w pełni muzułmańskie, rodziły swego rodzaju negatywną mitologię; zarówno w wojsku jak i w życiu codziennym człowiek, który się inaczej odżywiał inaczej wychowywał swoje dzieci, inaczej odnosił się do kobiety, narażał się na drwiny, a czasem na prześladowania Wzajemne poszanowanie i tolerancja dla odmienności — tego długo jeszcze należy się uczyć...

Recitale w foyer

„Przed kilkoma laty Teatr nasz wprowadził zwyczaj inaugurowania kolejnych sezonów artystycznych seriami recitali. Ich założenie jest proste: prezentacja wybitnych postaci życia artystycznego oraz promocja najmłodszego pokolenia sztuki muzycznej i wokalnej".

Te słowa można przeczytać w pierwszym, wydanym w nowym sezonie, programie łódzkiego Teatru Wielkiego. Jest zatem — faktycznie — wszystko w tej materii jasne (może tylko poza oddzieleniem zakresu pojęć „sztuki muzycznej i wokalnej"): teatr, wypełniając repertuarową lukę w trakcie pourlopowego „rozruchu" pragnie dać własnym i zaproszonym artystom okazję do bardziej intymnego kontaktu z publicznością.

Intymność wynika ze specyfiki repertuaru — śpiewacy poza ariami prezentują bowiem pieśni — powodowana jest też odmiennością miejsca, gdyż występy odbywają się nie na scenie, lecz w foyer. W poprzednich latach z łódzkimi melomanami spotkali się na tych zasadach m.in. wokaliści — **Delfina Ambroziak, Teresa May-Czyżowska, Ewa Podleś, Bogna Sokorska, Paulos Raptis** oraz tubista **Zdzisław Piernik**, a także pokaźne grono młodych wykonawców. W roku bieżącym przewidziano następne recitale.

Pierwszy wszelako wieczór po wakacjach (2.IX) miał inny charakter. Nosił tytuł **„Wanda Wermińska in memoriam"** i zawierał okraszony ciekawym komentarzem **dyr. Sławomira Pietrasa** wybór 9 popisowych utworów z repertuaru zmarłej przed rokiem, wybitnej polskiej śpiewaczki. Wystąpiły kolejno: **Joanna Cortes, Maria Szczucka, Małgorzata Borowik, Ewa Karaśkiewicz, Jadwiga Mirecka, Sylwia Maszewska, Danuta Paziukówna, Elżbieta Niziołowa i Teresa May-Czyżowska.** Do sukcesu przyczyniły się akompaniujące śpiewaczkom pianistki: **Nadieżda Pawlak, Ewa Szpakowska i Elżbieta Zwierzchowska.**

Następnego dnia wystąpiło dwoje początkujących solistów TW w Łodzi: **Anna Jeremus** — sopran koloraturowy (z akompaniamentem **Ewy Szpakowskiej**) i **Piotr Miciński** — bas (z akompaniamentem **Krystyny Hussar-Moczulskiej**). Głosy to obiecujące, lecz jeszcze nie w pełni ukształtowane zarówno pod względem emisyjnym, jak i możliwości ekspresyjnych.

Bardzo interesujący okazał się natomiast recital reprezentującej operę wrocławską **Danuty Paziukówny-Zipser** (przy fortepianie **Alicja Faryniarz**). Niezwykle subtelny i wyrafinowany interpretacyjnie sopran liryczny zachwycił wprost m.in. pieśniami **Schumanna, Griega i R. Straussa**, może jedynie w zamykających występ kompozycjach **Obradorsa** spodziewać się należało bardziej jeszcze intensywnego w swej „hiszpańskości" wyrazu.

6.IX. zakończyli cykl młody baryton **Zenon Kowalski**, któremu towarzyszyła pianistka **Małgorzata Kuraś-Tkacz**, oraz kontratenor sopranowy **Dariusz Gwidon Paradowski** (akompaniowała **Bogumiła Jasińska**). Ów baryton to nie jedyny Kowalski, będący solistą łódzkiego TW, z niego wszakże placówka może się tylko cieszyć. Głos szlachetny, interpretacje muzykalne, stylowe. Paradowski, studiujący jeszcze we Wrocławiu, naśladuje falsetem kobietę, co ma uzasadnienie głównie w muzyce dawnej. Technika artysty nie jest na razie bezbłędna. W sumie i ten wieczór zaciekawił mimo monotonnej, opartej o odczytywanie z programu biogramów, konferansjerki (tym razem już nie dyr. Pietras).

JANUSZ JANYST

„Sztuka konwersacji"

MIROSŁAW SARNECKI

Prapremiera tego utworu (opublikowanego w paryskich „Zeszytach Literackich" wiosną 1988 roku) miała miejsce w **Teatrze Kameralnym w Warszawie** w grudniu zeszłego roku. Spektakl „szedł" kompletami a bilety wyprzedane na długo naprzód. Nic dziwnego — tekst **Kazimierza Brandysa** jest swoistą sensacją literacką, do dzisiaj nie był publikowany w kraju. Myślę, że to jest głównym powodem, dla którego publiczność szczelnie wypełniała salę Teatru Kameralnego. Samo warszawskie przedstawienie już odkryciem artystycznym nie jest. I jeżeli, patrząc kategoriami czysto teatralnymi, warto było zobaczyć **„Sztukę konwersacji"** w Warszawie, to głównie ze względu na świetne aktorstwo **Andrzeja Łapickiego i Anny Seniuk.** To bardzo dużo, zważywszy, jak kiepska jest kondycja naszego współczesnego aktorstwa. A jednak niektórzy widzowie czuli się zawiedzeni — spodziewali się czegoś w rodzaju wzruszenia metafizycznego, sądzili, że tekst Brandysa pokazany przez **Andrzeja Łapickiego stanie się okazją do głębszej refleksji o** złożonych procesach historycznych i samej naturze człowieka. Tak się jednak nie stało — przedstawienie warszawskie było salonową komedią konwersacyjną, która, niestety, bardzo powierzchownie ukazuje plan myślowy utworu Kazimierza Brandysa.

A „Sztuka konwersacji" zasługuje, jak sądzę, na większą uwagę — jest bowiem opowieścią o ludziach złamanych wewnętrznie przez Historię. Ukazuje proces degradacji jednostki, która w swoim czasie była obiektem manipulacji politycznych.

Nie sposób tutaj (rzecz nie jest znana szerszemu czytelnikowi), pominąć fabuły opowieści dramatycznej Brandysa. Oto w Paryżu spotykają się dawni kochankowie — Iza i Łukasz. Nie widzieli się trzydzieści lat. Ona po roku 1956 wyemigrowała z kraju, On — żołnierz AK, uczestnik Powstania Warszawskiego, był represjonowany w czasach stalinowskich. Wyszedł z więzienia i odsunął się od polityki. Iza — adwokatka, zafascynowana komunizmem, broniła oskarżonych w procesach politycznych lat pięćdziesiątych. Broniła także Łukasza, przekonując go, aby dla własnego dobra podpisał fałszywe zeznania.

Teraz spotykają się na „paryskim bruku". Co mają sobie do powiedzenia? Czy ci starzy ludzie zapomnieli już o dawnych fascynacjach i dawnych doświadczeniach? W warszawskim przedstawieniu ów groźny, złowieszczy, chciałoby się rzec, cień przeszłości pojawiał się jakby w tle, na małą chwilkę. Nie łamał salonowej, szalenie eleganckiej rozmowy. Nie wiem, czy było to słuszne.

Piszę o tym wszystkim dlatego, iż mieliśmy drugą realizację „Sztuki konwersacji" na naszych scenach. Utwór Brandysa wystawił **Teatr Polski w Bydgoszczy**, prowadzony przez **Andrzeja Marię Marczewskiego.** I bydgoskie przedstawienie można uznać za replikę intelektualną i artystyczną na realizację Andrzeja Łapickiego. To już nie była salonowa komedia, a dramat ludzi, którzy próbują się porozumieć, którzy próbują zrzucić ze swoich ramion ciężar dawnych win i dawnych słabości, jakże ludzkich... Na scenie mieliśmy w istocie dwa monologi wewnętrzne — zarówno Iza jak i Łukasz prowadzili dialog z samym sobą. Partner był świadkiem, czasem nawet kimś w rodzaju spowiednika. Była to rozmowa o wolności jednostki i jej granicach — czy sami wybieramy swój los, czy naszymi czynami kieruje ślepy przypadek, czy też istnieje jakieś złowieszcze Oko Opatrzności, które igra życiem ludzkim...

Bydgoski spektakl różnił się w istotny sposób od realizacji warszawskiej — to już nie komedia a coś w rodzaju psychodramy, podczas której bohaterowie ujawniają swoje tajemnice, kompleksy i nadzieje.

Ważne także było to, iż w Teatrze Polskim w Bydgoszczy utwór Kazimierza Brandysa został potraktowany przez reżysera jako rodzaj tworzywa literackiego, nie zaś jako gotowy dramat. I jest to zrozumiałe, bowiem „Sztukę konwersacji" można uznać za rodzaj opowiadania pisanego formą dialogową. Wszelkie zabiegi adaptatorskie (opracowanie dramaturgiczne i reżyseria: **Wiesław Nowicki**) służyły temu, żeby utworowi Brandysa nadać zwartość i przejrzystość sceniczną. W rezultacie mieliśmy sześć oddzielnych rozmów, każda z nich posiadała wyraźnie określony temat, który bez trudu wychwytywaliśmy (scenę pierwszą można by nazwać próbą nawiązania rozmowy, drugą — odkryciem prawdy o Witoldzie, mężu Izy, który popełnił samobójstwo po aresztowaniu przez gestapo itd.).

Teatr Polski w Bydgoszczy dał przedstawienie nie tylko bardzo logiczne, ale także przejmujące w swojej wymowie. Stało się tak także dlatego, iż zrezygnowano z niebezpiecznej pokusy publicystyki. To nie była rozprawa z komunizmem, a ukazanie jak różnego typu deformacje, wypaczenia, manipulacje i przedmiotowe traktowanie jednostki mogą zniszczyć konstrukcję psychiczną człowieka. Odejście od publicystyki sprawiło, iż bydgoska „Sztuka konwersacji" ukazana była w szerszej perspektywie i nie stanowiła tylko opowieści o byłej komunistce i żołnierzu AK, katowanym w kazamatach UB. Dzięki temu spektakl stał się rodzajem uogólnienia, przypowieścią o ludziach, którzy zostali wciągnięcia w tryby Historii.

Takie przesłanie stawia wielkie wymagania przed aktorami. Nie wątpię, że **Wanda Ostrowska** (Iza) i **Andrzej Juszczyk** (Łukasz) robili wszystko, aby podołać temu zadaniu. Osiągnęli jednak tylko poprawność aktorską. Szkoda, gdyż inaczej mielibyśmy spektakl, który uznać by można za wydarzenie artystyczne sezonu.

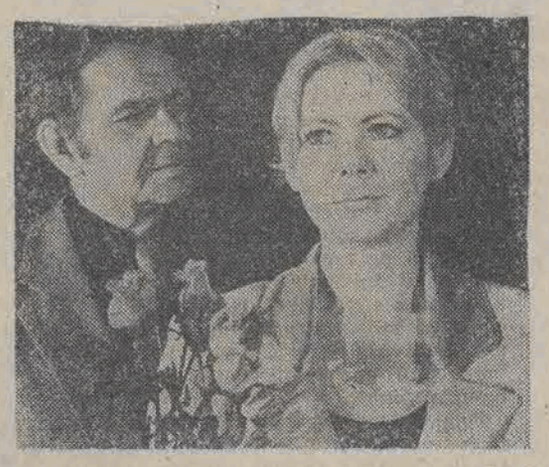

Na zdjęciu: Wanda Ostrowska (Iza) i Andrzej Juszczyk (Łukasz).

Foto: Stanisław Wasilewski

Uwaga na nowości

Dawno minęły czasy, kiedy poniedziałkowy Teatr TV przyciągał miliony zafascynowanych widzów. Stało się tak, od kiedy telewizja poutykała swoje teatralne dokonania w różne dni tygodnia i nie najlepsze godziny odbioru, szufladkując pod różnymi nazwami: „Teatru Rozmaitości" (dotychczas w piątki dwa razy w miesiącu, a od nowego sezonu — w niedziele po Teleexpressie), Teatru Prozy, „Studia Teatralnego Dwójki", adresowanego do bardziej wymagających widzów i wreszcie mającego najbogatszy dorobek i tradycje — teatr poniedziałkowy. Nie oznacza to jednak, że w tym repertuarowym galimatiasie nie znajdowaliśmy dla siebie czegoś sensownego i interesującego, a co potwierdziły ostatnie wznowienia.

Jak zapowiada **Krzysztof Domagalik**, zastępca redaktora naczelnego w Naczelnej Redakcji Teatru TV, nowy sezon ma się wyróżnić kilkoma wydarzeniami. Takim wydarzeniem w poniedziałkowym Teatrze TV ma być **„Małżeństwo Marii Kowalskiej" Marii Nurowskiej** w reżyserii **Piotra Cieślaka** ze znakomitą ponoć kreacją **Jadwigi Jankowskiej-Cieślak**, „utwór rozrachunkowy" — jak mówi w „Antenie" Krzysztof Domagalik — gorzki, pełen podtekstów i znaków zapytania. W podobnym nurcie utrzymany jest **„Kwartet"** napisany przez **Michała Komara i Tomasza Zygadlę**, zrealizowany z rozmachem, w plenerach. To właściwie wideofilm opowiadający o grupie przyjaciół, na których swe piętno wycisnął rok 1968".

Równie interesująco zapowiadają się **„Dzieci Arbatu"** w reżyserii **Kazimierza Kutza** z udziałem takich znakomitości jak **Jan Peszek i Jerzy Trela.** Kolejne pozycje to **„Szalbierz" Gyorgy Spiro** — rzecz o odpowiedzialności artysty, o relacji artysta — władza. Choć ten dramat opowiada o innych czasach, lecz mieści się w podobnym nurcie, tak jak i **„Szczególny dzień" Ettore Scoli** — opowieść o faszyzmie, samotności i nieprzystosowaniu.

Pragniemy także zwrócić uwagę na **„Ryszarda III" Williama Szekspira** z **Andrzejem Severynem** w roli tytułowej oraz na utwory innych telewizji, m. in. radziecki spektakl w reżyserii **Michała Kozakowa**, według nieznanej sztuki **Lwa Tołstoja** pt. **„A światło świeci w ciemnościach".** Natomiast z repertuaru Studia Teatralnego Dwójki na: **„Zamek" Franza Kafki** w reżyserii i adaptacji **Marka Grzesińskiego** z udziałem **Piotra Bajora, Adrianny Biedrzyńskiej, Kaliny Jędrusik** i **„Piątek, dzień miłości, dzień wolności" Hugo Clausa**, w reżyserii **Magdaleny Łazarkiewicz** — opowiadający o człowieku powracającym z więzienia. Telewizja zapowiada przeniesienie z Teatru Dramatycznego w Warszawie głośnego spektaklu **„Ja, Feuerbach"** ze znakomitą rolą **Tadeusza Łomnickiego.**

MAREK BRUK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

SZEKSPIR... ARABEM

„Libijskiemu przywódcy rewolucyjnemu płk **Muammarowi Kadafiemu** — który dotąd nie dał się jeszcze poznać jako językoznawca — udało się ponoć ustalić prawdziwą tożsamość **Williama Szekspira**, którego dotąd omyłkowo brano za Anglika. Jak doniosło Radio Teheran — pisze za „Frankfurter Rundschau" „Forum" — Kadafi jest najzupełniej pewien że Szekspir — a właściwie **Szejk Spir** — był Arabem, synem niejakiego Szejka Zubaira. Ustalenie tego faktu zajęło ponoć Kadafiemu kilka lat skrupulatnych badań. Przy okazji stwierdził również, że Szekspir korzystał obficie z wątków zapożyczonych od arabskich poetów i bajarzy ludowych. Od nich to zaczerpnął wzorce do takich postaci jak Otello czy Romeo i Julia.

Profesor **Levi Fox**, dyrektor **Brytyjskiego Ośrodka Szekspirowskiego** w Stratfordzie, dość sceptycznie ocenił wartość nowego odkrycia. Jego autorowi wyraził jednak swego rodzaju uznanie, zapewniając, że jest to „najbardziej szaleńcza ze wszystkich dotychczasowych hipotez" na temat tożsamości twórcy, który — według oficjalnych danych — urodził się w Stratfordzie w 1564 roku, a zmarł w roku 1616 w Londynie".

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Jerzy Węgierski „W lwowskiej Armii Krajowej" (PAX 1989) — 4000 zł (cena nominalna 2800 zł); **Marek Hłasko „Sowa, córka piekarza"** (Wydawnictwa ALFA 1989) — 3500 zł (cena nominalna 1200 zł); **Stanisław Podlewski „Wolność krzyżami się znaczy"** (Wydawnictwo Ośrodka Dokumentacji i Studiów Społecznych („ODiSS" 1989) — cena 10 000 (cena nominalna 6000 zł); **Józef Orliński „Szkice z dziejów stosunków polsko-żydowskich 1918—1949"** — 600 zł (cena nominalna 100 zł); **Ryszard Mirowicz „Edward Rydz-Śmigły"** — 1500 zł (cena nominalna 600 zł); **„Wielka Encyklopedia Powszechna PWN"** (13 t.) — 300000 zł; **Zygmunt Kaczmarek „Trzej prezydenci II Rzeczypospolitej"** — 1500 zł (cena nominalna 800 zł); **„Białe plamy"** („Reporterska aukcja zdarzeń" — Oficyna Literatów „Rój" 1989) — 1000 zł za tomik (cena nominalna tomiku 460 zł); **„Podręczny słownik polsko-niemiecki** (WP 1989) — 35000 zł (cena nominalna 20000 zł); **„Podręczny słownik polsko-angielski"** (WP 1984) — 40000 zł; **„Kronika getta łódzkiego"** (2 t.) — 25000 zł; **Bernard Malamud „Żydoptak"** — (WL 1989) — 2000 zł; **Rafał Wojaczek „Utwory zebrane"** — („Ossolineum" 1976) — 10000 zł (cena nominalna wówczas 80 zł); **Tadeusz Kutrzeba „Bitwa nad Bzurą"** (Czytelnik 1958) — 3000 zł; **„Ryszard Marek Groński przedstawia kabaret Hemara"** (Wydawnictwo PTWK 1989) — 1600 zł (cena nominalna 980 zł).

Galeria pisarzy

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

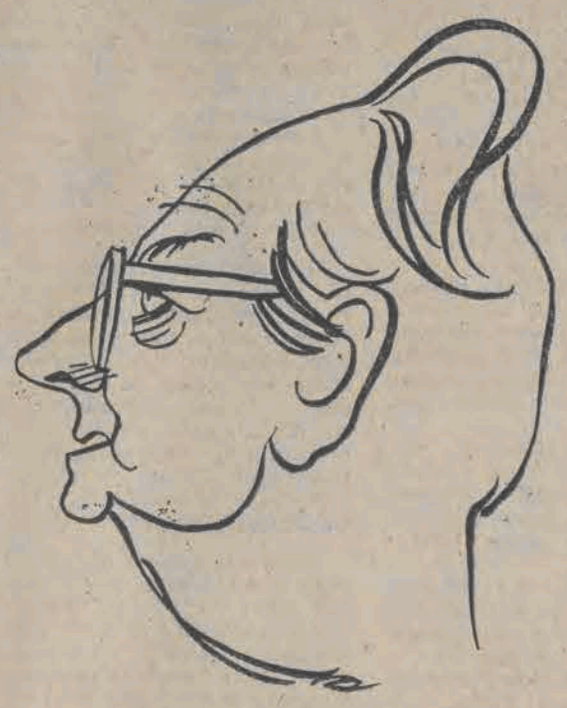

Rys. Sławomir Arabski

Kronika

Z OKAZJI 50. ROCZNICY WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ Muzeum Wojska Polskiego przygotowało w Nowym Jorku, przy współpracy z Muzeum Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, wystawę obrazującą walkę żołnierza polskiego na wszystkich frontach antyhitlerowskich zmagań, aż po udział w zdobyciu Berlina.

Ta okolicznościowa ekspozycja prezentowana jest na pokładzie lotniskowca „Intrepid" — okrętu-muzeum od 1983 r.

SZKOŁA PODSTAWOWA W WOLI ZARADZYŃSKIEJ otrzymała 1 września br. imię Igora Sikiryckiego, nieżyjącego już wybitnego łódzkiego pisarza i działacza PRON.

Przypomnijmy, że był on kierownikiem działu literackiego w naszym tygodniku.

NA KSIĘŻYM MŁYNIE, 2 bm., w Zespole Szkół Ekonomicznych odbyła się uroczystość z okazji 120-lecia tego unikatowego fabrycznego osiedla, usytuowanego w rejonie między ulicami 3 Marca, Przędzalnianą i Fabryczną.

Tamtejszy kompleks architektoniczno-fabryczny z okresu rodzenia się Łodzi przemysłowej — jest jednym z najbardziej oryginalnych skansenów tego typu w Europie.

WYDAWNICTWO „EPOKA" — oficyna Stronnictwa Demokratycznego — zamierza uruchomić nową serię wydawniczą pn. „W środku prawdy". Złożą się na nią wysokonakładowe tomiki, dokumentujące białe plamy w naszej najnowszej historii.

Pierwszy z nich — zatytułowany **„Tragedia Armii Krajowej"** — zawierać będzie wybór nieznanych materiałów, dotyczących likwidacji AK oraz porwania 16 przywódców Polski Podziemnej.

BARDZO INTERESUJĄCO zapowiada się nowy sezon artystyczny, 1989/1990, w Filharmonii Łódzkiej — obchodzącej w tym czasie jubileusz 75-lecia.

Podczas przyszłorocznych marcowych koncertów jubileuszowych zaprezentują łódzkim melomanom swój kunszt i wirtuozerię m.in. artyści o tak sławnych nazwiskach, jak **H. Czyż, P. Paleczny, E. Kisslin, M. Frager.**

Przewidziane są również w sezonie jubileuszowym zagraniczne tournée łódzkich filharmoników — wyjazdy z koncertami do Hiszpanii, Francji i Korei Południowej.

NIECODZIENNA, BARDZO CIEKAWA I POUCZAJĄCA ZARAZEM WYSTAWA, prezentująca pieniądze oraz inne środki płatnicze emitowane i znajdujące się w obiegu na ziemiach okupowanej Polski w latach 1939—1945 — otwarta została 5 bm. w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi.

W uroczystości otwarcia ekspozycji uczestniczył m.in wiceprezydent m. Łodzi — **Jan Urbaniak.**

Wśród wielu prezentowanych na wystawie unikatowych eksponatów przyciągają szczególną uwagę pieniądze z łódzkiego getta (curiosum!), banknoty wydrukowane na emigracji, z myślą o wprowadzeniu ich po wyzwoleniu do obiegu w kraju, waluta emitowana przez władze radzieckie na terenach b. naszych województw wschodnich — po zajęciu ich w 1939 r. przez Armię Czerwoną, unikalny banknot z Powstania Warszawskiego — z nadrukiem AK — (wypożyczony ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie).

W OGÓLNOPOLSKIM KONKURSIE, organizowanym przez Ministerstwo Kultury i Sztuki pn. „Największe wydarzenia muzealne roku", II nagroda przypadła Krystynie Kuczyńskiej, autorce scenariusza wystawy pt. **„Wojciech Has"**, prezentowanej w łódzkim Muzeum Kinematografii.

Gratulujemy!

W MUZEUM HISTORII RUCHU REWOLUCYJNEGO W ŁODZI (ul. Gdańska 13), otwarta została 6 bm. wystawa pn. „W pięćdziesiątą rocznicę wybuchu II wojny światowej".

Zgromadzone eksponaty pochodzą ze zbiorów własnych MHRR, Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi, oraz z prywatnych kolekcji.

Bogato dokumentowane są m.in. działania Armii „Łódź" w kampanii wrześniowej. Przyciągają też uwagę, wśród prezentowanych dokumentów, nominacje oficerskie z podpisami Ignacego Mościckiego i Józefa Piłsudskiego.

W scenariuszu ekspozycji uwzględniono również wydarzenia związane z wkroczeniem Armii Czerwonej w 1939 r. na tereny polskie.

BOGDAN HUSSAKOWSKI — dyrektor Teatru im. Jaracza w Łodzi — w wywiadzie udzielonym **Markowi Koprowskiemu** („Kalejdoskop", wrzesień 1989 r.) potwierdził, że był to jego ostatni sezon w tym teatrze.

„Za moją decyzją — powiedział — nie kryją się mniej lub bardziej sensacyjne motywy. Po dziesięciu a właściwie jedenastu latach pracy w jednym teatrze powinno się zmienić miejsce (...). Mój następca, a będzie nim prawdopodobnie **Piotr Cieślak**, prezentuje podobne mojemu, **Hübnerowskie myślenie o teatrze.**

NAKŁADEM FRANCUSKIEGO WYDAWNICTWA „Pierre Belfond" ukaże się książka **Gabriela Maretika pt. „Noc generała"**, opisująca kulisy przygotowań do wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Fragmenty jej drukował dziennik „Le Monde".

WYDARZENIEM ARTYSTYCZNYM Z DZIEDZINY PLASTYKI jest — wystawa grafik Pabla Picassa, otwarta w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

Prezentowane na niej 133 prace wielkiego artysty (z lat 1905—1968, tzw. okresu różowego) pochodzą ze zbiorów hanowerskiego muzeum Sprengela.

Ekspozycja czynna będzie do 15 października br.

CENTRALNY OŚRODEK METODYKI UPOWSZECHNIANIA KULTURY MKiS oraz Zarząd Główny ZSMP organizują w Uniwersytecie Ludowym we Wzdowie (woj. krośnieńskie) dwuletni stacjonarny kurs rękodzieła artystycznego i upowszechniania sztuki ludowej (tkactwo artystyczne, koronka, haft ludowy).

Kandydatami na kurs mogą być osoby posiadające świadectwo dojrzałości albo ukończenia szkoły średniej. Obowiązuje egzamin oraz złożenie pracy kontrolnej.

Podania należy składać do 24 IX br. w UL we Wzdowie.

Opracował: JAK

Nikita Chruszczow o Siergieju Kirowie

Dlaczego musiał zginąć?

RYSZARD BADOWSKI

W 26 numerze „Odgłosy" wydrukowały szkic znanego radzieckiego historyka Roja Miedwiediewa pt „Kto polecił zamordować Siergieja Kirowa?". Poprzedzały go słowa: „Są to materiały i domysły związane z zabójstwem Kirowa" Dziś do tych materiałów i domysłów dołączyć można ciekawy aneks. Są nim podyktowane na taśmę magnetofonową wspomnienia Nikity Chruszczowa, które udostępnił tygodnikowi „Ogoniok" syn byłego radzieckiego przywódcy, Siergiej Chruszczow. Jeden z odcinków tej publikacji wyjaśnia, dlaczego Siergiej Kirow zginął.

„Zjazd zwycięzców"

Zamach na Siergieja Kirowa 1 grudnia 1934 roku zapoczątkował represje polityczne, które stworzyły w całym kraju atmosferę zastraszenia, a Józefowi Stalinowi pozwoliły zniszczyć fizycznie opozycję.

Roj Miedwiediew opisuje przybycie Józefa Stalina do Leningradu z liczną świtą, wśród której wymienia Wiaczesława Mołotowa, Klimienta Wroszyłowa, Nikołaja Jeżowa, Henryka Jagodę, Andrieja Żdanowa i zajmujących niższe stanowiska funkcjonariuszy. Nie wspomina ani słowem o Nikicie Chruszczowie. Okazuje się, Nikita Chruszczow przybył do miasta nad Newą tym samym pociągiem na czele delegacji moskiewskiej, która miała towarzyszyć zwłokom Siergieja Kirowa ze Smolnego na Plac Czerwony.

Na początku grudnia zadzwonił do niego Łazar Kaganowicz i powiedział krótko:

— *Proszę przyjechać na Kreml.*

Łazar Kaganowicz był sekretarzem KC WKP(b) i jednocześnie I sekretarzem Moskiewskiego Komitetu partii. Nikita Chruszczow — jednym z sekretarzy moskiewskiej organizacji partyjnej, podlegającej Łazarowi Kaganowiczowi.

Na Kremlu odbywało się posiedzenie Biura Politycznego KC WKP(b). Kaganowicz ze łzami w oczach wyszedł z posiedzenia i załamującym się głosem powiedział:

— *Został zabity Kirow. Powołacie moskiewska delegację robotniczą i pojedziecie do Leningradu na uroczystości pogrzebowe. Pochowany będzie w Moskwie. Macie towarzyszyć jego ciału.*

Stalina, Woroszyłowa i Mołotowa nie widziałem — wspomina Chruszczow — *ani w chwili wsiadania do wagonów, ani po przybyciu* (do Leningradu), *ponieważ jechali oddzielnie, w specjalnych wagonach.*

Nikita Chruszczow nie widział zatem sceny na dworcu leningradzkim, gdy Józef Stalin uderzył w twarz witającego go szefa tamtejszego OGPU Miedwiedia. Ujrzał go na warcie honorowej przy zwłokach Siergieja Kirowa

— *Umiał panować nad sobą, twarz miał nieprzeniknioną.*

Przerwę w tym miejscu relację Nikity Chruszczowa Oglądałem zdjęcia dokumentalne z pogrzebu Siergieja Kirowa w Moskwie. Urnę z jego prochami nieśli w pierwszym szeregu Józef Stalin — z taką samą nieprzeniknioną twarzą, obok zapłakany Klimient Woroszyłow Za nimi kroczyli Michaił Kalinin i Wiaczesław Mołotow. Stalin swoim zimnym i zaciętym spokojem zdawał się świadczyć ze śmierć Kirowa zostanie pomszczona Personifikował sprawiedliwość, jaka musi dosięgnąć morderców.

Po XX Zjeździe KPZR została powołana komisja pod kierownictwem Nikołaja Szwernika, mająca stwierdzić, kto polecił zamordować Siergieja Kirowa. I wtedy nici podejrzeń skierowały się ku Józefowi Stalinowi.

Decyzję o pozbyciu się Siergieja Kirowa Stalin podjął prawdopodobnie na początku 1934 roku, kiedy w Moskwie obradował XVII Zjazd WKP(b), który do historii partii wszedł jako *„zjazd zwycięzców"*. Był to pierwszy zjazd bez opozycji. Lew Trocki wypędzony z kraju, wrogowie Józefa Stalina usunięci z kierowniczych stanowisk partyjnych. Słynny „Krótki kurs historii WKP(b)" skwitował to dosadnie:

„Bucharin, Rykow i Tomski wystąpili na XVII zjeździe z mowami pełnymi skruchy (...). Na XVII zjeździe wystąpili również trockiści — Zinowiew i Kamieniew, biczując się bez miary za swe błędy (...)".

Im właśnie Józef Stalin zarzucił, iż występując na zjeździe z *„oklicznymi mowami panowie ci jednocześnie przygotowywali nikczemne morderstwo S.M. Kirowa"*. „Krótki kurs" określił Siergieja Kirowa jako *„ulubieńca partii"* i *„ulubieńca klasy robotniczej"*. Józef Stalin nie mógł mu odebrać popularności, która stale rosła. Józef Stalin tracił popularność.

Na XVII Zjeździe WKP(b) w wyborach do Komitetu Centralnego na Siergieja Kirowa padła największa liczba głosów. Nikita Chruszczow podaje, że przeciwko Stalinowi głosowało 160 lub 260 delegatów. Nikita Chruszczow dyktował swoje „Wspomnienia" z pamięci. Stąd ta rozbieżność. Pełny tekst jego zapisów; dokonywanych w latach 1968—1971, wydrukuje pismo „Woprosy Istorii" z komentarzem naukowców, prostującym niektóre błędy i uściślającym szczegóły na podstawie archiwów partyjnych, do których tuż przed swą śmiercią Nikita Chruszczow dostępu już nie miał.

W tym przypadku dokładne określenie 160 czy 260 głosów przeciwko Józefowi Stalinowi nie jest rzeczą najważniejszą. I w jednym, i w drugim przypadku, miał przeciwko sobie dużą grupę, która pragnęła go pozbawić stanowiska sekretarza generalnego. Tymczasem komisja skrutacyjna ogłosiła, że przeciwko Józefowi Stalinowi padło zaledwie... sześć głosów!

Fałszerstwo wykryła w 22 lata później komisja Nikołaja Szwernika, która dotarła do żyjących jeszcze kilku członków komisji skrutacyjnej (większość delegatów zjazdu została rozstrzelana w latach 1937—38 lub była represjonowana). Z zesłania po 15 czy 16 latach wrócił przyjaciel Anastesa Mikojana, który był sekretarzem jednego z dzielnicowych komitetów partii w Moskwie. Człowiek ten, nazwiskiem Agreasjan (Ormianin), potwierdził, iż komisja *„miała dyrektywę"* podać taki właśnie wynik.

Nikita Chruszczow mówi zza grobu:

— *Nie wiem, kto wydał komisji skrutacyjnej dyrektywę sfałszowania rezultatów wyborów. Jestem absolutnie pewien, że bez Stalina nikt by się na to nie odważył.*

Na XVII Zjeździe również Nikita Chruszczow kandydował do KC — z ramienia delegacji moskiewskiej. I, według oficjalnego protokołu zjazdu, padło przeciwko niemu również.. sześć głosów.

— *Byłem w siódmym niebie* — zwierzył się taśmie dźwiękowej. — *Miałem przeciwko sobie tylu delegatów, co Stalin. A kim byłem wobec Stalina?".*

Zjazd podzielił się na młodych działaczy partyjnych oraz rewolucyjne kadry leninowskie. Nikita Chruszczow przyznał:

— *Kto mógł głosować przeciwko Stalinowi? Tylko leninowskie kadry. Nie można było pomyśleć, aby Chruszczow i podobni jemu młodzi ludzie, wysunięci za Stalina i uwielbiający Stalina głosowali przeciwko niemu.*

Nikita Chruszczow głosował zatem na Józefa Stalina. Ale nie tylko z wymienionych przed chwilą powodów.

— *Przed głosowaniem* — wspomina — *Kaganowicz pouczył nas, młodych, jak ustosunkować się do spisu kandydatów. Instruktaż miał charakter poufny. Zalecał wykreślenie ze spisów tych czy innych kandydatów, zwłaszcza Woroszyłowa i Mołotowa. Motywował to tym, iż niezręcznie wyjdzie, jeśli Stalin otrzyma mniej głosów niż Woroszyłow, Mołotow czy inni członkowie Biura Politycznego. Była mowa, że wszystko to czynić trzeba z przesłanek politycznych. Jego apel przyjęliśmy ze zrozumieniem, choć na mnie wywarło to złe wrażenie.*

A więc najpierw „ustawiano" delegatów, a gdy to nie pomogło, sfałszowano wybory na korzyść Józefa Stalina.

Znów Nikita Chruszczow.

— *A starzy członkowie partii, którzy pracowali niegdyś pod kierownictwem Lenina, dobrze znali Lenina i pamiętali jego testament, nie mogli pogodzić się z tym, że Stalin po śmierci Lenina, zbliżając się do XVII zjazdu nabrał sił i przestał liczyć się z nimi, zaczął przejawiać cechy charakteru, które wytknął mu Lenin. Oni na Stalina głosować nie mogli.*

Nikita Chruszczow podaje do wiadomości jeszcze jeden epizod, który komisja XX Zjazdu KPZR powiązała z morderstwem Siergieja Kirowa. Podczas obrad XVII Zjazdu WKP(b) do Siergieja Kirowa podszedł sekretarz Północno-Kaukaskiego Krajowego Komitetu WKP(b) Szebołdajew, bolszewik ze stażem sprzed rewolucji, który znał go od 1917 roku.

W relacji Nikity Chruszczowa rozmowa ich brzmiała następująco:

— *Mironycz (tak do Kirowa zwracali się bliscy ludzie), staruszkowie mówią, iż trzeba powrócić do testamentu Lenina, wprowadzić go w życie, czyli przesunąć Stalina, jak zalecał Lenin, na inne stanowisko, a na obecne wysunąć człowieka, mającego większy szacunek dla otoczenia. Ludzie mówią, że dobrze byłoby Ciebie wysunąć na stanowisko generalnego sekretarza.*

Siergiej Kirow, niestety, powtórzył Józefowi Stalinowi propozycję Szebołdajewa, na co Stalin odrzekł:

— *Dziękuję, nigdy Ci tego nie zapomnę.*

Komisja Nikołaja Szwernika potwierdziła treść tej rozmowy i włączyła ją do dokumentów przedstawionych Prezydium KC KPZR po XX Zjeździe partii.

Kim był rywal Stalina?

Nikita Chruszczow dość skąpo nakreśla sylwetkę Siergieja Kirowa. Przyznaje: — *Nie należałem do kręgu jego bliskich znajomych.* — To zrozumiałe. Siergij Kirow należał do weteranów trzech rewolucji. Od 1925 roku, aż do śmierci, stał na czele leningradzkiej organizacji partyjnej, podczas gdy Nikita Chruszczow działał w Moskwie. Siergiej Kirow od 1923 roku był członkiem KC a od 1930 roku — członkiem Biura Politycznego partii. Nikita Chruszczow dopiero na XVII Zjeździe (luty 1934) został członkiem KC, a I sekretarzem Komitetu Moskiewskiego WKP(b) miał zostać dopiero w 1935 roku. Niemniej zachowało się wspólne zdjęcie Józefa Stalina, Siergieja Kirowa i Nikity Chruszczowa, wykonane prawdopodobnie 1 maja 1934 roku na trybunie Mauzoleum Lenina. Zachował je w swoim archiwum znakomity fotoreporter radziecki Dmitrij Baltermanc. Wydaje się, że gdy Nikita Chruszczow dyktował swoje „Wspomnienia", zapomniał o tym.

Nikita Chruszczow zapamiętał natomiast, że kiedyś przemawiał wraz z Kirowem na pogrzebie jakiegoś działacza partyjnego. Józef Stalin zwrócił wtedy na niego uwagę.

— *Obok Kirowa występować trudno* — powiedział. — *A Chruszczow wystąpił dobrze.*

Nikita Chruszczow dalej mówi o Siergieju Kirowie:

— *Był to człowiek mądry, który wiedział co trzeba powiedzieć. Słuchałem go na zjeździe partii. Mówił bez kartki, z dobrze wypracowaną gestykulacją. Mikojan go dobrze znał. Opowiadał mi: „Na posiedzeniach (Biura Politycznego — R.B.) nie referował żadnej sprawy. Milczy. Nie wiem, co to znaczy".*

Więcej wie się dzisiaj o śmierci Siergieja Kirowa, a raczej związanych z nią zagadkach, niż o jego życiu. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Kostrikow, był Rosjaninem urodzonym w guberni wiackiej między Wołgą i Uralem. W wieku 18 lat wstąpił do SDPRR. Wielokrotnie aresztowały go i więziły władze carskie. Działał w Tomsku, Irkucku, Astrachaniu, Władykaukazie, Baku, tworzył Zakaukaską Federację Republik Radzieckich (Armenia, Gruzja, Azerbejdżan), bardzo lubiano go na Północnym Kaukazie. Położył duże zasługi dla rozwoju Leningradu. Był pod każdym względem lepszym kandydatem na sekretarza generalnego partii niż starszy o siedem lat, mniej dynamiczny, nieufny i mściwy Stalin.

Wersja zabójstwa Siergieja Kirowa, przekazana przez Chruszczowa, różni się niewiele od tej, którą podał Roj Miedwiediew. Jego zdaniem morderca mógł przeniknąć do Smolnego tylko z pomocą kogoś z kierownictwa leningradzkiego OGPU. Ktoś wskazał mu wejście, z którego korzystał Siergiej Kirow, ktoś powiedział, w której klatce schodowej trzeba się na niego zaczaić. Nikita Chruszczow potwierdza, że przedtem kilkakrotnie zatrzymywano Nikołajewa obok Smolnego, znajdowano przy nim pistolet i nie wiadomo na czyje polecenie wypuszczano. Jego zdaniem, ochrona Siergieja Kirowa nie była wtajemniczona w kulisy zamachu i działała sprawnie, dopóki ktoś mordercy nie dopomógł.

Komisja Nikołaja Szwernika ustaliła że Nikołajewa przesłuchiwał Józef Stalin. Nikita Chruszczow dodaje:

— *Podobno Nikołajew rzucił się (przed nim) na kolana i zaczął mówić, że uczynił to z ramienia i w imieniu partii.*

Już bez słowa „podobno" Nikita Chruszczow uzupełnia:

— *Przed rozmową ze Stalinem Nikołajew nie chciał odpowiedzieć na pytania oficerów śledczych. Żądał, aby przekazano go centralnemu kierownictwu OGPU. Twierdził, że nie jest winien, a dlaczego dokonał swego czynu wiedzą w Moskwie.*

Słowa Nikity Chruszczowa mają znacznie większą moc dowodową niż przytoczone przez Roja Miedwiediewa „materiały oraz domysły".

A oto jak na pytanie *„Kto polecił zamordować Siergieja Kirowa?"* odpowiada Nikita Chruszczow:

— *Bez wątpienia wykonał polecenie, ale czyje, powiedzieć mi trudno. Oczywiście, nie otrzymał go osobiście od Stalina. Był na to za mały, ale na polecenie Stalina ktoś go przygotował, o tym nie wątpię. Było to morderstwo, dokonane z rozkazu „góry". Uważam, że zorganizował je Jagoda na tajne polecenie Stalina, otrzymane w czasie rozmowy w cztery oczy.*

Nikita Chruszczow uważał, że w kulisy śmierci Siergieja Kirowa byli wtajemniczeni Klimient Woroszyłow i Wiaczesław Mołotow. Gdy dyktował swe pamiętniki, Klimient Woroszyłow już nie żył Wiaczesław Mołotow zmarł w 1986 roku w sędziwym wieku (96 lat). Nie puścił na ten temat pary z ust.

Komisja Nikołaja Szwernika nie przesłuchiwała Wiaczesława Mołotowa ani Klimienta Woroszyłowa.

— *Zarówno jeden jak i drugi z oburzeniem odrzuciliby pytania, bo gdyby powiedzieli, że coś wiedzą, musieliby przyznać swój współudział w spisku i morderstwie Kirowa. Nie byli na tyle głupi...*

Łazara Kaganowicza Chruszczow raczej wyklucza z kręgu podejrzanych. Gdy Kaganowicz powiadomił go o morderstwie Siergieja Kirowa, był wstrząśnięty, a może nawet wystraszony.

O Miedwiediu, szefie OGPU w Leningradzie, tym samym, którego na dworcu spoliczkował Józef Stalin, Nikita Chruszczow mówi, iż był bliskim przyjacielem Siergieja Kirowa. Chodził z nim na polowania. Przyjaźniły się ich rodziny. Miedwiedia zesłano na Północ, potem rozstrzelano Komisja Nikołaja Szwernika odszukała człowieka, który twierdził że pewna lekarka usłyszała od Miedwiedia przed jego śmiercią tajemnicę, którą prosił przekazać w przyszłości Komitetowi Centralnemu partii Ślad lekarki zaginął.

Śmierć Siergieja Kirowa stała się pretekstem do rozgromienia „ośrodka leningradzkiego" utworzonego rzekomo przez Grigorija Zinowiewa oraz związanego z nim ośrodka moskiewskiego", którym miał kierować Lew Kamieniew. Zaczęła się seria słynnych procesów moskiewskich W ten sposób Józef Stalin pozbył się Siergieja Kirowa, a zarazem ludzi, których poprzednio Kirow pomagał mu zwalczać metodami politycznymi. Siergiej Kirow był bowiem lojalny wobec Stalina aż do śmierci chociaż może zdawał sobie sprawę, w jakim kierunku prowadzi partię jej generalny sekretarz. O tym świadczyłoby jego milczenie na posiedzeniach Biura Politycznego, małomówność wobec Nikity Chruszczowa, który był wówczas jednym z „ludzi Stalina".

Wrzesień 1939 roku w Łodzi

Euforia i rozczarowanie

ADAM OCHOCKI

Tego wieczoru miałem dyżur w VIII komisariacie policji przy ul. Nawrot 62. I ten obowiązek obciążał moje wątłe barki — blokowego komendanta obrony przeciwlotniczej miasta Łodzi. Przed północą do komisariatu przybiegła młoda dziewczyna. Dygocąc na całym ciele, bełkotała nerwowo:

— *Mojemu panu coś odbiło... Zamyka się w pokoju i bez końca gada do pieca. Podglądałam go przez dziurkę od klucza... Zabierzcie go, panowie, do Kochanówki, jeszcze nam jaką krzywdę wyrządzi!*

Była to służąca piekarza Niemca z ulicy Głównej (Mickiewicza). Skierowano tam ekipę wywiadowców. „Zwariowany" okazał się szpiegiem niemieckim. Miał w mieszkaniu tajną radiostację, zainstalował ją w piecu i wieczorami nadawał komunikaty. Nazajutrz rano stali jego odbiorcy musieli udać się po bułeczki do konkurencji: piekarnię opieczętowano, a jej właściciela osadzono pod kluczem. O przebiegu tej operacji, jak i o innych podobnych wydarzeniach, poinformował mnie Zygmunt Brylak, aspirant policji z wydziału politycznego łódzkiej komendy PP.

W innej piekarni niemieckiej przy ul. Przędzalnianej policja znalazła w czasie rewizji kilkadziesiąt karabinów, a w mieszkaniach dwóch urzędników Deutsche Genossenschaftsbank in Polen A.G. (Bank Spółek Niemieckich, al. Kościuszki 47) wykryto arsenał materiałów wybuchowych.

W Łodzi mieszkało przed wojną około 70 tysięcy Niemców. Niewątpliwie wielu sympatyzowało z Hitlerem, świadczą o tym kroniki policyjne z owych czasów. Dopuszczano się aktów sabotażu, prowokacji. W Nowosolnej zamieszkali tam koloniści niemieccy ostrzelali z zasadzki naszych żołnierzy, a gdy oddziały Wehrmachtu wkraczały do miasta, w oknach mieszkań zajmowanych przez Niemców pojawiły się flagi ze swastyką.

Ale nie brak było wśród łódzkich Niemców patriotów polskich. Oto utrwalone w mej pamięci przykłady. Jeden z Eisertów, znanej niemieckiej rodziny przemysłowców, odmówił podpisania listy narodowej, zaproponowanej mu jako Reichsdeustchowi. Podobnie zachował się wydawca i redaktor Milker wychodzącej w Łodzi „Neue Lodzer Zeitung". Czuli się Polakami, tutaj się urodzili i wychowali. Nie ulega jednak wątpliwości, że hitlerowska piąta kolumna już na długo przed wybuchem wojny zapuściła macki w naszym mieście.

Na usługach wywiadu hitlerowskiego pozostawali nie tylko Niemcy. Bodaj w czerwcu 1939 roku w komendzie Policji Państwowej przy ulicy Kilińskiego 152 zameldował się przybysz z zagranicy.

— *Usuwam chore zęby i pieńki na poczekaniu* — oświadczył łamaną polszczyzną. — *Bez instrumentów i bez bólu. Kto z panów zechce skorzystać z mych usług?*

Policjanci, wiadomo, naród podejrzliwy. Popatrzyli nieufnie na dentystę. Ten wyciągnął plik listów pochwalnych i polecających, wśród nich odręczne pismo gen Kordiana Zamorskiego, komendanta głównego policji. Kilkunastu policjantów, w tym paru oficerów, poddało się zabiegom. Dentysta sprawnie wyciągał im gołymi palcami stoczone próchnicą siekacze, kły, zęby trzonowe i pieńki, włączając je do swej bogatej kolekcji.

Nazajutrz p. Canstanescu, tak się nazywał ów dentysta, Rumun z pochodzenia, popisał się swymi umiejętnościami w naszej redakcji. I u nas ludzie mieli chore zęby, ale odczuwali paniczny strach przed bormaszyną i szczypcami. Pierwszy na ochotnika zgłosił się Edmund Bartoszek, po nim Jan Sandmer i inni. Dentysta usuwał zęby w ten sposób, że lewą ręką uciskał w jakimś jemu wiadomym miejscu czoło pacjenta, palcami prawej zaś — dźgnął, wyłuskując chory ząb czy pieniek, jak ziarno grochu ze strąka. Tłumaczył nam, że przez ucisk czoła następuje znieczulenie nerwu biegnącego od zęba do mózgu, dzięki czemu pacjent nie odczuwa bólu.

Po kilku dniach „cudotwórca" opuścił Łódź. Udał się do Radomia, odwiedził tam fabrykę broni. Złożył jeszcze wizyty w różnych instytucjach państwowych w kilku miastach, po czym w glorii sławy, z wdzięcznością wspominany przez licznych pacjentów, wyjechał z Polski. Dopiero wtedy wyszło szydło z worka. Okazało się, że hojna natura obdarzyła pana Constanescu nie tylko zdolnościami manualnymi: miał on niebywale rozwinięty dar spostrzegawczości i fantastyczny słuch. Widział i słyszał to, czego zwykli śmiertelnicy widzieć ani słyszeć nie powinni Constanescu był szpiegiem na usługach wywiadu niemieckiego. Usuwanie zębów było tylko pretekstem, kluczem, otwierającym przed nim wszystkie drzwi, nawet te z wielką pieczęcią tajemnicy państwowej. Niestety, gdy to ustalono, „dentysta" znajdował się daleko poza granicami Polski, bogatszy nie tylko o pokaźną kolekcję usniętych bez bólu zębów, ale i mnóstwo ciekawych informacji.

W piątek 25 sierpnia prasa i radio podały entuzjastyczną wiadomość: Anglia zawarła z Polską pakt wojskowy! Redaktor Polak zadzwonił do mnie wczesnym rankiem:

— *Niech pan jedzie na róg alei Kościuszki i Zielonej. Odbędzie się tam mityng z okazji zawarcia paktu polsko angielskiego. Ściągnij pan Śpiewaka, ma zrobić kilka zdjęć. Czekam na materiał, porozmawiaj pan z ludźmi, to musi być napisane w podniosłym tonie!*

Ledwo przecisnąłem się przez ciżbę ludzką. Starzy, młodzi, kobiety, mężczyźni tłoczyli się głowa przy głowie, słuchając w skupieniu przemówienia.

— *Żaden wróg nam teraz nie straszny. Z boską pomocą i przy pomocy aliantów zwyciężymy. Niech tylko Hitler zacznie, a damy mu takiego łupnia, że na wieki popamięta!*

Orkiestra zagrała Mazurka Dąbrowskiego, spłakałem się jak bóbr. Pokrzepiony na duchu, bo już i do mego serca zaczął się wkradać niepokój, pobiegłem do redakcji i wytrzaskałem sprawozdanie jak się patrzy. Potem wszyscy poszliśmy kopać rowy przeciwlotnicze koło Dworca Fabrycznego. Dowcipkowaliśmy, było to dla nas coś nowego, atrakcyjnego.

— *Uważaj, jak trzymasz łopatę!* — strofował Jerzego Bolskiego któryś z kolegów. — *To nie pióro, trzeba się przyłożyć!*

Prezydent miasta, Jan Kwapiński, w przemówieniu radiowym podziękował łodzianom za ich pracę w kopaniu rowów, a wojewoda, Henryk Józefski, w gorących słowach zapewniał:

— *Wszyscy zdamy egzamin wobec Ojczyzny, na naszym pokoleniu ciąży obowiązek zwycięstwa!*

Redakcję opuściłem późnym wieczorem. Redaktor Władysław Polak czekał na materiał. W jego gabinecie zastałem Maurycego Ignacego Poznańskiego i redaktora Mariana Czesława Ołtaszewskiego. Chyba po raz pierwszy o tej porze spotkali się w redakcji wszyscy trzej wydawcy „Republiki" i „Expressu". Nawet nasz dozorca (Janicki? Janiszewski?) zwrócił na to uwagę.

Tablica informująca o zmianie nazwy miasta umieszczona na placu Wolności 11.IV.1940 r.

— Jak się wszystkie redaktory naradzają tak długo, to ani chybi coś się musi stać...

Ostatni dzień sierpnia zapowiadał piękną złotą jesień. Niezmącony błękit nieba wlał w me serce nową falę otuchy. Nic się nie stanie, nic się nie może stać. „*Silni, zwarci, gotowi*" — pokrzepiały hasła ze szpalt gazet, głośników radiowych i plakatów. Ulicami dziarsko maszerowały oddziały żołnierzy, owacyjnie witane przez ludność. Mając taką siłę nie damy się, strachy na Lachy, potrafimy się obronić. A ten układ z Anglią!

Wstrząs nastąpił nazajutrz, w ów pamiętny, tragiczny piątek. Rano przed pójściem do redakcji, jak zwykle, rzuciłem okiem na tytuły pierwszej strony „Republiki", którą jak wszyscy abonenci dostawałem do domu codziennie wczesnym rankiem. Depesze zawiadamiały o żądaniach Adolfa Hitlera, domagającego się Gdańska i plebiscytu na naszym Pomorzu, o terrorze hitlerowskim w okupowanej Słowacji, o prowokacji gliwickiej. Gdańska mu się zachciewa? Guzik dostanie, chociaż i tego nie. W głowę wbił mi się slogan: — *nie oddamy nawet guzika od rękawa!*

W redakcji od progu powiało grozą. Woźny, pan Franciszek Zdziechowski, nie uśmiechnął się jak zwykle na powitanie, miał poważną, skupioną twarz. W pokoju depeszowców krzątali się obaj naczelni Ołtaszewski i Polak, fakt bezprecedensowy w dziejach gazety.

Na moje „dzień dobry" nikt nie odpowiedział. Henryk Passierman nerwowo sunął piórem po papierze, kończąc tytuł czołówki: ODEZWA PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ. Spojrzałem przez ramię Ołtaszewskiego na depeszę PAT. Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego.

— *Wojna, panie Kiepura* — powiedział redaktor Polak — *Pierwsze bomby spadły na Polskę...*

Więc to już nie próby. Wojna! Strach omotał mnie jak pajęczyna.

Prześlizgnąłem się do zecerni. Dębowski, nasz najlepszy fachowiec, w pośpiechu składał na linotypie ostatnie doniesienia agencyjne. Katno, Toruń, Katowice, Kraków, Tomaszów Mazowiecki... Długa lista miast bombardowanych przez lotników niemieckich pierwszego dnia napaści na nasz kraj.

W ręcznej zecerni metrampaż (Feliks Pogonowicz? Józef Burski? Wacław Smulski?) sprawnie łamał kolumnę. Jak urzeczony, bez słowa, wpatrywałem się w wielkie czarne czcionki, które po raz pierwszy obwieściły prawdę. Ile to razy tymi samymi czcionkami składano tytuły moich „sensacji"...

— *Tu nie ma pan co do roboty* — redaktor Polak wyciągnął mnie na korytarz. — *Niech pan skoczy na Moniuszki 4a. Komisja rozproszenia przyjmuje tam zapisy tych, co chcą ewakuować się z miasta. Dzwonił naczelnik Wrona z województwa, prosił, żeby to wyeksponować w „Expressie".*

Na Moniuszki zastałem falujący tłum. Ludzie okupowali korytarz, schody lokalu i cały odcinek ulicy aż do Piotrkowskiej. Komisja działała już kilka dni, ale mało kto chciał się zdecydować na wyjazd w nieznane. Sytuacja zmieniła się dopiero w piątek w południe, kiedy ukazał się „Express' i „Echo". Poranne gazety nie podały wiadomości o wybuchu wojny, zamieściły ją dopiero nazajutrz. Obie popołudniówki z hiobową wieścią rozeszły się błyskawicznie i natychmiast zdesperowani ludzie przypuścili szturm do pomieszczeń przy ul. Stanisława Moniuszki. Ostatnim dniem zapisów była sobota, więc poza kilkoma godzinami piątku został tylko jeden dzień! Jak urzędnicy uporają się z załatwieniem wszystkich petentów?

Wróciłem do redakcji z duszą na ramieniu. To, co zobaczyłem na ulicy Moniuszki, pogrążyło mnie w czarnej rozpaczy. Po napisaniu relacji pobiegłem do Starostwa po instrukcje, nadal przecież pełniłem funkcję komendanta blokowego OPL. Nie było z kim rozmawiać. Kazano mi wracać do redakcji i czekać.

Redaktor Polak miotał się po pokojach. Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Co rusz, podbiegał z wypiekami na twarzy do teleskryptora, ale ten po nadaniu ostatnich depesz milczał jak zaklęty.

— *Napisz pan, jak się zachować w razie nalotu!* — wydał mi dyspozycję, widząc, że nie wiem, co z sobą zrobić.

Miałem mnóstwo materiału instruktażowego, więc szybko się uwinąłem. „*Wychodząc z domu, pamiętajcie o masce przeciwgazowej!*" — chyba taki tytuł dałem do mego elaboratu. Cenzura zdjęła artykuł, bo... masek nie było. W redakcji wszyscy zostali zaopatrzeni dzięki mojej przedsiębiorczości, ale półki sklepu Ligi Obrony Powietrznej Państwa przy ul. Piotrkowskiej 149 świeciły pustkami. Ludzie psioczyli, klęli w żywy kamień. Personel sklepu rozkładał ręce. „*Czekamy, lada moment powinni dowieźć*".

Kto chciał, mógł maskę zamówić w aptece, przedpłata wynosiła bodaj piętnaście złotych, ale zamówienie zamówieniem, kto wie kiedy maski dostarczą, a tu już się zaczęło!

Zatelefonowałem do żony, że nie przyjdę na obiad. Apetyt odszedł mnie zupełnie. Koledzy też zostali w redakcji. Tłoczyliśmy się koło teleskryptora, wystukującego co kilka minut najnowsze informacje.

Aanazajutrz, w sobotę o świcie zerwały mnie z łóżka odgłosy detonacji. Pierwsze bomby spadły na Łódź. Bombardowano Widzew, Dworzec Kaliski, Marysin, Julianów. Niemieccy lotnicy celowali w odlewnię Johna (dzisiejsze Zakłady Mechaniczne im. J. Strzelczyka). Pocisk spadł w pobliżu, rozwalił budynek mieszkalny na dzisiejszej ulicy Adama Mickiewicza, obok obecnego Domu Literata. Wacław Wagner, kierownik łódzkiego oddziału Polskiej Agencji Telegraficznej, jako pierwszy z nas stracił dach na głową.

Ulicami mknęły na sygnale karetki Pogotowia. Rannych zwożono początkowo do szpitala wojskowego na ul. Stefana Żeromskiego, a gdy zapełnił się ofiarami nalotów — do innych szpitali. Radio w przerwach między alarmami lotniczymi nadawało apele, wzywające lekarzy i służbę pomocniczą do niezwłocznego stawienia się w miejscach pracy.

W niedzielę spotkaliśmy się w redakcji w uszczuplonym gronie, w poniedziałek przyszło już tylko kilku kolegów. Wielu w popłochu wyjechało z Łodzi. Wszyscy trzej wydawcy zostawili wydawnictwo na łasce losu. Jak najdalej na wschód! Do Kowla, Białegostoku, do Lwowa! Pierwszy uciekł wraz z rodziną Jerzy Bolski. Miał się czego obawiać. Był autorem drukowanego w „Expressie" antyhitlerowskiego filmu rysunkowego „Heil, Piffke!". Zaszył się też gdzieś rysownik Stanisław Dobrzyński, autor ilustracji.

Przytomnością umysłu wykazał się Jan Grobelniak, wieloletni pracownik naszej giserni. Dodatkowo pełnił on u nas funkcję „sitzredaktora", czyli redaktora od siedzenia. Każda konfiskata gazety pociągała za sobą sprawę sądową, a że wydawcy nie mieli ochoty na odsiadki, wprowadzili instytucję „redaktora odpowiedzialnego", który za minimalną dopłatą do pensji stawał za nich przed obliczem Temidy. Grzywny płacili wydawcy, ale za kratki wędrował „odpowiedzialny". Pewnego razu wydarzyła się kapitalna historia. Gdy sędzia spytał Grobelniaka, jak mógł dopuścić do ukazania się w gazecie artykułu „godzącego", „podważającego" itp. — ten tłumaczył się, że nie może czytać tego, co jego koledzy piszą, bo w metalu wszystko wychodzi na odwrót - tekst biegnie z prawa w lewo — i na poparcie swych argumentów zademonstrował przyniesiony jako dowód rzeczowy kawał płyty z maszyny rotacyjnej.

Ten humorystyczny incydent przypomniał mi się w najmniej odpowiednim momencie, gdy targany złymi przeczuciami Jan Grobelniak wpadł do redakcji. Na podłodze walały się stosy kopert. Czytelnicy z całej Polski nadesłali odpowiedzi na ogłoszony przez „Express" konkurs na najdowcipniejszą karykaturę Adolfa Hitlera. Jedni przedstawili wodza III Rzeszy jako antychrysta, inni jako podpalacza świata z zapaloną pochodnią w ręku, jako spasionego wieprza. Jan Grobelniak spalił w lokalnym piecu centralnego ogrzewania wszystkie koperty, zawierające nie tylko nazwiska, ale i dokładne adresy nadawców. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby te karykatury wpadły w łapy gestapo. Redaktor odpowiedzialny „Expressu", który odsiadywał kary za wydawców, tym razem uratował tysiące rodzin przed czymś gorszym niż więzienie.

Ostatni numer „Republiki" wypuścił na miasto Mietek Jagoszewski. Żaden z depeszowców nie przyszedł do pracy. Miecio, który nie miał dotąd do czynienia z obróbką materiału i technicznymi sprawami, dał sobie doskonale radę; przy pomocy metrampaża i zecerów zredagował ów historyczny numer naszej porannej gazety.

Rozkojarzony, nie dbający o sprawy doczesne, nasz kochany, niezapomniany Jagosz, jeszcze raz owego dnia wykazał się przytomnością umysłu, ale że planu nie dopracował do końca, poniósł stratę i to poważną. Po nocy spędzonej w redakcji udał się do swego mieszkania przy ul. Piotrkowskiej 145, naładował słoik złotymi dwudziestodolarówkami i rublami, a miał ich sporo, bo zarabiał krocie i za namową przyjaciół dobrze lokował gotówkę, po czym podmiejskim tramwajem pojechał do lasu łućmierskiego. Tam odmierzył ileś kroków od upatrzonego drzewa i zakopał swój majątek. Zaraz po wojnie, wróciwszy z obozu hitlerowskiego, pośpieszył do owego lasu, by ekshumować skarb. Kopał, kopał, ale swego złota nie znalazł. Do dziś ziemia zazdrośnie je kryje.

Podobną historię przeżył dziesięcioletni chłopak. Uciekając z rodziną przed Niemcami, też zakopał swój skarb, odmierzając piętnaście kroków od jedynego w obejściu drzewa. Po powrocie do rodzinnej wsi nie mógł doszukać się zakopanej skrzynki z zabawkami, bo w ciągu tych sześciu lat wyrósł, jego krok się wydłużył. Jagoszowi nogi nie urosły, po prostu roztargniony Miecio zapomniał wówczas oznaczyć wybrane drzewo...

Wróćmy do redakcji „Expressu", w której rankiem piątego września, we wtorek, a może to była środa, trudno mi dziś ustalić jako że nie zachowały się gazety z owych dni — sam jeden znalazłem się w pomieszczeniu wydawnictwa. Obsługa techniczna, owszem, przyszła w komplecie — metrampaż, zecerzy maszynkowi i ręczni składacze, zabrakło tylko dziennikarzy.

Przez dziewięć długich lat skrycie marzyłem o samodzielnym zredagowaniu popołudniówki. Samemu dobrać materiał, samemu dać tytuły i złamać kolumny. I chwila ta nadeszła. Zostałem redaktorem całą gębą, mało — naczelnym, wodzem. Tylko że byłem dowódcą bez żołnierzy, nie miałem nawet komu dać depesz do zaadiustowania.

Zaterkotał teleskryptor. Nasze wojska zwycięsko odpierają ataki wroga. Oddziały sprzymierzeńców atakują z powietrza ufortyfikowane pozycje Niemców. Otucha znowu wstąpiła w serce. Więc może nie jest aż tak źle? Agresor, widząc naszą dzielną postawę, na pewno wycofa się...

Chwyciłem za pióro. Zredagowałem tytuły na pierwszą stronę. Linia Zygfryda przekroczona w siedmiu miejscach! Kapitan Bajan bombarduje Berlin! Nasze wojska przechodzą do kontrataków!

A Niemcy, nacierając z lądu, powietrza i morza, z trzech stron wdzierali się w głąb kraju...

■

Wideonotes

FILM TV WIDEO

Lubię Chomeiniego

Jest jednym z paradoksów naszych czasów, że równolegle ze spadkiem jednostkowej, głębokiej pobożności jak grzyby po deszczu rosną rozmaite sekty i umacniają swoją potęgę wielkie kościoły. Może zresztą nie jest to paradoks ale rezuła: zwykle przecież kiedy coś karleje od środka, rozbudowuje struktury zewnętrzne — jakby jakiś ogólny rachunek zawsze musiał się zgadzać.

Oprócz monumentalnej i skomplikowanej fasady jedną z najbardziej rzucających się w oczy cech oderwanych od autentycznego przeżycia struktur zewnętrznych jest ich nietolerancja. Pozornie wydaje się ona całkiem podobna do nietolerancji form młodych, w istocie jednak różni się od niej zasadniczo, tak jak wrażliwość różni się od drażliwości.

Dwa spektakularne przykłady takiej drażliwości nie zdążyły jeszcze na dobre ostygnąć; **„Szatańskie wersety"** i **„Ostatnie kuszenie Chrystusa"**. „Szatańskie wersety" na razie do nas nie dotarły, chociaż nawet, jeżeli w końcu zostaną przetłumaczone, pozostaną obce; mimo masowego wykupienia **„Koranu"** islam nie przyjął się u nas specjalnie. Inaczej z „Ostatnim kuszeniem Chrystusa" — krąży już — chociaż w fatalnej kopii — na kasetach, a w poruszanej w nim problematyce jesteśmy ekspertami. Na dodatek autor filmu, **Martin Scorsese**, należy do najciekawszych indywidualności współczesnego kina, nie ma więc obaw, że idzie tylko o skandal. Najwyższy więc czas zobaczyć jak sprawa wygląda naprawdę. Czy jest to kolejny wypadek **„Ostatniego tanga w Paryżu"**, kiedy to zasiadaliśmy przed telewizorami oczekując Bóg wie na co, a okazało się, że niepotrzebnie kazaliśmy dzieciom iść do łóżek?

W sensie fabularnym film Scorsese jest kolejną opowieścią o życiu **Chrystusa**. Oglądamy więc uleczenie ślepca, wskrzeszenie **Łazarza**, cudowne rozmnożenie chleba i wina, sąd **Piłata**, ukrzyżowanie itd. Odchylenia od wersji obowiązującej są tu raczej niewielkie, i nie tylko nie wywołują sprzeciwu, ale czasem wydają się nawet trafne i logiczne (np. jeśli chodzi o **Judasza**, który w filmie nie jest zdrajcą, ale niechętnym wykonawcą woli swojego Mistrza). Nie tu zatem tkwią korzenie afery. Należy ich szukać w warsztacie filmowym. Tak jest, to zastosowana przez Scorsese metoda realizacji jest bluźniercza!

Widać to już od samego początku. Bohater nosi wprawdzie imię **Jezus** i jego postępowanie zgodne jest na ogół z Pismem Świętym, bez wątpienia jednak nie jest Bogiem, tylko człowiekiem. Także świat, w którym się porusza, nie ma nic wspólnego ze znaną z ilustracyjnych filmów „biblijnych" nasyconą boskością, eteryczną sferą; jest normalny, zwykły, codzienny.

Scorsese pilnuje tego punktu widzenia z zadziwiającą konsekwencją, i właśnie jej skutki drażnią ortodoksów. I to nie tylko wtedy, kiedy **Maria Magdalena** pokazywana jest bez osłonek jako prostytutka, ale również wtedy gdy na ekranie prezentowane są cuda. Ten ostatni moment wywołuje nawet opór miłośników kina; no bo jakże to, cuda stwarzają przecież filmowcowi ogromne możliwości, a już szczególnie filmowcowi pokroju Scorsese, który nigdy nie stronił od „mocnych" efektów, a tu tymczasem mówi się o nich zdawkowo i trzeba wręcz uważać, żeby czegoś nie przegapić. Może poza cudem najważniejszym, tzn. wskrzeszeniem Łazarza — ten rozegrany jest filmowo całkiem przyzwoicie — i tu jednak, zamiast Boga wyraźnie mamy przed sobą człowieka, człowieka przerażonego tym co zrobił i przerażonego samym kontaktem ze śmiercią — tak jak każdy z nas.

To samoograniczenie Scorsese w pierwszym momencie przyjmowane jest niechętnie, dopiero po jakimś czasie można odkryć, że w tym szaleństwie jest metoda, i to metoda wiodąca do szlachetnego i ciągle aktualnego celu, a nadto wpisująca film w długą tradycję kładącego nacisk na człowieka nurtu chrześcijańskiej (tak jest) medytacji. „Ostatnie kuszenie Chrystusa" posuwa się zresztą w nim bodaj najdalej; tytuł filmu nie oznacza bowiem nic innego, tylko tęsknotę Boga za ludzkim życiem i ludzką śmiercią, a przecież zwykle to człowiek pożądał boskości i nieśmiertelności. Takie postawienie sprawy poraża jeszcze bardziej niż „rynkowe" ceny szynki, ale podobnie jak w tym ostatnim przypadku, nie wiadomo czy w nim właśnie nie kryją się większe możliwości rozwoju, większa nadzieja...

Nie przeszkadza to, że z punktu widzenia ortodoksji mamy tu do czynienia z jawną herezją, najbardziej zbliżoną do nestorianizmu. I aż dziw bierze, że Scorsese wywinął się z niej takim tanim kosztem. W V wieku **Nestoriusz** zapłacił za głoszenie czegoś podobnego klątwą, wygnaniem i przydomkiem „nowego Judasza".

Nie ma się jednak z czego cieszyć. Łagodne potraktowanie reżysera nie jest bowiem, niestety, zasługą jego sztuki, ani gorliwości jego zwolenników, ale po prostu kompletnej obojętności epoki, w której żyjemy na wszelkie kwestie duchowe. Nawet w ogłoszeniach matrymonialnych stawia się przede wszystkim na dom, samochód i wysokie dochody.

I dlatego właśnie lubię nieboszczyka Chomeiniego, który rzucając klątwę na autora „Szatańskich wersetów" i wydając na niego wyrok śmierci uczynił go wielkim herezjarchą; docenił sprawy ducha, a przy okazji napędził do kieszeni twórcy sporo gotówki.

Kulturalna cywilizacja zachodnia nie przysłużyła się zbytnio samej sobie traktując aferę z „Kuszeniem" marginesowo, co zaś do Scorsese to ukarała go w jeden możliwy dla niej sposób; ograniczyła dochody reżysera z rozpowszechniania...

RYSZARD NAKONIECZNY

OSTATNIE KUSZENIE CHRYSTUSA, reż. Martin Scorsese, scen. Paul Schrader według książki Nikosa Kazantzakisa, aktorzy: Willem Dafoe, Harvey Keitel, Paul Greco, Steven Schill, Verna Bloom, Barbara Hershey.

PRZEDSIĘBIORSTWO USŁUGOWO-HANDLOWE „LIDER" w Gdańsku

OFERUJE

jednostkom gospodarki uspołecznionej

wiaty magazynowe
szafy bhp
grzejniki Faviera
regały magazynowe
kraty pomostowe

Zamówienia, w godz. od 8 do 14, przyjmuje Biuro Handlowe PUH „LIDER", w Gdańsku, ul. Wały Piastowskie 1, tel. 374-636, tlx 0512474 do 76.

5847/K

„Odgłosy" proponują:

Film:

Proponujemy obejrzenie kolejnego filmu **Krzysztofa Zanussiego pt. „Gdzieśkolwiek jest, jeśliś jest..."**. Powstały w koprodukcji polsko-zachodnioniemieckiej film został w ub.r. wyróżniony na festiwalu w Gdańsku. Rozgrywa się w środowisku kosmopolitycznych dyplomatów i przemysłowców w przededniu wybuchu II wojny światowej w Polsce i opowiada historię małżeństwa, w którym żona cierpi na zaburzenia psychiczne. W tym filmie niekwestionowaną gwiazdą jest **Julien Sands**, aktor znany z **„Pokoju z widokiem"** oraz **Tadeusz Bradecki, Andrzej Łapicki i Maja Komorowska.**

TV:

„HISTORIA ASJI..." to film, który przez 25 lat leżał na półkach i teraz dopiero doczekał się prezentacji przysparzając reżyserowi **Adriejowi Michałkowowi-Konczałowskiemu** (mieszkającemu od kilku lat na Zachodzie) wiele splendoru. Bo też ta opowieść o codziennym, szarym i żmudnym życiu mieszkańców jednego z radzieckich kołchozów, w którą wplecione są liryczno-dramatyczne losy Asji Klaczinej, nie straciła nic ze swego wstrząsającego wyrazu. **(Czwartek, 14 września, godz. 21.45 — TV 2).**

FILMY PAULA COXA — jednego z najwybitniejszych twórców kina australijskiego — to kolejny zestaw obrazów który prezentuje „Dwójka" w piątkowym kinie. 49-letni dziś Cox urodził się w Holandii i w wieku 25 lat osiedlił w Australii. Tu ukończył uniwersytet, tu został znanym fotoreporterem, tu napisał głośne książki i zrealizował szereg interesujących filmów. Cztery z nich zobaczymy na naszych ekranach — **„KOSTAS", „SAMOTNE SERCA", „MOJA PIERWSZA ŻONA"** oraz **„KAKTUS"**. „Emigrant z Holandii zrealizował film o emigrancie z Grecji, dziennikarzu, który musiał uciekać z kraju w obawie przed represjami junty wojskowej. Kostas podejmuje pracę jako taksówkarz. Pewnego dnia poznaje Carol, młodą rozwódkę, która sama wychowuje córkę. Między Carol i Kostasem zaczyna rodzić się uczucie, lecz on cały czas czuje się obco w towarzystwie jej przyjaciół...". Sytuacyjne niuanse psychologiczne i umiejętności w kreśleniu postaci bohaterów — to wielki atut filmów Paula Coxa, którego prezentację dorobku inauguruje **„KOSTAS". (Piątek, 15 września, godz. 22.20, TV 2).**

„SERPICO" to film **Sidneya Lumeta.** Tytuł pochodzi od autentycznej postaci głównego bohatera — Franka Serpico, który 11 lat służył uczciwie w policji nowojorskiej. Pewnego dnia postanowił zdemaskować i ujawnić powiązania swoich szefów z gangsterskim podziemiem. Jest to więc film demaskujący stosunki i korupcję w środowisku nowojorskiej policji. Wielką kreację stworzył w tym filmie **Al Pacino**, znany ze swoich równie wielkich ról w takich filmach jak **„Narkomani", „Strach na wróble", „Ojciec chrzestny", „Ojciec chrzestny II"** i innych. Reżyser potraktował temat na sposób nieomal dokumentalny, zaś „autor zdjęć — **Arthur J. Ornitz**, wyszedłszy z kamerą na ulice Nowego Jorku, nakręcił je w 107 różnych miejscach, penetrując zakazane rejony, przedmieścia, slumsy i nocne lokale" **(Sobota, 16 września, godz. 20.05 TV 1).**

ELEKTROWNIA BEŁCHATÓW z siedzibą w ROGOWCU

Przyjmie do pracy w zawodach:

- INŻYNIER (TECHNIK) — konstruktor oprzyrządowania technologicznego produkcji warsztatowej,
- INŻYNIER (TECHNIK) — technolog obróbki skrawaniem,
- INŻYNIER (TECHNIK) — ds. technologicznych i normowania pracy

oraz

- ENERGETYKÓW z wykształceniem średnim lub zasadniczym do pracy w systemie 4-brygadowym,
- MURARZY KOTŁOWYCH,
- MONTERÓW IZOLACJI TERMICZNEJ,
- SZKLARZY
- MONTERÓW SPAWACZY,
- ABSOLWENTÓW SZKÓŁ ZAWODOWYCH i ŚREDNICH o kierunku łączności lub elektronika.

Przedsiębiorstwo zapewnia:

- konkurencyjne płace wg zakładowego systemu wynagrodzeń,
- dodatek bełchatowski,
- zniżkę w opłatach za energię elektryczną i szeroki wachlarz świadczeń socjalnych.

Informacji udziela **Dział Kadr Elektrowni — tel. 515-61 lub na miejscu.** Dojazd z Bełchatowa autobusem spod Hotelu „Energetyk", godz.: 8.57, 10.57, 12.07, 13.18.

5418/K

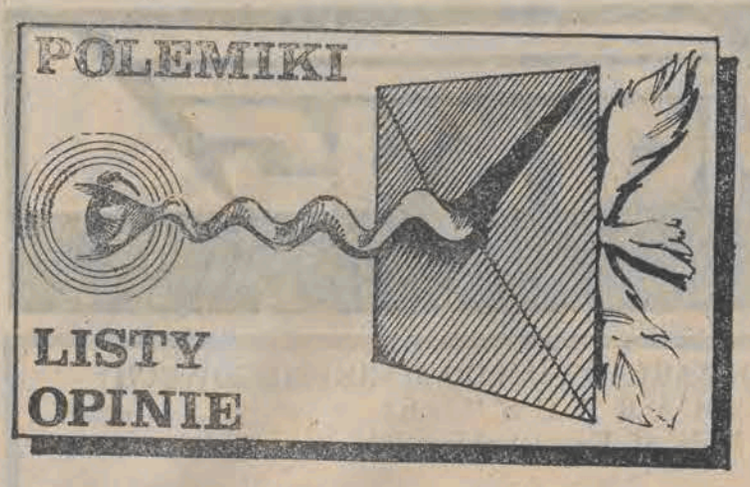

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zaintresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

SPÓR O SZCZEGÓŁY DOTYCZĄCE LOTNICTWA POLSKIEGO

Artykuł L. Wlodkowskiego „Równi orłom" poświęcony lotnictwu Armii „Łódź" zawiera szereg drobnych błędów merytorycznych, suma których wypacza historię naszego lotnictwa.

1) Samolot P-24 został wymieniony jako konstrukcja nowa, dopiero wchodząca do produkcji. W rzeczywistości produkcji P-24 zaprzestano w roku 1938, po zbudowaniu wyłącznie na eksport 96 sztuk. Rozważano jedynie możliwość wznowienia produkcji na potrzeby krajowe. Samolot ten był wyposażony w silnik francuski, podczas gdy lotnictwo domagało się samolotów z silnikami produkcji krajowej. Samolot ten od P-11 był nieznacznie szybszy, miał jednak słabsze wznoszenie i gorszą zwrotność. P-11g „Kobuz" nie był konstrukcja nową, lecz wersją P-11c z silnikiem od „Jastrzębia", do którego to typu silnik ten miał zbyt małą moc.

2) Dane dotyczące produkcji pokojowej i wojennej wyglądają dość dziwnie. Skoro produkcja „Łosi" wynosiła w warunkach pokojowych na jednej zmianie 10—12 sztuk miesięcznie, to w warunkach wojennych musiała być około trzykrotnie większa. Zresztą produkcję „Łosi" kończono w Warszawie, a w Mielcu miała być kontynuowana głównie na eksport. Wznowienia produkcji P-11c nie przewidywano, produkcja P-11g w wytwórni PWS miała w warunkach pokojowych wynosić jeden samolot dziennie. Podobna była produkcja tego typu w PZL, czyli około 25 sztuk miesięcznie, a nie 40. Produkcję „Czapli" zakończono na początku 1939 r. i nie zamierzano kontynuować. Samolot „Mewa" był konstrukcją LWS a nie RWD, produkcja miała wynosić około 25 sztuk miesięcznie w warunkach pokojowych. Stwierdzenie, że nowe typy były sprzedawane do innych państw, nim weszły do wyposażenia lotnictwa polskiego jest bzdurą wymyśloną w czasach stalinowskich, a powtarzaną bez zastanowienia przez autora. Taką tezę trzeba podeprzeć faktami.

3) Po 9 samolotów miały eskadry bombowe wyposażone w „Łosie", eskadry „Karasi" liczyły po 10 samolotów. Eskadry rozpoznawcze liczyły 8—10 „Karasi". Lotnictwo myśliwskie posiadało łącznie 115 samolotów typu P-11c, 15 P-11a (o tym typie autor nie wspomina) i 30 P-7a, razem 160 a nie 159.

4) W Wielkiej Brytanii zakupiono 12 a nie 15 samolotów myśliwskich. Brak informacji o zakupie we Francji 160 samolotów myśliwskich MS-406.

5) Siedzibą Morskiego Dywizjonu Lotniczego (tak to się pisało) był Puck a nie Gdynia.

6) Błędnie została podana ocena sił niemieckich. Podana ilość samolotów niemieckich jest za mała. Bez lotnictwa morskiego siły 1 i 4 Floty liczyły 949 samolotów bombowych dwusilnikowych, 366 bombowców nurkujących, 40 samolotów szturmowych, 514 myśliwców jednosilnikowych, 65 myśliwców dwusilnikowych, 174 samoloty rozpoznawcze dalekiego zasięgu i 219 rozpoznawczych bliskiego zasięgu. Razem 2327, czyli około 300 więcej niż podaje autor. Obie floty dysponowały 1355 bombowcami, a nie 1176 bombowcami. Luftwaffe posiadała w tym czasie 1923 samoloty bombowe, 76 procent przy tej liczbie daje 1461 samolotów, a nie 1176

Z 3 Floty Powietrznej brał udział nie cały 53 Pułk Bombowy (a nie lotniczy), lecz tylko I Dywizjon tego pułku — I/KG 53 i to od 1.09. a nie od 10.09. Z 55 Pułku Bombowego brały udział w działaniach dwa dywizjony i eskadra sztabowa i od 3.09. do 20.09. a nie od 10.09. W działaniach wzięły też udział dwie eskadry z KG54 i pojedyncze załogi z KG51 oraz używane sporadycznie w roli bombowców samoloty transportowe Ju52. Stosunek liczby myśliwców wynosił pozornie 3,6:1, ale po uuwzlednieniu sił użytych bezpośrednio w walce tylko 1,66:1 (267:160).

7) Lotnictwo polskie praktycznie dysponowało trzema, a nie dwoma typami samolotów myśliwskich. Prototyp P-7 powstał w 1930 r. a nie w 1931 r., produkcja seryjna została rozpoczęta w 1932 r. P-11a powstał w 1931 r., produkcję rozpoczęto w 1934 r. P-11c powstał w 1934 r., a nie w 1935 r., produkowany był od końca 1934 r.

Prędkość maksymalna P7- wynosiła 327 km/h, a nie 290 km/h, zasięg wynosił 600 a nie 500 km, pułap 8500 m a nie 10000 m. Uzbrojenie miało kaliber 7,9 mm, a nie 7,7 mm. Prędkość maksymalna P-11c wynosiła 375 km/h (lub 360 km/h dla pierwszej serii), pułap 8000 m a nie 11000 m, zasięg 550 km a nie 650 km. Uzbrojenie faktycznie składało się z 2 a nie 4 karabinów.

Hs-123 był samolotem szturmowym a nie obserwacyjnym. Żaden samolot tego typu nie został zestrzelony przez polskie myśliwce.

Prędkości maksymalne bombowców niemieckich z wyjątkiem Do17Z są zbyt duże. Do17P to samolot rozpoznawczy, wersja samolotu Do17M o prędkości maksymalnej 365 km/h. He111 osiągał prędkość maksymalną około 370—380 km/h, a Ju86 około 360 370 km/h (użyto wersji G a nie E). Myśliwce niemieckie osiągały prędkości od 465 do 570 km/h. Bf109D (tak prawidłowo pisze się oznaczenie typu) osiągał 499 km/h a nie 520 km/h i był uzbrojony w 4 kaemy a nie 2 kaemy i działko. Wersja B osiągnęła prędkość maksymalną 465 km/h i była uzbrojona w 2 kaemy. Wersja C osiągała r max. 470/h i była uzbrojona w 4 kaemy. Natomiast Bf110C był szybszy, 533 km/h a nie 510 km/h, zasięg był nieco większy — 1400 a nie 1300 km. Pułap 10000 m osiągały tylko Bf109E-1 i Bf110C-1, pozostałe osiągały ok 8000 m.

8) 161 Eskadra posiadała 8 samolotów P-11c i 2 P-11a a nie 12 P 11c. 2 samoloty P 11c należały do dowódcy dywizjonu i oficera taktyczno operacyjnego. Na samolocie dowódcy latał pilot 162 Eskadry ppor. Czesław Główczyński.

9) Twierdzenie o nowoczesności P-11c, w porównaniu z innymi typami, w połowie lat trzydziestych nie ma sensu. Wtedy nowoczesny był taki „Karaś" (jeszcze nie produkowany seryjnie) a „Czapla" dopiero powstawała. Jedynie R-XIII już wtedy był przestarzały, natomiast RWD-8 był doskonałym samolotem szkolnym.

10) 161 Eskadra miała swoje godło. Był nim gronostaj z różowymi skrzydłami (w 162 Esk. z niebieskimi). Indyk był godłem jednego z pułkowników Jana Dzwonka.

Ze składu pilotów wypadli Prymus Grygołowicz, (w książce Jerzego Pawlaka nazwisko podano z błędem) i Marian Domagała oraz imię Franciszek plutonowego Prętkiewicza.

Skoro podano nazwiska pilotów 161 Eskadry, to dlaczego 162 Eskadra tego zaszczytu nie dostąpiła?

KRZYSZTOF CIEŚLAK

Zanim sformułuje się jakiekolwiek oskarżenie należy dokładnie zapoznać się z faktami, bowiem wprawdzie od wybuchu wojny w 1939 roku minęło zaledwie 50 lat, ale dzieje tej wojny, warunków w jakich do niej doszło i sił, które brały w niej udział nie są dokładnie i do końca wyjaśnione. Dopiero teraz zaczęliśmy to czynić. Przyczyny takiego stanu rzeczy są ogólnie znane. Przejdźmy zatem do szczegółów, które w sumie „wypaczają historię naszego lotnictwa". Sytuacja natomiast jest taka, że w różnych opracowaniach podaje się różne dane i w zależności od tego, kto z jakich opracowań korzysta, takimi danymi się posługuje.

Krzysztof Cieślak pisze, że „P-11g „Kobuz" nie był konstrukcją nową lecz wersją P-11c". **Być może użyłem nieprecyzyjnego sformułowania, uważając, że nawet udoskonalona wersja wymaga prac konstrukcyjnych. Faktem natomiast pozostaje, że było to rozwiązanie przygotowywane do produkcji. Jerzy Pawlak w książce „Polskie eskadry w Wojnie Obronnej 1939" pisze:** „Jesienią 1939 roku miały wejść do seryjnej produkcji, a następnie do eskadr oblatane w II połowie sierpnia 1939 roku prototypy samolotów PZL P-11g „Kobuz" i PZL P-50 „Jastrząb". Niestety, zabrakło czasu...". **Skoro mowa o prototypie, to można go uznać za nową konstrukcję.** Ale — powtarzam — być może wyraziłem się nieprecyzyjnie.

Podając dane, dotyczące produkcji samolotów w Polsce w 1939 roku w warunkach pokojowych i wojennych nie pisałem o wielkości produkcji „na jednej zmianie". **Dane te zaczerpnąłem z monograficznego opracowania „Wojna obronna Polski w 1939" wydanego przez MON w 1979 roku, gdzie w rozdziale drugim pisze o polskich możliwościach zbrojeniowych Piotr Stawecki.**

I tak. **Podaje on, że zakładano, iż produkcja P-50 „Jastrząb" lub P-11c w warunkach pokojowych wynosząca 40 samolotów w warunkach wojennych — w szóstym miesiącu wojny — powinna wynieść 72 samoloty. Z tym, że na wypadek wojny jako samolot przewidziany do mobilizacji uznano P-50 „Jastrząb". Podając wielkości produkcji pokojowej i wojennej chciałem pokazać możliwości polskiego przemysłu lotniczego. Nic więcej. W publicystyce dozwolone są pewne skróty myślowe. Monografii polskiego lotnictwa z 1939 roku nie pisałem.**

Nie mogę zgodzić się z zarzutem, że powtarzam bezmyślnie „bzdurę wymyśloną w czasach stalinowskich". **Ma to dotyczyć mojego twierdzenia, że** „nowe typy samolotów nim weszły na uzbrojenie polskiego lotnictwa, zostały już sprzedane za granicę". **Mój polemista, w zapale wytykania mi błędów, zagalopował się tak dalece, że sam napisał wcześniej:** „W rzeczywistości produkcji P-24 zaprzestano w roku 1938, po zbudowaniu wyłącznie na eksport 96 sztuk".

Znana jest historia P-46 „Sum", który znajdował się na lotnisku w Bukareszcie, skąd został porwany przez Polaków. Samolotem tym wylądował w walczącej Warszawie łącznik marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego z rozkazami do walki podziemnej. Samolot wystartował z okrążonej Warszawy i odleciał na obczyznę. W polskim lotnictwie takich samolotów nie było. „Encyklopedia II wojny światowej" wydana przez MON w 1975 — zapewne niedoskonała i pełna luk — podaje w zestawie stanu posiadania polskiego lotnictwa we wrześniu 1939 roku trzy takie samoloty wyprodukowane w 1939 roku. Skąd więc taki samolot znalazł się w Bukareszcie, jeśli nie został wcześniej sprzedany Rumunom przez spółkę „Sepewe", tę samą, która sprzedała za granicę 96 samolotów P-24?

LWS 3 „Mewa" był istotnie samolotem Lubelskiej Wytwórni Samolotów — moja pomyłka — jego docelowa produkcja miała wynosić 25 samolotów miesięcznie, aliści Piotr Stawecki podaje, że produkowano tych samolotów 14 miesięcznie. W zestawie stanu posiadania polskiego lotnictwa we wrześniu 1939 roku w „Encyklonedii II wojny światowej" figuruje liczba 17. Ale udział w wojnie — według tego samego źródła — wzięły tylko 2 samoloty.

Czesław Krzemiński w książce „Wojna powietrzna" w Europie 1939—1945" podaje, że w Wielkiej Brytanii kupiono 15 samolotów. Zresztą spór o to, ile gdzie kupiono samolotów nie ma większego sensu, skoro samoloty te nie walczyły w Polsce, bo do Polski do 1 września 1939 roku nie dotarły. Ten autor podaje również stan posiadania 1 i 4 Floty Powietrznej Luftwaffe: „Łącznie obie te floty i organiczne lotnictwo rozpoznawcze wojsk lądowych dysponowały 2093 samolotami, w tym 1176 bombowcami, co stanowiło 76 procent ogółu lotnictwa bombowego Luftwaffe". **Ten sam autor pisze we wspomnianej książce:** „już po 10 września skierowane zostały do działań między innymi 53 i 55 pułk bombowy z 3 floty powietrznej". **Książka Czesława Krzemińskiego ukazała się nakładem MON w 1989 roku. Są to więc — można sądzić — dane najświeższe, to znaczy najbardziej aktualne, najbardziej sprawdzone.**

Czesław Krzemiński we wspomnianej książce podaje, że samolot myśliwski P-7 miał prędkość maksymalną 290 km na godzinę, pułap 10 km i zasięg 500 km. Natomiast Jerzy Pawlak w książce „Polskie eskadry w Wojnie Obronnej 1939" podaje dla tego samego samolotu inne dane: prędkość maksymalna 327 km na godzinę, zasięg 600 km i pułap 8,5 km. „Encyklopedia II wojny światowej" dla P-7 podaje takie same dane, jakie podał Czesław Krzemiński. W obu tych książkach podaje się, że samolot ten uzbrojony był w 2 karabiny maszynowe kalibru 7,7 mm. Co więcej, „Encyklopedia II wojny światowej" podaje, że taki kaliber posiadały karabiny maszynowe większości polskich samolotów z wyjątkiem samolotu liniowego Potez XXV, który miał 3 km kalibru 7,9 mm. Zestawienia „Encyklopedii II wojny światowej" nie budzą wątpliwości, są dokładne. Według tych zestawień wynika, że taki sam kaliber km stosowany był na przykład w samolotach japońskich „Aichi D3A2", „Jokosuka D4Y3" i innych, w samolotach włoskich „Macchi MC-200", „Reggione Re-2001 Falco II" i innych.

Jerzy Pawlak we wspomnianej książce podaje dla P-11c takie dane: prędkość maksymalna 375 km na godzinę, pułap 8040 metrów, zasięg — 600 km. Dodaje, że dotyczy to samolotów wyprodukowanych w 1934 roku. Czesław Krzemiński i „Encyklopedia II wojny światowej" dane, jakie podałem we wspomnianym artykule: prędkość maksymalna 390 km na godzinę, pułap 8 km (Czesław Krzemiński — 11 km), zasięg 550 km (Czesław Krzemiński — 650 km). Samolot ten mógł unieść 4 razy po 12,5 kg bomb.

To samo dotyczy danych odnoszących się do samolotów Luftwaffe. Są one różne u różnych autorów. Aby nie przedłużać podaję, że dane te zaczerpnąłem z książki Czesława Krzemińskiego. Henschel Hs123 istotnie był samolotem szturmowym. Zagalopowałem się zatem. Ale tylko dlatego, że wspomniany już wielekroć Czesław Krzemiński na stronie 31, w tabeli 3 wymienia Hs123A jako samolot, który był używany przeciwko Polsce w 1939 roku. Natomiast „Encyklopedia II wojny światowej" wymienia go w spisie samolotów szturmowych Luftwaffe, ale jako samolot używany w latach 1942—1945. W spisie samolotów zestrzelonych przez polskie myśliwce we wrześniu 1939 roku Hs123 nie figuruje. Częstą ofiarą polskich myśliwców padał natomiast Hs126. Na 147 strąconych — jak wynika z danych przedstawionych przez Jerzego Pawlaka — było 15 Hs126.

Można byłoby się dalej spierać o szczegóły. Są one niewątpliwie istotne, ale skoro różni autorzy podają je różnie, to widać nie mamy dobrze i dokładnie opracowanej historii polskiego lotnictwa sprzed drugiej wojny światowej. Książkę taką wprawdzie napisał A. Kurowski „Lotnictwo polskie w 1939 roku", ale ukazała się ona w 1962 roku i być może trzeba byłoby ją, dziś wydając ponownie, uzupełnić o szereg nowych szczegółów. W każdym razie byłoby dobrze, aby taka monografia powstała. Byłoby niewątpliwie mniej sporów o szczegóły, w których to sporach nie do końca wiadomo, jaka była prawda, bo każdy korzystał z innych źródeł i opracowań.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZY MAMY DOBRYCH DYREKTORÓW?

Musi cieszyć, że jeszcze jeden temat tabu został w Polsce obalony i można krytykować nietykalną dotychczas warstwę społeczno-zawodową, jaką stanowiła sławetna „nomenklatura". Wielu zawodom udało się w Polsce ujść kontroli społecznej, zaciągnąć szczelną zasłonę tajemnicy i realizować tylko swoje, egoistyczne interesy, nie licząc się z celami, do jakich zostały powołane. Sporego rozsunięcia zasłon i przewietrzenia wymagają takie instytucje jak szeroko rozumiany wymiar sprawiedliwości, służba zdrowia, etatowa kadra dyrektorów, prezesów itp.

Wracając do dyrektorów, była i jest to najbardziej wpływowa warstwa. W czerwcowym „Życiu Gospodarczym" w wywiadzie z byłym premierem Z. Messnerem, ten tłumaczy dokonanie wielu niefortunnych posunięć swego rządu pod naciskiem dyrektorów.

Ostatnio w TV jeden z dyrektorów oświadczył buńczucznie: „że rząd musi się nas słuchać, bo to przecież my wytwarzamy dochód narodowy". Nareszcie dowiedzieliśmy się z kompetentnych źródeł, jak i kto tworzy dochód narodowy.

Głosi się niekiedy, że kadra dyrektorska to najlepsi z najlepszych. To dlaczego w zestawieniu z realiami pojawia się głupota, arogancja, pyszałkowatość, arystokratyczno-pańskie zachowania. Czy rzeczywiście dyrektorem musi być „najlepszy z najlepszych" — jak to propaganda głosi? Czy dyrektorem instytutu naukowego musi być najlepszy naukowiec, dyrektorem szpitala najlepszy chirurg, a dyrektorem biura projektowego najlepszy konstruktor czy architekt? Myślę, że nie. Do pracy administracyjnej, bo taka w przeważającej mierze jest praca dyrektorska, wystarczy pewien zasób wiedzy o ludziach, organizacji pracy i ekonomii. Ponieważ o płacach w Polsce nie decydują wyniki pracy, lecz zupełnie inne i w dodatku niejasne kryteria, stąd przeświadczenie, że dyrektor, czyli specjalista od podziału, musi mieć wysoką pozycję. Najsmutniejsze, że niektórzy z tego grona w to uwierzyli.

Dyrektorami zostają przeważnie ludzie, którzy mają trudności w wykonywaniu zawodu, a przy tym pewne skłonności do administrowania i dyrygowania plus układy i nie ma to nic wspólnego z głoszoną oficjalnie tezą. Teza ta ma tylko i wyłącznie uzasadnić przywileje, w tym materialne. Absurdem jest, że w biurach projektowych, czy instytucjach naukowych najwyższe zarobki osiągają nie jednostki najbardziej twórcze i wydajne, lecz dyrekcyjna „czapa" z głównym księgowym.

Żeby nie być posądzonym o stronniczość przy ocenie kadry kierowniczej najlepiej powołać się na autorytety zagraniczne tj. na wywiad prof. Z. Brzezińskiego dla agencji MTI (Życie Warszawy nr 147): *„W obu krajach* (tj. Polska i Węgry) *jest dobrze przygotowana i wykształcona klasa robotnicza, poważny potencjał gospodarczy. Bardzo niski jest jednak poziom umiejętności w dziedzinie zarządzania".*

Nic dodać, nic ująć.

ZBIGNIEW NOWAK

CZY TYLKO BIGOS HULTAJSKI?

W księgarniach pojawiła się książka Andrzeja Kempy „Bigos Hultajski". Jak sam autor pisze we wstępie, w książce tej zawarte są anegdoty, które w latach 1983—1987 ukazywały się na łamach „Odgłosów". Rozumiem, że zostały one zebrane w całość i wydane przez łódzki oddział KAW. Czy jest to jedyna książka, która powstała z rzeczy publikowanych w „Odgłosach"?

KAZIMIERZ P. KUTNIEWICZ

Nie. Nie jedyna to książka. **Andrzej Makowiecki** napisał już dwie książki na zamówienie redakcji, które poprzednio były drukowane w odcinkach: „Rapier Napoleona" i „Pięćdziesiąt melonów". Ta druga niebawem ukaże się w książkowym wydaniu. Na zamówienie „Odgłosów" **Andrzej Brycht** napisał „Azyl polityczny" część I i część II. Część I ukazała się już w wydaniu książkowym nakładem łódzkiego oddziału KAW. Druga część ukaże się w niedługim czasie. Część III **Andrzej Brycht** dopiero pisze. Całość maszynopisu przedstawi „Odgłosom" i wszystko wskazuje, że będzie drukowana w odcinkach.

W odcinkach na łamach „Odgłosów" swoją książkę drukował **Adam Ochocki** — „Raz, dwa wzięli...". Drukował też drugą część „Reportera przed konfesjonałem". Z tekstów drukowanych na łamach „Odgłosów" powstała książka **Zenona J. Michalskiego** o Józefie Piłsudskim oraz trzy książki popularnonaukowe **Edmunda Lewandowskiego.**

Jak się dowiadujemy — ze źródeł dobrze poinformowanych **— Mirosława Sarbińska** otrzymała dwie propozycje wydania w książce swoich tekstów drukowanych w „Odgłosach". Wydawnictwa, które złożyły tę ofertę, niech pozostaną na razie w tajemnicy. Na zamówienie „Odgłosów" wspomnienia pisze **Tadeusz Chróścielewski.** Złożą się one niewątpliwie na książkę, a u nas będą ukazywały się od czasu do czasu. W przygotowaniu są już kolejne odcinki.

To by było na tyle. Może coś pominęliśmy, o czymś zapomnieliśmy. To na wszelki przypadek przepraszamy.

REDAKTOR DYŻURNY

GOTOWI DO BIEGU PO NAGRODY!

Dramaturdzy, którzy **do 15 kwietnia 1990 roku** nadeślą maszynopis sztuki teatralnej o dowolnej tematyce i dowolnej formie pod adresem: **Biuro Organizacyjne Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych, ul. Gabrieli Zapolskiej, 50—032 WROCŁAW.** Tekst sztuki musi być oznaczony godłem i w kopercie z takim samym godłem dane autora. Sztuka nie może być przed konkursem grana lub publikowana nawet we fragmentach.

Uwaga! I nagroda 1 000 000 złotych. Może ona być powiększona — inflacja. Suma pozostałych dwóch: 1 400 000 zł.

REDAKCJA — CZYTELNICY

WIKTOR B. Łódź. Sformułował Pan kilka pytań, ale niestety nie wszystkie pod naszym adresem. Może najpierw te pytania:

1. Gdzie podziały się „Odgłosy"? Dlaczego są trudności z ich kupnem?
2. Dlaczego w śródmieściu są pozamykane kioski RUCH?
3. Gdzie podział się kiosk z ul. Piotrkowskiej, w którym sprzedawano „starą" prasę?
4. Gdzie kupić brakujące numery „Odgłosów"?
5. Czy redakcje łódzkich gazet i czasopism nie mogłyby otworzyć własnego salonu prasy, w którym można byłoby kupić wszystko, co wydaje Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch"?

Odpowiadamy.

1. W związku z trudnościami z papierem zmniejszone zostały nakłady pism, choć nie wszystkich. W każdym razie dotknęło to „Odgłosy". I tak nakład, który jeszcze w lipcu wynosił 60 000 — 55 000 został zmniejszony do 40 000 egzemplarzy. Ostatnio został podniesiony do 45 000 egzemplarzy. Mamy nadzieję, że powoli, wraz z nastaniem jesieni, będziemy nakład ten zwiększali. Decyzje zapadły poza redakcją.

2. Prosimy zwrócić się do dyrekcji PUPiK RUCH, która mieści się w Łodzi przy ul. Mikołaja Kopernika.

3. Odpowiedź jak na pytanie nr 2.

4. Wiele osób zwraca się do nas z podobnym pytaniem, lub wręcz domaga się, aby im wysyłać brakujące egzemplarze za zaliczeniem pocztowym. Otóż my — po pierwsze — posiadamy wyjątkowo małą liczbę gratisów i musimy parę egzemplarzy na różne okazje mieć w archiwum. Po drugie — **nie zajmujemy się sprzedażą gazet.** Od tego jest właśnie RUCH. PUPiK RUCH zabiera z Prasowych Zakładów Graficznych cały nakład pisma i powinien go sprzedać. Krążą nie udowodnione podejrzenia, że przy obecnym stanie czynnych kiosków niekiedy zdarza się, że nie rozpieczętowane paczki z gazetami idą prosto na makulaturę, bo nie ma ich kto sprzedawać. A ludzie szukają niektórych gazet.

5. Propozycja jest interesująca. Mam nadzieję, że uważnie zapozna się z nią dyrekcja Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego. Zadbamy już o to, aby nie uszła uwadze!

REDAKTOR DYŻURNY

Fabryka Osprzętu Samochodowego

ZMIENIASZ PRACĘ?

Przyjdź do

„P O L M O"

FABRYKA OSPRZĘTU SAMOCHODOWEGO

▲ MOTORYZACJA ▲

— miejscem pracy dla prawdziwego mężczyzny.

„POLMO" — to producent między innymi gaźników i pomp dla przemysłu motoryzacyjnego.

Wolne miejsca pracy we wszystkich zawodach, w zakładach przy

▲ ul. Przybyszewskiego 99 ▲ ul. Kurczaki 130 (Chojny)

Od 1.09.1989 r. nowe najatrakcyjniejsze warunki płacowe. Przyuczamy do zawodu w ramach OHP.

Informacji udziela Dział Osobowy i Szkolenia Zawodowego przy FOS „POLMO", Łódź, ul. Przybyszewskiego 99, tel. 84-28-71.

Zakład nie przyjmuje pracowników po porzuceniu pracy.

6000/K

POLMO

PRZYSZŁY KIEROWCO!

WIELKA SZANSA DLA CIEBIE!

Przedsiębiorstwo nasze umożliwi spełnienie Twoich marzeń.

W trzy tygodnie możesz nie tracąc nic z swojego wypoczynku uzyskać

▲ PRAWO JAZDY ▲

W dniach 18 września — 7 października w atrakcyjnej (nad jeziorem) miejscowości wypoczynkowej SOCZEWKA,

O R G A N I Z U J E M Y

WCZASY
POŁĄCZONE ZE ZDOBYWANIEM UPRAWNIEŃ KIEROWCY

Ilość miejsc ograniczona.

NIE ZWLEKAJ!

Zapisy codziennie w godz.11-15 w siedzibie

BIURA PODRÓŻY I TURYSTYKI

Imatur ŁÓDŹ
ul. Piotrkowska 59
tel.33 61 12 lub 33 28 46

Zakwaterowanie w pokojach 3-osobowych z łazienkami. Wyżywienie na miejscu w stołówce ośrodka.

2871/K

zapraszamy!

Markus

USPOŁECZNIONE ZAKŁADY USŁUG MARKETINGOWYCH
„M A R K U S" SA
Łódź, ul. Kraszewskiego 22

Z A T R U D N I A
▲ SPRZEDAWCĘ ▲
w sklepie dewizowym:

Informacje: ✶ telefon ✶ 43-39-94 ✶ 43-39-95

6001/K

ŁÓDZKIE ZAKŁADY KINOTECHNICZNE

ŁZK

prexer

Z A T R U D N I Ą

pracowników w następujących zawodach:

1. **tokarz**
2. **tokarz pociągowy**
3. **odlewnik**
4. **galwanizer**
5. **lakiernik**
6. **robotnik magazynowy**
7. **robotnik do cięcia blach i prętów metalowych**
8. **ślusarz-blacharz**
9. **ślusarzy, tokarzy narzędziowych**
10. **wartowników**
11. **frezerów**
12. **polerowników szkła optycznego — przyuczenie do zawodu**
13. **hydraulików**
14. **maszynistka**

Zakład zapewnia atrakcyjne zarobki, dobre warunki socjalne, posiadamy własną stołówkę, bufet, salę kinową z atrakcyjnym programem filmowym.

Wszystkich chętnych prosimy o kontakt z Działem Spraw Pracowniczych, tel. 33-09-69 lub osobisty kontakt z zakładem, Łódź, ul. Nowotki 41.

5999/K

USPOŁECZNIONE ZAKŁADY USŁUG MARKETINGOWYCH

Markus

informują, że

PROWADZĄ DEWIZOWĄ SPRZEDAŻ
▲ S A M O C H O D Ó W ▲
(za waluty wymienialne i bony PKO)

w ŁODZI, ul. WORONICZA 7,
w godz. 9—16.

◆ OFERTA:

Audi 80, Citroen GSA Combi, VW Golf, Ford Fiesta, Peugeot 305, Seat IBIZA, Opel Cadet, Opel Ascona.

6002/K

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników którzy przekazali je nam telefonicznie Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

14 września — MAREK KOPROWSKI — godzina 10—15.

21 września — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

SPRAWOZDANIE Z DYŻURU REPORTERA z dnia .7 września 1989 roku.

Pan **Paweł Misiak** z ul. Abramowskiego 11 m. 34 figuruje na liście mieszkaniowej w Wydziale Lokalowym dzielnicy Łódź-Śródmieście od ubiegłego roku. Posiada też zapewnienie tegoż wydziału, iż w roku bieżącym zostanie mu przydzielone większe mieszkanie. Powody do większego metrażu i wygód pan P.M. ma następujące: niezwykle ciasne mieszkanie, dwu i półletnia córeczka jest chora (niedowład nóg) i musi w domu przechodzić rehabilitację, żona znajduje się w ósmym miesiącu ciąży. Pan P.M. chodzi do Wydziału Lokalowego, ale tam ciągle go zbywają, więc postanowił zatelefonować do „Odgłosów" licząc na naszą interwencję. Przeto pytamy Wydział Lokalowy dzielnicy Łódź-Śródmieście: kiedy pan Paweł Misiak będzie mógł przeprowadzić się do nowego mieszkania?

Pani **Anna Jóźwiak** z ul. Zachodniej 10b m. 9 powiadomiła, że w okolicy jej domu 2—3 razy w miesiącu są okradane samochody. PGM rok temu obiecało zainstalować tam lampy i do dziś tego nie uczyniło. A złodzieje korzystając z ciemności nadal włamują się do samochodów. Dziś pani A.J. zadzwoniła na MO. Człowiek, który podniósł słuchawkę, powiedział, że nie są w stanie wszystkiego upilnować, a w ogóle to jest milicjantów za mało i zbyt mało zarabiają. Pani A.J. postuluje, aby zwiększyć pobory milicjantom, a wtedy być może zaczną częściej patrolować ulice, bo teraz — twierdzi — oni nie mają żadnej motywacji.

Pani **Alicja Kłos** z ul. Mackiewicza 35 przyjęła od listonosza dla swojego sąsiada dokładkę cenową do emerytury. Miało tego być 17 tys. zł. Potem, kiedy listonosz odszedł, spojrzała na przekaz i dowiedziała się, że tej dokładki ma być 34 tysiące zł. Więc poszła do urzędu pocztowego przy ul. Zgierskiej 2 i tam zgłosiła pracownicy, Lucynie Jejenieckiej, o zaistniałym fakcie. Pracownica natychmiast odszukała listonosza, który panią Alicję Kłos przeprosił za zaistniałe nieporozumienie i wręczył brakującą sumę. Teraz pani A.K. chce podziękować zarówno listonoszowi **Tomaszowi Lendzieniowi** jak i **Lucynie Jejenieckiej**, gdyż życzliwość w naszych trudnych czasach ma większą wartość od pieniędzy.

Pani **H.D.** (dane personalne do wiadomości redakcji) pyta: Kiedy znikną neony — z al. Kościuszki „Partia — Ojczyzna — Socjalizm" i z placu Pokoju „Partia przewodnią siłą narodu"? Ponadto narzeka na bardzo wąskie przejście pozostawione dla przechodniów na Narutowicza, gdzie nie mogą minąć się dwie osoby i dlaczego, skoro trwa wymiana torów na tejże ulicy, nie wprowadzono komunikacji zastępczej?

Pani **J.J.** (dane personalne do wiadomości redakcji) pyta: Dlaczego emerytura człowieka, który przepracował 20 lat jest wyższa, niż tego, który pracował w PRL 30 lat? Osobiście przyznaję, że się na tym nie znam, więc tą drogą zapytuję o to Zakład Ubezpieczeń Społecznych.

Pan **J.S** (dane personalne do wiadomości redakcji) jest sekretarzem POP w AM w Łodzi. Pan J.S. czyta w prasie co dzień, że w partii należy zacząć „po nowemu", „inaczej" itp. Natomiast nigdzie nie przeczytał o tym, jak to należy robić. Wobec tego pan J.S. postuluje, by „Odgłosy" zaczęły zamieszczać artykuły na temat działalności K... w Republice Federalnej Niemiec, działalności Partii Socjalistycznej we Francji. Jak oni to robią, że im się tam udaje, że stanowią określoną siłę, że nie popełniają tak rażących błędów jak nasza PZPR w przeszłości?

Pani **Sabina Marciniak** z ul. Łęczyckiej 58 opowiedziała takie zdarzenie: 2 września br., już po podwyżce biletów MPK, czekała ok. 22... na przystanku tramwajowym przy ul. Kasprzaka. Ale tramwaj ruszający z krańcówki (od Srebrzyńskiej) na tym przystanku wcale się nie zatrzymał (miał zdjęte numery) choć ludzi czekało sporo i dopiero na drugim zaczął zabierać pasażerów. Pani S.M. i inni poszli więc do alei Włókniarzy i tam wcisnęli się do tramwaju linii 14/4. Wcisnęli się, bo motorniczy wpuszczał jedynie do pierwszego wagonu, dwa drugie były zamknięte. Na uwagę, że mógłby otworzyć pozostałe wagony, odpowiedział, że jak będzie chciał. A na pytanie: czy tramwaj jest jego prywatną własnością, odpowiedział, że tak, prywatną i żeby mu nie przeszkadzano.

EUGENIUSZ IWANICKI

Szanowni Państwo

Kombinat Budownictwa Ogólnego „Jedynka"

Z A T R U D N I

pilnie

PRACOWNIKÓW BUDOWLANYCH
wszystkich specjalności

a w szczególności:

▲ CIEŚLI ▲ BETONIARZY-ZBROJARZY
▲ TYNKARZY ▲ POSADZKARZY.

GWARANTUJEMY:

- wysokie zarobki ◆ wczasy w NRD
- dla osób spoza Łodzi miejsce w hotelu robotniczym ze stołówką i UWAGA!
- mieszkanie po 5 latach pracy.

Wyróżniającym się pracownikom gwarantujemy:

- już po roku nienagannej pracy — zatrudnienie za granicą: w Libii, Estonii, Gruzji lub na Węgrzech.

I co pan na to?
- Chyba pójdę dowiedzieć się czegoś więcej.
- Proszę zapisać adres:

KOMBINAT BUDOWNICTWA OGÓLNEGO „JEDYNKA"
Łódź, ul. Piotrkowska 55
telefon 32-62-05 lub 32-91-40 wewn. 204.

5830/K

1

Pod prąd

Dlaczego robotnicy nie lubią prywaciarzy?

Z prawdziwą przykrością i zażenowaniem przychodzi mi przyznać się publicznie, że choć siwizna obficie już sprószyła mi skronie, co mogłoby świadczyć o mądrości i życiowym doświadczeniu, pewnych spraw zupełnie nie jestem w stanie pojąć, a tępota moja — widać wrodzona — zdaje się tu nie mieć granic. No, bo weźmy chociażby zarobki w sektorze prywatnym i państwowym. Pomijając wyjątki potwierdzające tylko regułę, dzieli je sporo. Czasem nawet jest to prawdziwa przepaść. — Dlaczego? pytam jak trzyletnie dziecko, i, niestety, nie potrafię jakoś znaleźć sensownej odpowiedzi.

Lat temu dziesięć, dwadzieścia wszystko było proste i klarowne. Własność państwowa jawiła się nam jako coś lepszego, na wyższym poziomie rozwoju, cieszyła się rozmaitymi preferencjami i dlatego nikogo nie dziwiło, że robotnik czy inny pracownik najemny zarabia w państwowej fabryce mniej od rzemieślnika, albo ogrodnika, ponieważ celem jego pracy było nie bogacenie się, jak tamtych reliktów starego i skompromitowanego porządku, ale — zaspokajanie potrzeb socjalistycznego społeczeństwa, które w zamian za rezygnację z części potencjalnych dochodów obdarzało go wieloma przywilejami, by wymienić tylko darmowe leczenie, tanie wczasy, ludzież godziwe — jak na tamte realia — renty i emerytury. Innymi słowy, pewne wyrzeczenia w jednej sferze wy... (tu chciałem napisać: wyrównywane, ale nie jest to chyba najwłaściwsze słowo) były w drugiej i każdy, no, prawie każdy czuł się jakoś tym usatysfakcjonowany, a życie toczyło się gładko i w miarę spokojnie, choć na stosunkowo niskim poziomie.

Dzisiaj sytuacja jest zgoła odmienna: zapisano, że wszystkie sektory gospodarki mają jednakowe prawa, pozwolono ludziom przestać martwić się o dobro ogółu, a jedynie patrzeć na własną kieszeń, odebrano niektóre przywileje (pamiętacie choćby darmowe bilety kolejowe na powrót z wczasów?) i od razu zrobiło się... gorzej. To znaczy dysproporcje w zarobkach między sektorami jeszcze wzrosły, skala zjawiska uległa zwielokrotnieniu, a niezadowolenie robotników w państwowych fabrykach osiągnęło taki stan, że nie strajkują już tylko ci, których protest i tak niewiele różniłby się od dotychczasowej, „normalnej" pracy.

Logicznie myśląc, należy dojść do wniosku, że powinno być akurat odwrotnie. Kto bowiem przy zrównywaniu sektorów miał większe szanse na wyższą wydajność, a co za tym idzie — wyższe zarobki? Robotnik z dużego przedsiębiorstwa, wyposażonego we w miarę nowoczesne maszyny, w zaplecze socjalne, od lat „ustawionego" na rynku, czy — z małej prywatnej fabryczki, albo warsztatu, którego właściciel wstawił doń na początek urządzenia kupione gdzieś na fabrycznym złomowisku, kazał przerabiać jakieś odpady i którego firmy nikt nie znał?

Odpowiedź wydaje się oczywista. Tymczasem teoria znów przegrała z praktyką i na ogół prywatne jak miało się dobrze, tak ma się jeszcze lepiej, a państwowe pogrążyło się w bagnie często po same uszy i nie bardzo teraz wiadomo, jak je wyciągnąć, przy czym zdaniem szeregu ekonomistów nie ma już dlań żadnego ratunku i pozostało jedynie rozpocząć poważne przygotowania do pogrzebu.

Jak to było możliwe, Bóg mi świadkiem, nie rozumiem. Nie mogę też wytłumaczyć sobie, jak taki polski, czy polonijny kapitalista, krwiopijca i złodziej może dać lekką ręką półtora, albo dwa razy większe pensje pracownikom niż mieli w państwowej fabryce i jeszcze twierdzić, że robi na tym znakomity interes? To prostu nie do wiary!

No i czy w tej sytuacji należy dziwić się, że wielu robotników w fabrykach strajkuje, oburza się na rosnące majątki prywatnych handlowców i przedsiębiorców i z łezką w oku wspomina czasy Gomułki i Gierka? Oczywiście — tylko do momentu, gdy albo sami zaczną pracować na własny rachunek, albo — na rachunek jakiegoś prywatnego przedsiębiorcy lub handlowca.

JÓZEF RETMAN

2

Tranzytem przez Lwów

Na skwerze przy prospekcie Lenina, między jego pomnikiem i pomnikiem Adama Mickiewicza co dzień odbywa się demonstracja, mityng. Żółto-niebieskie flagi ukraińskie, naprędce przygotowany postument i w świeżych kwiatach mały portret Tarasa Szewczenki — rewolucyjnego demokraty urodzonego w 1814 roku. Także zesłańca, malarza i poety — twórcy nowoczesnej literatury ukraińskiej.

Zebrani śpiewają patriotyczne pieśni, czasem w refrenie zabrzmi *„hospody pomyłuj"*. Wiecującym i przemawiającym ludziom, którzy chcą, aby właśnie tutaj stanął pomnik Tarasa Szewczenki, obojętnie przyglądają się milicjanci.

Jeszcze w 1988 roku, na granicy Związku Radzieckiego turysta dostawał do ręki „wjezdkę" — karteczkę z wpisaną datą, godziną i minutami wjazdu do Związku Radzieckiego. Należało jej przez 24 godziny dane na przejazd przez ZSRR strzec jak przysłowiowego oka w głowie. Zatrzymujący na drodze milicjant najpierw pytał o „wjezdkę". Recepcjonistka na campingu pod Lwowem na podstawie godziny przekroczenia granicy decydowała komu wynająć domek. Szansę na nocleg na tym, pożal się Boże campingu, mieli tylko ci, którzy na „wjezdce" mieli wpisane godziny po dwunastej w południe. Dziś meldunku dokonuje się na podstawie paszportu i, co jest dziwne dla bywalców campingów w Polsce i Europie, a ujawniające bałwochwalczy stosunek Rosjan do samochodu i kierowcy, dowodu rejestracyjnego.

Nic natomiast nie zmieniło się w sanitariatach — tak samo brudno jak rok temu. Nie wiadomo — wejść tam w gumowcach i rękawicach ochronnych, czy raczej wcale nie wchodzić. Lodowata woda lejąca się z kranu wywołuje uśmiech radości na twarzach radzieckich turystów i zdziwienie, że Polacy grymaszą na brak ciepłej wody. Kiedy byłem na tym campingu na rok przed olimpiadą w Moskwie, a więc sporo przed pieriestrojką, można było samochodem stanąć koło swojego namiotu, dziś namiotów na campingu rozbijać nie wolno. Są natomiast wilgotne domki i przyczepy campingowe. W jednych i drugich zabrania się, jak głosi napis w recepcji, palenia papierosów i picia alkoholu — za to można być pozbawionym noclegu.

Bagaże najlepiej przenieść do domków, zaś samochód musi zostać na parkingu, który choć strzeżony przez milicjanta nie zapewnia bezpieczeństwa i kradzieże nie są czymś sporadycznym. Dla jednego z polskich turystów noc z 12 na 13 lipca 1989 roku skończyła się pechowo. Wracał z Turcji. Bagażnik wypełniony po brzegi tym, co się zwykle stamtąd przywozi, został otworzony — jak to w samochodach FSO — od środka i całkowicie opróżniony. Wyrwano również z samochodu radio, zniknęło kilka mniej cennych drobiazgów. Wezwany milicjant, który zresztą pilnował tej nocy campingowego parkingu „nie widział" włamania, bo zamek w drzwiach samochodu nie był uszkodzony, nie była również wybita żadna z szyb.

Ale zanim Polak dojedzie do Lwowa mija kilka miasteczek, w których przez cały czas jest zaczepiany pytaniem: — *„szto masz na prodaż?"*. Wzdłuż całej trasy tranzytowej przez Związek Radziecki ustawione są tablice w języku polskim zakazujące zatrzymywania się na poboczach.

Stosunkowo niedawno odnaleziono w przydrożnych chaszczach spalony polski samochód z trzema zwęglonymi ciałami. Śledztwo wykazało, że trójka Polaków przed spaleniem została zastrzelona.

Lwów polskich kierowców może przyprawić o ból serca i głowy. Rosjanie zachowują się za kółkiem swobodnie, jak dżygici w stepach — szybciej i łatwiej przejedzie przez skrzyżowanie ten, kto ma głośniejszy sygnał. Piesi, choć przyzwyczajeni do tutejszego drogowego savoir vivre'u z przestrachem w oczach umykają przed samochodami, których kierowcy nie mają nawyku zdejmowania nogi z „gazu". Dobrowolne zatrzymanie się, nawet przed pasami i przepuszczenie gromady pieszych potulnie czekających na przerwę w potoku pędzących i trąbiących aut wywołuje zdziwienie i nieśmiały uśmiech wdzięczności tych pierwszych i przeraźliwe wycie sygnałów samochodów zmuszonych do zatrzymania się.

Lwowskie ulice brukowane są bazaltową kostką, łatane asfaltem, a czasami choć nim pokryte, to i tak są dziurawe, że te łódzkie, najgorsze są przy nich autostradami równymi jak stół. Dobrze choć, że ulice we Lwowie nie są utwardzane jak drogi „złotego szlaku".

Na świeżo położony asfalt wysypywany jest tłuczeń, który zostaje weń wciskany przez przejeżdżające samochody. O tym, ile szyb zostało wybitych przez kamienie wyrzucone spod kół, nawet nie warto wspominać.

Cała trasa tranzytowa zaprojektowana jest tak, aby w razie potrzeby turystyczny ruch samochodowy skierować obwodnicami miast, uniemożliwiając do nich wjazd. Przy wszystkich większych skrzyżowaniach dróg są ustawione posterunki GAI — Gosudarstwiennaja Awtomobilnaja Inspiekcja — po naszemu drogówka. Bywa, że zwykłemu milicjantowi towarzyszy żołnierz w kuloodpornej kamizelce i z bronią gotową do strzału. Próby zjechania z trasy szybko udaremniane są wskazaniem lizaka lub pałki pomalowanej w białe i czarne pasy. Jeśli jednak ktoś koniecznie chce znaleźć się w mieście, to musi bez szczególnych ceregieli i podchodów wręczyć milicjantowi karton papierosów lub butelkę wódki. Do tej pory nie słyszałem o przypadkach odmowy.

Mimo dziwnych dla nas czasami zarządzeń, które zamiast ułatwiać utrudniają podróż przez tereny bratniego nam kraju; mimo tego, że Rosjanie są coraz bardziej wybredni i byle czego już im się nie wciśnie; mimo tego, że kawa „Inka" powinna być w pudełku, bo jest — według Rosjan — lepsza niż ta w „papierku"; mimo tego, że przy zakupie atrakcyjnych dla nas artykułów musimy do ceny dopłacać kilka rubli mimo... Moglibyśmy wymieniać jeszcze długo, Polacy jeżdżą przez Związek Radziecki, bo to się po prostu opłaci, nie wiadomo jak długo jeszcze, ale na razie nic nie wskazuje na to, aby prywatny eksporter miał kłopoty ze sprzedażą „żuwaczek".

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

OGŁOSZENIA DROBNE

KUPNO-SPRZEDAŻ

KUPIĘ TVC polski używany, tel. 16-34-57 po 17. 49123-g

SPRZEDAM bloczki betonowe M6 płyty chodnikowe 35 x 35, pustaki. 48-83-50 5552-g

TVC „Rekord" — sprzedam, 87-27-58 49009-g

FLOKOWNICĘ z technologią tanio sprzedam, 18-11-73. 48519-g

ODTWARZACZ „Otake" z pilotem — sprzedam. Fornalskiej 20 m. 3 wieczorem 49089-g

POJAZDY

„POLONEZ" (1980) sprzedam tel. 57-26-87. 49122-g

SPRZEDAM „Renault" 9 Diesel, 33-11-23 wieczorem. 48892-g

ALTERNATOR 126, hak, serwo Poloneza, wał Łady — sprzedam. 78-13-16. 48413-g

LOKALE

M-2 własnościowe zamienię na większe spółdzielcze 36-79-11. 48992-g

POSZUKUJĘ mieszkania. Tel. 42-57-92 48986-g

NAUKA-PRACA

MATEMATYKA 78-52-85 Balcerek 47555-g

JĘZYK polski 36-79-11 Orzechowska 48990-g

STOLARZE meblowi potrzebni, 55-19-28. 48896-g

HYDRAULIKÓW zatrudnię, Elsnera 1/48. 48893-g

MALARZY, piaskarzy — zatrudnię Tel. 12-12-12 48987-g

ZATRUDNIĘ szwaczki. Obr. Stalingradu 80. 38897/g

SZWACZKI zatrudnię — do zakładu (kurtki, spodnie). 55-19-28. 48897/g

USŁUGI

ZE SLAJDÓW — duplikaty, odbitki na materiałach zachodnich, wykonuje „STUDIUM" Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej) Rycel. 47509-g

WEEKENDY autokarowe Berlin Zach. 40.800,- + 3 DM „SARTOUR" Sienkiewicza 101/109 tel. 36-31-54 (11—17). 42492-g

WIEDEŃ 44.800,- + 4 USA „SARTOUR" 36-31-51. 42494-g

HAMBURG — trzy dni 60.000 zł + 50 DM „SARTOUR" 36-31-54 42496-g

„ogłaszaj się w ODGŁOSACH"

ZATRUDNIMY

▲ TRENERÓW ▲ INSTRUKTORÓW

TENISA ZIEMNEGO

Łódź 31-94-95; 87-83-86.

Superagent Tambor

(7)

Rys. Dariusz Romanowicz

JERZY JESIONOWSKI

Lektura ogłoszeń była zajęciem ciekawszym. Jola raz po raz dzieliła się z Tamborem różnymi spostrzeżeniami bądź odczytywała na głos co smakowitsze inseraty. Kiedy doszła do ogłoszeń matrymonialnych, oznajmiła Tamborowi:

— Stachu, ty masz w Polsce ogromne szanse. Co druga ogłaszająca się łaknie cudzoziemca. Niektóre oferują nie zobowiązującą degustację.

— Dziękuję, nie skorzystam, sił za mało.

Niebawem Jola odczytała na głos damskie ogłoszenie, przebijające reklamowo wszystkie pozostałe.

— „Młoda, efektowna panna z ojca — zachodniego cudzoziemca pozna w celu matrymonialnym odpowiedniego pana".

Tambor zaśmiał się.

— Jednak nie pełnokrwista, zaledwie krzyżówka. Na Zachodzie mamy folbluty.

— Nie o to chodzi. W Polsce mógłbyś zostać rozpłodowcem. Wiele mamuś dobrze zapłaci, żeby córka mogła dać w przyszłości takie ogłoszenie.

— Niekiedy kobiety są bezwstydne — zauważył zza kierownicy Marek. — Żadnych zasad.

Zmęczony trudną lekturą gazety politycznej, Tambor przeniósł swą uwagę na okolice drogi. Już przy trasie do Wrocławia dostrzegał tu i ówdzie zrujnowane dworki oraz inne rudery, których nie remontowano ani nie rozbierano. Napotykając takie same teraz, zapytał Marka, co to za dziwne obiekty.

— Zabytki — odrzekł Marek. — Rozbiórki nikt nie śmie zaproponować, bo prawdziwi patrioci zadziobaliby go jako nihilistę.

— To dlaczego się nie remontuje?

— Bo nie ma za co. U nas każda ruderа to zabytek, sir. Nawet Ameryka nie podołałaby temu finansowo.

— Skoro nie ma za co remontować, to co będzie dalej z tymi starociami?

— Rozpadną się same, bez rozbierania. Wtedy miłośnicy popłaczą, ale nie będzie kogo zauziobać, bo nikt rozbiórki nie zarządził.

Z mniej nabożnym stosunkiem do starzyzny zetknęli się niebawem w mijanym mieście, gdy Marek zatrzymał samochód przy stacji benzynowej. Przed pobliskim budynkiem odbywało się uporczywe zaganianie do wnętrza dzieci, które — jak żywe srebro — umykały dwom nauczycielkom spod rąk.

— To szkoła? — spytał Tambor Jolę, wskazując budzący taką niechęć budynek.

— Nie. Widać przecież napis: muzeum.

— Nie chcą zwiedzać?

— Za skarby nie. Ja też tak umykałam, kiedy co pół roku nauczycielki prowadziły nas do ciągle tego samego muzeum.

— Dlaczego do tego samego?

— Bo w mieście było tylko jedno, a program przewidywał odwiedzanie muzeów dwa razy w roku.

— To niemądrze. Po co męczyć dzieci?

— W naszych szkołach los dzieci marny jest, Stachu. Upadaliśmy na nosy wkuwając to, co potem niczemu nie służy. A to daty bitew i panowania królów, a to budowę ciała pierwotniaków, których nikt nigdy nie zobaczy. Tego, co w życiu potrzebne, musieliśmy się uczyć sami, poza szkołą.

— Dlaczego tak?

— Chyba dlatego, że wszystkiego, co w życiu konieczne, i tak każdy się nauczy, bo musi. A kto, jak nie szkoła, ma wbić mu do głowy wiadomości nieużyteczne? Tylko tak da się wytłumaczyć nasze programy nauki.

Marek zatankował paliwo i ruszyli dalej. Bydgoszcz zaprezentowała się im jako miasto schludne i zadbane. Ulica przy której mieszkał Piotr Bylicki, była przecznicą trasy przelotowej.

W mieszkaniu nikt nie reagował na dzwonek. Tambor zląkł się, że z powodu lata domownicy mogli wyjechać na wczasy, co byłoby dużą komplikacją. Lokatorka sąsiedniego mieszkania, do którego zadzwonił dla zasięgnięcia informacji, uspokoiła go co do tego.

— Państwo Byliccy są, ale obydwoje pracują — oznajmiła — Pan Piotr to wraca dopiero wieczorem.

— Gdzie pracuje?

— W Klubie Artystów.

— Zna pani adres?

Informatorka wytłumaczyła, jak trafić do Klubu Artystów. Tamborowi wydało się dziwne takie miejsce pracy człowieka, który wynalazł perpetuum mobile. Ale w Polsce wszystko było możliwe. Pojechali tam.

Na miejscu dowiedzieli się, że Bylicki jest zarządcą Klubu; przejął go mianowicie przed rokiem jako ajent. Zastali go — można by tak to określić — na stanowisku dowodzenia: w gabinecie, wyposażonym w podglądowe monitory, pozwalające obserwować, co dzieje się w ważniejszych pomieszczeniach obiektu. Pan Piotr wstał na ich powitanie.

— Czym mogę państwu służyć?

— Najpierw rozmową — odrzekł Tambor.

— Bardzo proszę. Zechcą państwo siąść.

Tambor zaczął rozmowę od przedstawienia się.

— Nazywam się Stacho Swojak, jestem Polakiem z Ameryki. Przyjechałem z zamiarem założenia w kraju firmy polonijnej.

— To dla mnie interesująca wiadomość — ucieszył się Bylicki. — Chce pan skorzystać z moich usług? Jestem do dyspozycji, na pewno się dogadamy.

— Co pan ma na myśli?

— Jestem inżynierem organizatorem, mogę pokierować taką firmą.

— Nie o to chodzi. Interesuje mnie pan jako wynalazca perpetuum mobile. Chciałbym ewentualnie kupić ten wynalazek, jeśli będzie mi odpowiadał.

Bylicki od razu posmutniał. Potem popatrzył na Tambora wzrokiem, który wyrażał zarówno zawód, jak i zdziwienie.

— To nieporozumienie, proszę pana. Ja nie wynalazłem perpetuum mobile. Takie urządzenie jest w ogóle niemożliwe.

Tambor zderzył się z kolejną zagadką z gąszczu polskiej specyfiki. Należało ją rozwikłać.

— Otrzymałem pańskie nazwisko i adres z urzędu patentowego — oznajmił.

— Pomyślałem zrazu, że napuszczono pana na ten szwindel tutaj, w Bydgoszczy. Ale to nie ma znaczenia. Ja żadnego perpetuum mobile nie zgłaszałem. Naprawdę jestem inżynierem i nie mogła mi przyjść do głowy taka bzdura. To była intryga moich wrogów.

— Muszę wyznać, że trudno mi zrozumieć...

— Mogę wyjaśnić, ale to wymaga dłuższego wstępu. Chronologicznej podbudowy, że tak powiem.

— Chętnie posłucham.

Bylicki sięgnął do początku swej drogi zawodowej. Jego organizatorska specjalność przez długi czas nie budziła w polskim przemyśle zainteresowania, toteż pracował niejako obok niej. Przeważnie załatwiał reklamacje, których było i jest mnóstwo. Dopiero kiedy nastała w Polsce reforma gospodarcza, powierzono mu ekspertyzę organizacyjną fabryki, w której wówczas pracował. Z ekspertyzy tej wynikło, że w zakładzie jest o wiele za dużo personelu, zwłaszcza kierowniczego. Wyprowadzono z niej wszakże tylko jeden wniosek kadrowy — za to szybko: zwolnienie Bylickiego.

Nie uczyniło go to bezrobotnym. Ponieważ nacisk reformatorski był silny, inżynier organizator znalazł łatwo nową posadę, otrzymał podobne zadanie. Ale rzecz się powtórzyła. Znowu ekspertyza wykazała przerost personelu i ponownie Bylicki stał się pierwszym zredukowanym. To samo spotkało go w trzeciej fabryce.

W czwartym z kolei zakładzie — było to biuro projektowe — ekspertyza taka zaowocowała nie tylko zwolnieniem autora. Współpracownicy postanowili dać mu nauczkę, a konkretnie — ośmieszyć go jako inżyniera. Do urzędu patentowego wpłynął pod nazwiskiem Bylickiego nadzwyczaj bzdurny pomysł perpetuum mobile. Został oczywiście odesłany, co żwawo rozgłoszono w całym bydgoskim przemyśle ze zjadliwymi komentarzami.

Wyjaśnienia nie zdały się na nic, reformator Bylicki był w regionie spalony. Gdziekolwiek oferował swą osobę, brakowało wolnego miejsca, bo właśnie — jak mu odpowiadano — likwiduje się przerosty zatrudnienia. Zwalczany w ten sposób jego własną bronią, znalazł się na utrzymaniu żony. To jednak nie mogło trwać długo. Musiał się chwycić czego innego, już na własny rachunek.

W Klubie Artystów od lat zmieniali się ajenci, nie mogąc wyjść na swoje z powodu warunku niskich cen w stołówce i kawiarni. Pod tym względem artyści byli nieustępliwi, ajenci zaś nie zamierzali do nich dopłacać. Kiedy klub z braku kolejnego kandydata do bankructwa przestał w ogóle funkcjonować, przyjęto nieszablonową ofertę Bylickiego. Brzmiała ona jak następuje: podejmuję się żywić artystów tanio, ale jedną salę proszę mi oddać na Koło Sympatyków, w którym będę na to zarabiał karmiąc nieartystów.

— No i wychodzi pan na swoje? — spytał Tambor.

— Znakomicie wychodzę. W Kole Sympatyków zdzieram skórę bez litości.

— Z kogo?

— Z nowobogackich. Oni, głównie za sprawą żon i córek, gotowi są płacić każdą cenę, żeby jadać u artystów. To prostacy i snobi jednocześnie, więc taka nobilitacja bardzo im pochlebia.

— Każdy może tam jadać?

— Jeśli go stać, tak. Obowiązują wprawdzie karty wstępu, ale nikomu ich nie odmawiam.

— To po co te karty?

— Dla podbijania klientom bębenka. Utrzymuję ich w przekonaniu, że przesiewam chętnych, i to ostro.

— Jakichś wysoków nie ma?

— Na tej sali nie. Nowobogaccy trzymają się w ryzach, żeby nie stracić kart wstępu, a ja na wszelki wypadek kontroluję. Po to zainstalowałem te podglądowe monitory, które tu państwo widzicie.

Tambor policzył monitory: było ich pięć.

— Po co aż tyle na jedną salę? — spytał.

— Nie na jedną. Kontroluję także stołówkę i kawiarnię dla artystów, salonik dyskusyjny oraz kącik miłośników wypitki i zakąski.

Jola zaśmiała się.

— I taki kącik pan prowadzi?

— Muszę. Jedni artyści lubią wypić i poszumieć, a innym to przeszkadza. Ja dbam, żeby wszyscy mieli, co im dogadza. I dzięki temu interes mi kwitnie. Jestem teraz człowiekiem zamożnym. Żona mogłaby przestać pracować, ale wciąż się lęka, że znów mnie zwolnią. Woli pewność, jak to kobiety.

Monitory były wygaszone, Tambora zaś interesowało, jak funkcjonuje ten niezwykły interes w ręku inżyniera organizatora. Poprosił Bylickiego o włączenie po kolei podglądu.

— Bardzo proszę — zgodził się łatwo Bylicki. — Godzina jest jeszcze wczesna, więc ruch nieduży, ale wszystko czynne.

Nowobogaccy zarabiali o tej porze pieniądze, toteż w Kole Sympatyków traciły je na razie tylko żony i córki. Potraw za słone ceny nie dało się na maleńkim ekranie monitora rozpoznać. W stołówce i kawiarni dla artystów było bardziej rojno. W saloniku dyskusyjnym gaworzyły trzy staruszki, wszystkie chyba po osiemdziesiątce.

— To sekcja literatury dla dzieci — objaśnił Bylicki. — Zbierają się co tydzień.

— Młodszych tam nie ma? — spytała Jola.

— Jest jeszcze dwoje sześćdziesięciolatków, ale seniorki niechętnie ich zapraszają jako twórczo niedojrzałych.

W kąciku miłośników wypitki i zakąski kiwało się przy stoliku dwóch trzydziestolatków. Obywali się bez zakąski, stała przed nimi tylko butelka.

— To narybek poetycki — powiedział Bylicki.

— Znani już? — spytał Tambor.

— Za wcześnie. W tak młodym wieku polski literat może zyskać rozgłos tylko przez samobójstwo. A ci, jak państwo widzicie, żywi jeszcze, chociaż źdźbełko sztywni.

Bylicki cofnął podgląd na Koło Sympatyków. Przybył tam właśnie pierwszy mężczyzna i przysiadł się do jednej z pań. Kelner podszedł do niego natychmiast. Ten przejaw troski o konsumenta wzruszył Tambora, gdyż zdążył już w Polsce odwyknąć od takiej obsługi. Zaskakujące osiągnięcie inżyniera organizatora pchnęło Tambora do pytania wręcz bezczelnego.

— Czy za te słone ceny można otrzymać u pana każdą potrawę?

— Prawie — odrzekł Bylicki. — Jeśli, rzecz jasna, surowiec złotówkowy. Na wsad dewizowy nie mam funduszy.

Tambor posunął się o dalszy krok do celu.

— A na przykład pierogi z kapustą?

— Mogą być, ale na zamówienie. Trzeba poczekać.

— Jak długo?

— Zaraz się dowiem.

Bylicki połączył się przez wewnętrzny telefon z kuchnią.

— Niestety dość długo — odpowiedział. — Godzinę.

— To zamawiam — zdecydował się natychmiast Tambor.

— Niech od razu robią.

— Dwie porcje?

Tambor spojrzał pytająco na Jolę.

— Nie — odpowiedziała Bylickiemu bezpośrednio. — Jedną, ale z rezerwą na repetę.

— Bardzo proszę.

Po tym nieoczekiwanym sukcesie Tambor mógł już podsumować wyjazd do Bydgoszczy. Zadanie, zlecone przez pułkownika Knocka, nadal pozostawało niewykonane, za to obiad zapowiadał się wspaniale. Wypluty przez polski przemysł inżynier organizator okazał się gastronomikiem wyśmienitym.

XII.

Następny, piąty z kolei wynalazca PM mieszkał na południowym wschodzie Polski: w Lublinie. Nazywał się Antoni Pikiel. Kilometrów do przejechania było mniej, droga luźniejsza, toteż Tambor i Jola dotarli do celu jeszcze przed południem. Lecz także tego wynalazcy nie zastali w domu. Informacji o nim udzieliła żona, kobieta około sześćdziesiątki, ale jeszcze krzepka.

— Mąż wróci dopiero wieczorem. Jest na konferencji.

— Jakiej? — zainteresował się Tambor.

— Ligi Obrońców Zasad.

Nazwa zaciekawiła Tambora jako wydawcę; zapowiadała kolejną osobliwość polską. Pod pretekstem, że może załatwi swoją sprawę z panią domu, wprosił się na rozmowę z nią. Znaleźli się we trójkę w pokoju, będącym salonem w dawnym stylu. Elementem nowoczesnym był w nim tylko telewizor.

— Interesujemy się wynalazkiem pani męża — zagaił Tambor.

Pikielowa zrazu zakłopotała się, potem zaś oznamiła:

— Odesłali mu go jako nierealny.

— Nie szkodzi. Mąż jest inżynierem?

— Ach nie... On dopiero na emeryturze, mając dużo czasu, zaczął głowić się nad tym... jakże mu tam?...

— Perpetuum mobile.

— Właśnie.

— Czym trudnił się przedtem?

— O, mąż był działaczem wszechstronnym. Pracował ofiarnie, nie szczędząc sił, na różnych posterunkach. Stawiano go wszędzie, a on nie grymasił, szedł i mobilizował. Robił w polityce, w budownictwie, w komunikacji, w przemyśle, w rolnictwie, w handlu, w służbie zagranicznej, w żegludze, w szkolnictwie, a ostatnio w kulturze. Ale na koniec skrzywdzono go, jak i wielu innych. Odesłano na emeryturę, chociaż chciał pracować dalej, dźwigać kraj wzwyż, budować drugą Polskę.

— Jakie mąż miał wykształcenie?

— Złośliwi kpili: wyższe nie zaczęte. Ignorowali uniwersalne doświadczenie, jakie zdobył przez długie lata na kierowniczych stanowiskach.

— A teraz broni zasad? Razem z resztą skrzywdzonych?

— Sumienie mu to nakazuje. Kraj stacza się na ideowe manowce. Nie po tośmy walczyli i żyły wypruwali, żeby dziś rewizjoniści wszystko wyprzedawali.

Rzecz stała się z grubsza jasna. O wynalazku nie warto było z Pikielową mówić, skoro nawet jego nazwy nie zdołała zapamiętać.

— Czy będzie podczas konferencji jakaś przerwa obiadowa — spytał Tambor.

— Tak. Ale mąż zje tam, na miejscu.

— Spróbujemy go dopaść. Gdzie to się odbywa?

Pikielowa podała adres. Marek, który znał także Lublin, dojechał na miejsce bez błądzenia i pytania o drogę. Przeszkoda wyłoniła się dopiero u wejścia do gmachu.

— Państwo na konferencję? — spytał portier, pewnie zaskoczony młodym wiekiem pary przybyszów.

— Tak — odrzekła Jola bez zająknienia. — Prasa.

— Proszę bardzo.

Na sali obrad tłoku nie było, lecz chętnych do przemówienia znalazło się widocznie dużo, bo przewodniczący ograniczył wystąpień do pięciu minut. Wzbudziło to szmer niezadowolenia, jednak bez formalnego sprzeciwu. Kolejny dyskutant oświadczył na wstępie, że w tej ramie może jedynie zasygnalizować problemy, które zamierzał omówić dogłębnie.

— Po pierwsze: Podcinane są korzenie ustroju. Miało być każdemu według potrzeb, a od każdego wedle jego możliwości. A co tymczasem się głosi, ba, wręcz forsuje? Każdemu według wyników jego pracy. Jeśli zaś nie może albo nie potrafi, to co? Ma być upośledzony, nawet jeśli dobry towarzysz, a rodzina duża? To nie jest filozofia sprawiedliwości, tylko eksploatacji. Nikt nie wybierał sobie cech, z jakimi przyszedł na świat. Po drugie: Tworzy się szkoły dla zdolniejszych i mniej zdolnych. Punkty za pochodzenie zniesiono. To do czego zmierzamy, do elitaryzmu? Nowej arystokracji?

Następny mówca też podjął temat młodzieży.

— Jak się dziś wychowuje młode pokolenie? Gdzie robota uświadamiająca i świetlane wzory? Gdzie pieśni klasowe i masowe? Za to co krok dyskoteki i małpi jazgot. W radiu programów dla młodzieży wprost przykro słuchać, taka obojętność ideowa i wrogie miazmaty. Na dodatek pozwala się jeszcze oglądać telewizję satelitarną, która szerzy zamęt w głowach. Jakby mało było naszej, coraz obrzydliwiej się amerykanizującej. Tym sposobem socjalizmu nie zbudujemy. Grzebiemy go.

Kolejny obrońca zasad przedstawił inne ich zagrożenie.

— Bardzo wredne treści przemycają dziś dziennikarze pod szyldem swobody informacji. To jest dywersja, a nie swoboda. Podważanie Kanonu, nie mówiąc już o dorobku. Same brudy i oszczerstwa. Naród rozgorycza się i zniechęca, kiedy to czyta. Nic krzepiącego. Nie lepiej się dzieje w kulturze i rozrywce. Nihilizm albo śmichy-chichy. Jakieś wydumane formalizmy z Zachodu rodem. Żadnych klasowych treści. Co to obchodzi chłopa i robotnika?

C.D.N.